

ANA MARÍA MATUTE

WIEŻA  
STRAŻNICZA

przełożyła Kalina Wojciechowska

1976

Warszawa

Czytelnik

Tytuł oryginału hiszpańskiego *La torre vigia*

*Dla Juana Pablo*

# I. DRZEWO OGNISTE

Urodziłem się nad zakrętem Wielkiej Rzeki podczas świąt winobrania. Mój ojciec – drobny szlachcic feudalny – równie ograniczonej fortuny, jak i umysłu – był prawie starcem, kiedy przyszedłem na świat, dlatego z początku żywił podejrzenia co do autentyczności wiązków krwi, jakie mnie z nim łączyły. Z tej także przyczyny w pierwszych latach mego życia odnosił się do mnie z niechęcią. Nadszedł jednak dzień, kiedy rysy mej twarzy, ukształtowane już wyraźnie, zwróciły mu obraz własnego dzieciństwa: bo jeśli moi bracia mieli czarne oczy i żółtą skórę mojej matki, mnie obdarzyła natura włosami tak jasnymi i oczyma tak niebieskimi jak jego własne. Wtedy zapomniał o domniemanej plamie na swym honorze i pozwolił, by mnie ochrzczono.

Nasze szlachectwo było świeżej daty i sięgało ledwie czasów mego dziadka. Baron Mohl, który podniósł ród nasz do tej godności, nie uczynił tego z przyczyn sentymentalnych czy jakiegokolwiek upodobania, lecz przyciśnięty koniecznością stworzenia sobie licznej i dobrze wyćwiczonej drużyny oraz ludzi zdatnych na przywódców. To mu było potrzebne jak powietrze do oddychania.

Trzeba bowiem stwierdzić, że żyliśmy w ustawicznym niepokoju i pod groźbą, nie tyle z powodu dzikich najazdów, jakich dokonywały na nasze ziemie ludy zza rzeki – te już właściwie należały do przeszłości – ile ze względu na naszych sąsiadów. Byli to przeważnie panowie feudalni wojowniczej i gwałtownej natury, nie mniej ambitni niż sam Mohl. Wielki Król był daleko, podobnie jak stolica papieska, a na tej odległości i takim pustkowiu każdy niemal baron marzył o własnym małym królestwie – jeśli jeszcze faktycznie go nie posiadał. Ich głównym zajęciem była zacięta walka, w której wzajemnie wydzielali sobie ziemie i wasalów.

Dzień po dniu dochodziło do zniewag i napaści. Łatwo więc zrozumieć, iż nader rzadko cieszyliśmy się pokojem. I odkąd sięgnąć mogę pamięcią, byłem świadkiem i uczestnikiem nieustającego alarmu.

W porównaniu z baronem Mohl czy innym wielkim panem mój ojciec był ubogim prostakiem. Lecz jeśli tę samą miarę przyłożyć do zagród chłopów, którzy mu płacili daninę, to mój ojciec mógł uchodzić za bogacza o zbyt wysokich niemal obyczajach.

Co wieczór jadało się u nas gęś przeciętnych rozmiarów z dodatkiem rzepy bądź innych warzyw. Ojciec zwykł ją dzielić między moich braci tak, że dwaj starsi dostawali uda, a najmłodszy skrzydła. Ten podział wzniewał gwałtowne spory między trzema chłopcami. Jak się zdawało, byli zupełnie odmiennego zdania co do sprawiedliwości wymaganej w takich sprawach i ta różnica zdań przybierała ton gwałtowny, sięgając granic prawdziwie niebezpiecznych. Mego ojca wielce cieszyły te dysputy i dopiero gdy zaciętrzewienie moich braci dochodziło do punktu, w którym zaczynały błyszczeć sztylety, kładł kres sprzeczkom, odpędzając wszystkich od stołu kijem i kopniakami. Te osobliwe uciechy były jego jedyną rozrywką, bo w ostatnich latach życie jego stało się monotonne i pozbawione wszelkiego rzeczywistego zainteresowania. Jego synowie byli jeszcze za młodzi, żeby ich posłać na zamek barona Mohla, gdzie zgodnie z tradycją rodzinną mieli zostać wykształceni i wyćwiczeni jako przyszli rycerze. Nie osiągnęli też odpowiedniego wieku, by ich tymczasem powierzyć jednemu z panów okolicznych, który zająłby się ich edukacją wstępną. Z drugiej strony podeszły wiek mego ojca i postępujące sztywnienie kości, jak również jego otyłość nie pozwalały mu na czynne uczestnictwo w utarczkach sąsiedzkich. Z daleka tylko i niezbyt mocno trzymając się na swym wierzchołku przyglądał się tej czy owej nieudolnej akcji obronnej podejmowanej przez zbrojny gromadę ciemnych chłopów, jego żołnierzy. Tak przynębiające widowisko i brak w rodzinie

młodego mężczyzny doświadczonego w sprawach wojny skłoniły go do najęcia (a przynajmniej udzielenia im gościny w swym domu) starych żołnierzy zaciężnych, o skórze połataną jak portki wyrobnika; żalonych zdegradowanych wojaków, którzy wałęsali się po wybrzeżach Wielkiej Rzeki w oczekiwaniu kogoś, kto zaufa ich doświadczeniu (bo już nie ich męstwu i sprawności). Te nędzne, rozproszone widma dawnych triumfów – lub sromotnych dezercji, bo wszystkiego było po trosze – w końcu zawładnęły jego domem i objęły dowództwo nad jego tchórzliwym wojskiem. Dla niego tymczasem długie zimy bezczynności stały się nie do zniesienia. A że nie był dość bystry, by rozegrać partię warcabów nie przegrawszy albo nie zasnąwszy w czasie gry, szukał, gdziekolwiek mógł, jakiegoś mniej lub bardziej przyjemnego sposobu ożywienia swej mało zabawnej egzystencji. Podszuczwanie moich braci było, jak się zdaje, radością najbardziej dostępną.

A jednak niegdyś cieszył się sławą męznego, nawet nieustraszonego wojownika. Często słyszałem moją matkę wzdychającą za czasami, kiedy jej małżonek zwykł zapuszczać się poza wydmy, by łowić dzikie konie, które w potyczkach granicznych straciły swoich jeźdźców ze stepów. Na tym być może polegał sekret naszej stadniny, która była liczniejsza i posiadała okazy szlachetniejszej rasy, niż można było znaleźć w stajniach innych panów, znacznie potężniejszych. Podczas takich wspominków nieraz mogłem słyszeć, że moją matkę, a nawet służące niepokoiło odkrycie we mnie dzikości, nie mniejszej niż ta (tak już przytępiona), jaką odznaczał się autor moich dni. Jeszcze jako mały chłopczyk – kiedy ledwie mogłem wspinać się na skały – słysząc niepokojące prognozyki dotyczące mojej osoby, biegłem przegłądać się w strumieniu, szukając znaków owej dzikości w moim odbiciu. Woda odbijała wtedy spłaszczony obraz małego liska: to samo błyszczące spojrzenie, to samo zdumienie w oczach. Jeśli słońce padało z tyłu, na kark, aureola zmierzwionych

kosmyków, niemal białych, otaczała moją głowę niby jakieś drugie słońce, niemiłe oku i źle rozproszone. Po tych kontemplacjach biegłem szukać mego ojca i widziałem go kłusującego na koniu w postawie tak niedołącznej, że było coś wręcz nieprzyzwoitego w tym widoku. Wtedy drżałem ze zgrozy na myśl, że pewnego dnia stanę się taki sam.

W czasach mego pradziadka otoczono rodzinną osadę palisadą z ostrokołów zamiast muru obronnego i dobudowano przy dawnej przestrzeni mieszkalnej wieżyczkę, zdolną pomieścić głowę rodu i jego wszystkich członków, jak również załogę mającą bronić tej fortuny. Kiedy się urodziłem, wszystko wyglądało tak samo jak wtedy, nikt nie wprowadził ulepszeń ani nie wyrządził żadnych szkód (a to już dużo powiedziane, zważywszy czasy, w jakich się żyło). Pośród wielu niezwykłych zalet, jakie niegdyś zdobyły mego ojca, mówiono z szacunkiem o jego zręczności myśliwskiej. Tak też podłogę w jego izbie – zamiast siana, jak wszędzie indziej – zaścielały skóry wszelkiego rodzaju, od kozłowej do wilczej (nie licząc lisa i innych szkodników oraz wielu pięknych i niewinnych mieszkańców lasu). Skóry przykrywały również łóże i ściany. Reszta wieżyczki i jej pomieszczeń była raczej ponura, zaniedbana i brudna.

W obrębie osady znajdowała się także kuźnia, w której kowal ukuł broń mego ojca i jego synów, młyn, szopa i warsztat do garbowania skór, stodoła, stajnia i kilka chat dla ludzi, którzy doglądali tego wszystkiego. Wśród mieszkańców naszego domu pierwsze miejsce zajmował bezspornie Mistrz Fechtunku: tak go kazał nazywać nasz ojciec, ponieważ ćwiczył w tej sztuce jego synów, póki pozostawaliśmy pod tym dachem. Zjawił się tu pewnego dnia, porzuciwszy bandę włóczęgów, która wokół nas krążyła: dawny bojownik, zwyciężony w daremnej walce przeciw starości, cięty w języku, chytry i kłamliwy (a może prawdziwy epigon chwały już minionej) – był postacią, którą najlepiej zapamiętałem z czasów

mego dzieciństwa. Twarz miał przeoraną na dwie części wielką blizną, w sposób nader osobliwy, tak jakby jego prawy profil należał do innej osoby niż lewy. Z tej to przyczyny – jak opowiadał – wzięto go pewnego dnia za czarownika i zamierzano spalić żywcem, kiedy w ostatniej chwili zstąpił z niebios Archanioł Gabriel i ocalił go z płomieni (ku osłupieniu gawiedzi, która oddała mu należną cześć, naturalną w obliczu takich cudów). Kiedyś, w jakimś dziwnym porywie rozpacz, wskoczył na jednego z koni stepowych mego ojca i cwałował z podniesioną włócznią w stronę wydm. Zdawali się wtedy tworzyć jedno ciało: oszalały koń, który zgubił jeźdźca i przegrał bitwę, oraz zgrzybiały bojownik, któremu pozostała już tylko furia życia. Ten upiorny galop przetrwał i pozostanie na zawsze w mojej pamięci. Mój ojciec posiadał także liczne stado kóz pobierał daninę od drzewa, jakie chłopcy wycinali w lasach na północny zachód od pastwisk. W obrębie palisady założono serownię według jego pomysłu. Zaofiarował poza tym schronienie szewcowi, aby na całe życie zaopatrzyć w obuwie swoją prędko niszczącą je drużynę. Ale szewc umarł (jak słyszałem, z przemęczenia nadmiarem pracy), zanim skończyłem osiem lat. I od tego czasu nikt się nie zajmował tymi drobiazgami. Oprócz butów z koziej skóry, zgrzebnych tkanin, które wyrabiała moja matka i jej obie służące, rondli i narzędzi, jakie sporządzała czeladź, wszelkie artykuły używane zarówno do przyodziania ciała, jak i urządzenia domu, były rzadkością wręcz nie spotykaną.

W znacznej mierze przyczyniła się do tego nieżyczliwość, jaką darzył mój ojciec kupców i ich karawany. Ci unikali jak mogli przejeżdżania przez nasze ziemie, gdyż krążyły pogłoski, że mój ojciec wspomaga bandy zbójckie, aby grabić kupców na drogach i, jak łatwo się domyślić, dzielić się łupem. Mówiono też, że kazał swoim ludziom wywracać ich wozy, ponieważ wszystko, co się rozsypało na jego ziemiach, przechodziło na jego własność. I o ile mogłem wywnioskować, wedle

powszechnego przekonania osławieni zbójcy napadający na karawany byli nie kim innym, tylko własną i osobliwą drużyną mego ojca, złożoną z podupadłych eks-bohaterów przez niego goszczonych. Jak łatwo zrozumieć, rzadko mieliśmy okazję kupić coś od tych czy innych ludzi, którzy ze swoim towarem zapuszczali się na nasze ziemie. Z dnia na dzień odzież niszczyła się i dała, psuły się, łamały i wreszcie znikaly garnki i przedmioty domowe, przy czym żadna z tych rzeczy nie była nigdy naprawiana ani zastąpiona inną. Tak więc dni nasze upływały w najdotkliwszym niedostatku i zaniedbaniu.

Te wszystkie braki i trudności usprawiedliwiają, być może, zgorzkniałe usposobienie mego ojca, jego oschłość, wiecznie zmarszczone czoło i jadowitość języka. Poza tym ojciec żył w poufałej – pod koniec swych dni raczej sennej – komitywie z kilkoma młodymi dziewczętami ze wsi, które sprowadzał do siebie dla rozrywki, tak że zmusił moją matkę – bardzo na tym punkcie drażliwą – do ostatecznego opuszczenia zarówno jego łoża, jak i stołu. Nie chcąc być narażoną na ich towarzystwo, urządziła sobie w końcu, jak potrafiła, małą osobną alkowę i zamknęła się w niej razem ze swoim kołowrotkiem i kobietami, które zazwyczaj jej towarzyszyły.

Ale wszystko to bardzo się już poplątało we wspomnieniach mego dzieciństwa i nie mógłbym stwierdzić na pewno, czy rzeczy działały się tak, jak o tym opowiadam, czy raczej tak, jak mnie o nich opowiadano. Tak wielka była odległość – w latach i charakterach – która zawsze oddalała mnie od mojej rodziny i wszystkich ludzi.

Byłem jeszcze bardzo mały, kiedy moi bracia odjechali na zamek Barona, tak że z tych czasów pamiętam ich tylko jako trzech ciemnych jeźdźców cwałujących zazwyczaj w pobliżu Wielkiej Rzeki. Ilekroć spotykali się ze mną, częstowali mnie kopniakami i obelgami, a nawet



pluli na mnie, tak że prędko zdołałem się zorientować co do ich uczuć pod moim adresem. Potem usłyszałem, że ćwiczą się w rycerskim rzemiośle i jeśli na to zasłużą, w swoim czasie mają być pasowani przez samego barona Mohla. „Kiedy przyjdzie twój czas – mówiła mi matka – ciebie również to czeka”.

Wymieniłem już prawie wszystko, co się wówczas składało na nasz dom i majątek, nie powiedziałem wszakże, że najcenniejszym z darów fortuny były nasze winnice. Dawały wino złotoróżowe, delikatne i aromatyczne. Obecny baron Mohl żywił do niego tę samą słabość co jego przodkowie i mój ojciec miał obowiązek dostarczać mu co roku na Boże Narodzenie trzecią część swoich zbiorów. Było to prawo, którego, o ile mi wiadomo, nie wyrzekł się żaden z Mohlów. Oprócz władzy, wyniosłej i wojowniczej natury, ziemi, ludzi i obawy przed podobnymi sobie, Mohlowie dziedziczyli niezmiennie, jeden po drugim, upodobanie do soku naszych winnic. Toteż po każdym winobraniu słyszałem te same lub bardzo podobne przekleństwa i złorzeczenia z ust mego ojca, poświęcone wyłącznie tej daninie i jej egzekutorowi. Nigdy jednak nie miał dość sprytu ani odwagi (ani broni), by oprzeć się tym upartym gustom swego pana, musiał więc, chcąc nie chcąc, znosić je przez całe życie.

Jego niezadowolenie i urazę łatwo zrozumieć, jeśli się zważy, że mój ojciec (w tej samej albo i większej jeszcze mierze niż cały ród Mohlów razem wzięty) gustował w owym jasnym i aromatycznym trunku. A wino, którym autor moich dni raczył się w zapamiętaniu pomieszany z rozpaczą, stanowiło zarazem najważniejszą część jego dobytku.

W święta winobrania zawsze panowała u nas atmosfera jakiejś tłumionej gwałtowności. Jak na dnie rondla, trzymanego na wolnym ogniu, wrzały w głębi duszy ojca długie historie upokorzeń i krzywd, a ponad tym wszystkim jakieś niecierpliwe pragnienie zemsty lub powrotu dalekich blasków (i nawet gwałtów), niejasnego pochodzenia i znaczenia.

Te z trudem hamowane gwałty fermentowały w trzewiach gniewu, z każdym rokiem przybierając na sile. Przy tej okazji nie tylko powtarzały się podejrzenia co do legalności moich narodzin, ale także wybuchała zazwyczaj jakaś nienawiść, mniej lub bardziej skryta i rozproszona: zarówno w świadomości panów, jak i czeladzi. Nienawiść ta w takie dni znajdowała łatwe usprawiedliwienie, toteż prędko i na szeroką skalę dawali jej folgę wszyscy składający się na ten mały świat. Ptak zemsty szybował nisko nad ziemią, zataczając powolne kręgi w święta winobrania. I gdy zaspokoił – w rzeczywistości czy na pozór tylko – swe pragnienie, miejsce akcji okrywała mgła unosząca się znad Wielkiej Rzeki.

Nazajutrz, kiedy wymieciono ostatnie ślady zabawy – prawdziwej podniecającej i pozbawionej wszelkiego umiaru – niebo o świcie ukazywało się czyste, pogrążone w jesiennym spokoju. Spokoju, który ciągnął się leniwie aż do zimy.

Nie był to jednak spokój prawdziwy: w jakimś ukrytym i nieznanym miejscu płonęły zarzewia waśni, żar utrzymywał się pod popiołami. Była na naszej ziemi i wśród ludzi świadomość istnienia jakiegoś kultu, wierzeń i tradycji, niezupełnie zaginionych. Przetrwały pewne obrządki i zwyczaje – a nawet ofiary krwawe, chociaż już nie w ludziach – na cześć naszych dawnych i utraconych bogów, mimo że ci byli już tylko cieniami utraconej religii. Ale jeszcze zachowali chłopi wetknięte w ziemię, gdzieś na końcu ogrodu, wyschnięte ze starości kawałki drzewa pokryte tajemniczymi znakami. Gnieździły się jeszcze dalekie duchy i lęki, ale prości ludzie nie wahali się ich dzielić z obrzędami i wiarą, jaką nam dał Rzym. I muszę stwierdzić, że mój własny ojciec zachował w swej sypialni – i dopóki mieszkałem w jego domu, zawsze ją tam widziałem – starą wychudłą kozę, nieznanego pochodzenia, i we wszystkie ranki i

wieczory, jeśli nie był pijany i nie spał, odprawiał do niej modły mrucząc zaklęcia w języku, którego nawet on sam nie rozumiał. To jednak bynajmniej nie przeszkadzało mu w tej samej sypialni przechowywać i czcić relikwię świętego Arlona, chociaż skromną (posiadanie relikwii prawdziwych Patronów Rycerstwa było ponad jego możliwości), i polecać się temu świętemu protektorowi przy każdej okazji. Nie był mój ojciec człowiekiem pobożnym, ale zbudował kaplicę w obrębie palisady, utrzymywał kapelana i często wysyłał dary pobliskiemu klasztorowi kamedułów. Dary o wiele powyżej jego fortuny i które zyskały mu sławę szczodrości i bogobojności.

Tego dnia kiedy skończyłem sześć lat, matka gwałtownie obudziła mnie ze snu. Jeszcze nie odebrano mnie spod jej opieki – to dopiero miało nastąpić za rok – i czy to z racji surowego życia, jakie zmuszona była prowadzić, czy dlatego że mój wygląd i twarz za bardzo jej przypominały mego ojca – nie miała zwyczaju okazywać mi czułości czy przywiązania. Po obiedzie tego dnia spałem sobie słodko na sianie, kiedy przyszła i zaczęła mnie szarpać bez ceremonii. I jeszcze na pół uśpionego wyprowadziła mnie z wieży i poza obręb palisady.

Doszliśmy do placu położonego na wzgórzu, u którego stóp rozciągały się winnice, łącznie, część Wielkiej Rzeki, słowem, cała panorama winobrania. Przez chwilę ciągnęła mnie po placu to w tym, to w tamtym kierunku swymi kościstymi rękami, ale wkrótce zrozumiałem, że nie przyprowadziła mnie tu, żebym oglądał zabawę czy jakieś widowisko ucieszne. Chciała, abym był świadkiem przykładowej kary, która miała na zawsze wyryć się w mojej pamięci. „Jesteś uparty – mówiła ciągnąc mnie wciąż za sobą. – Jesteś dziki, zuchwały i drapieżny jak twój ojciec. Ale bądź pewien, że ja wbiję ci do głowy, choćby młotkiem, respekt i

dobrze obyczaję, i bojaźń bożą albo sama umrę w tym trudzie”. Ponieważ dobrze wiedziałem, że nie zamierza umierać ani w tym wymienionym trudzie, ani w żadnym innym – przyjąłem w zrezygnowanym milczeniu przyływy jej pedagogicznego zapachu. Ale wiedziałem też, że w takie dni chłopom i wyrobnikom (podobnie jak całej służbie w domu) uchodzą wybryki i rozluźnienie obyczajów właściwe tym, którzy wypiją za dużo, nie odgadywałem więc i nie przypuszczałem, w jakiego rodzaju przykładowym widowisku czy lekcji mam uczestniczyć.

Prawdę mówiąc, matka nie przyprowadziła mnie tu, żebym oglądał karę, tylko żebym wziął udział, rzecz by można, w zbiorowej zemście, zacieklej i niemal radosnej.

Przedmiotem tych uczuć były, jak to spostrzegłem natychmiast, dwie kobiety (matka i córka), które mieszkały pod lasem. Nie podlegały żadnemu panu i dlatego ich egzystencja wolnych wieśniaczek była o wiele cięższa niż dola ostatniego parobka. Miały tylko jedną kozę i żywiły się jej mlekiem i serem, a trudniły się rąbaniem i sprzedażą drewna, płacąc memu ojcu daninę za korzystanie z jego lasów. W czasach buntów albo najazdu na te okolice obcych band, które pustoszyły nasze lasy, nie miały gdzie się ukryć, nikt nie chciał im udzielić schronienia za swymi murami, tylko opat przyjmował je w obręb klasztoru. Mimo tak ciężkiego losu nie budziły w ludziach żadnego współczucia, wręcz przeciwnie. I nie było kradzieży kury, kozy czy jakiegokolwiek innego zwierzęcia w gospodarstwie, o którą by ich nie obwiniano. Można zapewnić, że z takich oskarżeń i sądów wychodziły pobite i pokaleczone, i pamiętam nawet, że raz dwaj wieśniacy, rozwścieczeni śmiercią kozy, obcięli starszej z nich trzy palce u prawej ręki.

Tym razem oskarżono je o czary, rzucanie uroku i niegodziwe konszachty z Panem Ciemności. Od pewnego bowiem czasu spadały na nasze ziemie nieszczęścia, jedno za drugim: jakaś nieznana epidemia

zdziesiątkowała stada kóz, dziwny żółty suchy deszcz – Rosa Szatana – zniszczył olbrzymią część upraw winorośli i, na dobitkę, w przeciągu kilku dni wiele zgonów, absolutnie niespodziewanych, nastąpiło wśród dzieci. Dzieci, które jeszcze nie wyszły z kołysek, gdzie je zaskoczyła nagła śmierć.

Ludzie, doprowadzeni do rozpaczy, wrzeli nienawiścią, jakby ciemna krew – w której istnienie nigdy nie wątpiłem – płynęła pod winnicami, grożąc wybuchem i zalaniem ziemi w każdej chwili. Kto wie, jaką chytrą perswazją zdołano wyrwać z obydwu kobiet przyznanie się do winy o nieproporcjonalnych wymiarach, w każdym razie tak było. I natychmiast jakiś zmysłowy szal okrucieństwa wstrząsnął spletaną knieją świadomości, i wydało mi się, że słyszę trzepotanie skrzydeł i ochryple krakanie nad świętem winobrania. Sto, dwieście palców, szorstkich i szerniałych jak winne pędy, wskazywało dwie kobiety i wyrok nie kazał na siebie długo czekać.

Zaledwie matka ustawiła mnie – właściwie niemal mnie cisnęła na krawędź wysokiej płaszczyzny – ponad spokojem pierwszych godzin popołudnia zdawała się przelewać wichura tak niezwykła, że tylko zamknięwszy oczy można było ją wytrzymać. Ale jakaś siła wyższa od mojej woli zmusiła mnie do ich otwarcia i wydało mi się, że tylko w ten sposób powróci do winnic cisza, dojrzała i czerwona jak słońce jesienne.

Kończyło się święto i jak było w zwyczaju w te dni, wino krążyło obficie. Cała ziemia i nawet rzeka zdawała się nim zalana i przesiąknięta jego zapachem. Rozległ się nagle jakiś głos przypominający wycie psa w księżycowe noce. Poznałem w tym lamencie głos kowala (którego mój ojciec miał w wielkiej estymie). Człowiek ten ożenił się z pewną dziewczynką, która się tu przybłąkała, i choć ta liczyła zaledwie dziewięć lat, urodziła mu syna. Z tego, co mogłem zrozumieć z jego jęków, dziecko dostało nagle straszliwych konwulsji i skonało. Kowal oświadczył wśród

łkań, że stracił je na skutek czarów tych dwóch wiedźm, i teraz, bez tchu, domagał się pewnej łaski i przywileju.

Słoma, paździerz i uschłe gałęzie winorośli rzucone już były na stertę pod stopami dwóch czarownic i kowal błagał, aby pozwolono mu przytknąć do stosu pierwszą płonącą głównię z ogniska. Od czasu do czasu przerywał prośby i ryk straszliwy (choć może to był tylko jego sposób szlochania) wstrząsał powietrzem aż do rzeki; i raz po raz powtarzał imię swego zmarłego dziecka. Łzy spływały po jego zarośniętych policzkach. I to imię dziecka, wymawiane z taką obsesją, widać było wyraźnie posuwające się za chmurami w kierunku stepów.

Wkrótce udzielono mu przywileju, o który tak rozdzierająco błagał, i nagle doznałem wrażenia, że znam, czy niegdyś znałem, przed wiekami (ponad firmamentem i rzeką bez brzegów, do której, jak strzałą trafiony ptak, wpadało imię dziecka), to samo winobranie i te same głosy. Nawet ogień, którego jeszcze nie podpalono; więcej jeszcze: niezliczone winobrania lat minionych i tych, które miały nastąpić, leżały na dnie mego umysłu zabarwione odcieniem i zapachem, zamierającym lub przybierającym na sile ponad krwią (czy też może, ponad jakimś jasnym i pachnącym winem).

Osobliwa radość zapłonęła w oczach kowala, gdy uzyskał żądane przyzwolenie. Wymówił wtedy, bardzo powoli (nie wiem z jakiego powodu), imiona swoich trzech ulubionych kóz, a potem wziął rozżarzoną głównię, podpalił garść paździerzy i przybliżył ją do drewna. Następnie wstrząsany konwulsjami i zataczając się, jak człowiek zbyt przepełniony winem albo bólem, rozpoczął jakiś dziwny taniec dokoła stosu, w podskokach i pośród krzyków, za nim ruszyło w te płąsy wielu innych, mężczyzn i kobiet (zdaje ani się nawet, że uczestniczyły w tym także zwierzęta).

Patrząc na to, miałem wrażenie, że znam ten obraz, istniejący w

najbardziej odległych zakątkach pamięci, i że zawsze rozpoznam go poprzez wieki i tłumy ludzi.

Mocny zapach ziemi i winogron wzbіл się w powietrze równocześnie z uderzeniem dzwonów, którymi targał mnich w kaplicy mego ojca, i nie mogłem rozpoznać, czy dzwon i ten smak, i zapach, który czułem na języku, żądają litości czy zemsty. Zapach spalonych łądyg winorośli, nieba zmoczonego deszczem i wina przepełnił całą moją istotę, wciskał się wszystkimi porami mego ciała i ducha. I na zawsze będzie to dla mnie zapach i smak dnia, w którym się urodziłem.

Za przykładem wielu innych kobiet, które przyprzewodziły tu dzieci, moja matka kilka razy uderzyła mnie po twarzy, krzycząc, bym nigdy nie zapomniał kary, na jaką zasługują ci, co odchodzą od dobra i wpadają w otchłań bezbożności, herezji, czarów lub innych bezceństw. Chciałem jej wtedy powiedzieć, że trudno byłoby mi zapomnieć coś, co znałem tak dobrze od nieskończonej ilości winobrań poprzedzających ten dzień, w którym się narodziłem. Ale sześćcioletnie dziecko nie potrafi dobrze wyrazić tych rzeczy. Przeobraziłem się w parę olbrzymich oczu tak nieznośnie otwartych, że mogły chyba objąć najdalsze widnokregi świata.

Wszystkie moje zmysły połączyły się w jeden tylko: wzrok. I zobaczyłem (tak jasno, jakby dzieliła nas tylko odległość skoku charta) ciało starszej kobiety, podobne do jednego z tych pustych i zniszczonych bukłaków, które piętrzą się w głębi piwnic i z których chłopcy robią sobie maski w Dzień Zaduszny. Był to prawdziwy bukłak pogryziony przez zgłodniałe bepańskie psy, wszędzie szukające substancji dla umocnienia swoich starych kości; bukłak poszarpany zębami szczurów, z wielkimi plamami czarnozielonej pleśni; jak odrzucone łachmany, beużyteczne odpadki, często widywałem w moich gonitwach dziecinnych podobne bukłaki, których przeznaczeniem było ploszyć, w formie masek, w święta zmarłych, widmo śmierci lub zapomnienia.

Choć powietrze było jeszcze rozgrzane, zdawało mi się, że mróz szczypie moje policzki i czoło. Zobaczyłem wtedy wiatr: wiatr inny niż wszystkie, jakie dotychczas znałem – a wiele ich dmie na naszych równinach. Nie poruszał trawy ani liści, ani włosów czy odzieży ludzi.

Tak jak bukłak, ciało staruszki pozbawione było twarzy. Zamiast niej strzęp skóry (jak futro wiewiórcze wietrzące się pod okapem) ukazywał się furii powszechnej. I zobaczyłem ów pomarszczony, krwawiący jeszcze ranami bukłak w całej jego nędzy: dwa wymiona zwisały aż do brzucha ocierając się (we wszystkich swych barwach jesieni, od sieni do malwy) o liczne fałdy pępka. I mogłem nawet dostrzec sięgający dna nędzy kontrast między starczą zwiędłością ciała a osobliwym gniazdem rudego puchu (tej samej niemal barwy co ogień, który miał je za chwilę pożreć) pod jej brzuchem. Odbijał od swego tła tak dziwnie, że nie mogła mnie zadziwić żarłoczność płomieni, które go natychmiast pochłonęły (bo to spłonęło w niej przede wszystkim).

I wtedy rozpełtał się nieruchomy wiatr, który tak wyraźnie widziałem. Potężny ryk wielu paszcz buchnął z korzeni drzew i zdawało się, że za chwilę rozerwie ziemię na dwoje. Najpierw otwarł się brzuch, olbrzymi uschły owoc ukazujący niewiarygodną wizję swych wnętrzności obrośniętych oślepiająco białym, tłustym światłem, tak białym, jakim świecą tylko błyskawice. Lecz nie jedna, tylko tysiące błyskawic się tam zatrzymało, gęsty, mdlący zapach wypełnił powietrze, którym oddychaliśmy, i wtargnął tak gwałtownie w mój nos, usta i oczy, że zacząłem wymiotować straszliwie, czując całe moje ciało wywracające się dnem do góry jak torba.

Moja matka zaczęła mną wtedy potrząsać, chwytając za ręce i nogi, uniosła moją głowę zimnymi palcami i ryknęła z kolei (bo wszystko tam staowało się rykiem):

– Zapamiętaj na zawsze tę karę!



Zadałem sobie wtedy pytanie, co powinienem zapamiętać, kogo i co. I nowy okrzyk – jeszcze bardziej ponury i dźwięczny, bo zdławił wszystkie inne – wznosił się ponad rozpetaną wrzawę (grozy, radości czy zemsty) i swąd spalonego ciała. Był to mój własny krzyk, rodził się ze mnie, z jakiejś niezbadanej jaskini mojej istoty. Ale nikt prócz mnie nie mógł go dosłyszeć, gdyż rozpełł mi się na języku i czułem, że trzeszczy jak piasek między zębami.

W tej samej chwili stary bukłak zatrząsł się od góry do dołu, jakby miał się roztopić i rozlać niczym sadło. Przybrał wtedy barwy zmierzchu, szerniał przy swoich otwartych brzegach, stawał się fioletowy. Tu i ówdzie wzbily się błyski zieleni, pierzchliwej i syczącej. Wreszcie bukłak rozpadł się, przeobrażony całkowicie w drzewo o płomiennie zielonych gałęziach wokół zwęglonego pnia.

Pozostał tylko ogień odradzający się w tych fioletowych strzępach, tam gdzie niegdyś płonął tak niebezpieczny duch. I wydało mi się wtedy, że noc staje się biała, a dzień czarny, kiedy w rzeczywistości nie było ani dnia, ani nocy nad winnicami. Tylko zmierzch, coraz bardziej daleki.

W ten sposób po raz pierwszy objawiły mi się barwy czerni i bieli, które miały mnie prześladować przez całe życie i które, jak wówczas myślałem, rozdzielają na dwoje świat.

Przez trzy dni nie byłem zdolny zamknąć ust. W tym przykrym objawie moja matka – i wielu innych ludzi, którym o tym opowiadała ze wszelkimi szczegółami – widziała potwierdzenie ostatniego przekleństwa czarownicy. Według zdania niektórych z obecnych staruszka przez cały czas nie odrywała oczu ode mnie, dopóki starczyło jej na to siły, oddechu czy po prostu oczu. Ale ja nie widziałem tego spojrzenia, tak jak nie widziałem jej twarzy ani jej córki, która płonęła na stosie razem z matką.

Na jakiś czas straciłem głos i zdolność mowy. Później, z wolna – nie wiem dokładnie, w jaki sposób – zacząłem ją odzyskiwać. W mojej

pamięci pozostało natomiast mocne przekonanie: czarownica nie rzuciła na mnie przekleństwa. Raczej przeciwnie, spośród wszystkich mężczyzn, kobiet i zwierząt, obecnych przy jej męczarniach, ja byłem przedmiotem jakiegoś jej specjalnego wyboru.

Przez wiele dni chodziłem nasepiony i samotny, uciekając od innych dzieci w moim wieku i od wszystkich ludzi. Uciekałem nawet od mojej matki. Potem, z nadejściem zimy, przerwały się moje samotne spacerunki wokół winnic i chłód zmusił mnie do zamknięcia się w wieży razem z matką i resztą kobiet.

W miarę jak mijał czas, zapomniałem albo przynajmniej odsuwałem coraz dalej na dno skrzyni pamięci pewność, że między mną i tamtą staruszką istniał jakiś pakt i że ów nieruchomy wiatr, który widziałem własnymi oczyma, odpychał mnie na olbrzymią odległość od osób, z którymi współżyłem i wśród których się narodziłem.

Czasami tylko drżałem na widok zbyt jasnego światła obok zbyt mocnego cienia i wtedy ukazywała się moim oczom jakaś straszliwa walka, dzika i rozpaczliwa. Zdaje mi się, że w takich chwilach tarzałem się po ziemi z krzykiem. Ale moja matka – która zawsze widziała w tym skutki ostatniego złego spojrzenia tamtej nieszczęśniczki – przywodziła mnie wtedy do rozumu wylewając na głowę dzbanek wody (pobłogosławionej przedtem przez zacnego kapelana). Albo po prostu biła mnie po twarzy.

Długie jeszcze dysputy wiodła moja matka z innymi kobietami, czy powinni byli zmusić staruszkę, aby najpierw, przed własną śmiercią była świadkiem męczeństwa córki, czy też na odwrót. Kobiety niezamężne były za tą drugą możliwością, a te, które miały dzieci, za pierwszą, bo, według zapewnień wychodzących z zaciętych ust matczynych, nie istniało w świecie nic, co mogłoby się porównać z cierpieniem matki, która widzi, jak umiera i cierpi owoc jej wnętrzości. Słyszając, jak to mówi, zajęta czesaniem wełny, przedzeniem czy łuskaniem grochu, bardzo dziwnie mi

było myśleć, że jestem jej dzieckiem, i wyobrażałem sobie siebie samego jako jedną z tych fig suchych i pomarszczonych, które przechowywała w słoikach z melasą, by osładzać nasze zimne wieczory zimowe.

I rozmyślając nad tymi rzeczami, czułem wielki niepokój i przygnębienie.

Wreszcie gawędy kobiet przeszły na inne tematy, lżejsze i bardziej pożyteczne od roztrząsań problemu tortury i ogniska, którego popioły już rozniósł wiatr. Wspinając się na skrzynię, przez wąskie szczeliny okienek w sypialni ojca dostrzegłem czarną tłustą plamę na ziemi. Nie wiadomo dlaczego – z tego miejsca nie można było widzieć na tę odległość – wyobraziłem sobie, że to popioły ogniska nienawiści. Dzień po dniu przyglądałem się tej plamie, aż wreszcie wichry zimowe zmiotły ją całkowicie. Tak że i ten ślad (prawdziwy czy urojony) pożarł czas.

Ale nie dla mnie, bo nigdy nie miało się zatrzeć w mej pamięci ogniste drzewo ludzkie ani wściekły krzyk winobrania.

## II. SAMOTNY JEŹDZIEC

Począwszy od dnia, w którym baron Mohl podniósł ich do godności szlachty, mężczyźni w mojej rodzinie całkowicie oddali się służbie i sztuce wojennej. Wszelkie zajęcia i troski gospodarstwa pozostawili w rękach sług, chłopów wolnych i niewolnych, a w zamian za to otrzymali tytuły, ziemię na własność i prawo do jej dziedziczenia.

Zgodnie z obyczajem mój ojciec wsadził mnie na konia, zaledwie osiągnąłem lata wystarczające, by się na nim utrzymać. I rzec można, że od tej chwili zwierzę to stało się moim jedynym nauczycielem i przyjacielem i jedynym dobrem na tym świecie. Ponieważ żywot mego ojca – podobnie jak jego niezdolność do wszystkiego, co nie było zaspokajaniem jego apetytów – przedłużał się w sposób zaiste niezwykle, w czasach kiedy ja się urodziłem, przepuścił już prawie całą swoją fortunę. Moi bracia zabrali ostatnie – chociaż skromne już – splendory tego domu. Mnie już nawet nie przypało w udziale nędzne skrzydełko gęsi zjadanej na wieczerzę.

Samotny i odgradzony od ludzi przez choroby i lata, grzęznący w nałogach, z których niewiele mógł już czerpać przyjemności, autor moich dni niewiele albo i wcale się mną nie zajmował. Moja przyszłość i nawet życie obecne uzależnione były wyłącznie od własnej odwagi i szczęścia. Co do mojej matki, zaledwie wyłączono mnie spod jej opieki, poprosiła swego małżonka, by pozwolił jej odejść i poświęcić swe dalsze życie modłom i medytacjom, jakby uznała, że z tą chwilą spleacony został jej uciążliwy obowiązek macierzyński, jedyny powód, który aż do tej pory mógł ją utrzymać w tak jej przykrym towarzystwie. Mój ojciec odniósł się do tego nadzwyczaj przychylnie, polecając jej, by się modliła za zbawienie duszy swego męża i synów, jak również tych wszystkich, którzy w jej mniemaniu mogli potrzebować tak zbożnych rekomendacji. Otrzymawszy

jego przyzwolenie, matka zabrała swoje kołowrotki i z kilkoma zacnymi niewiastami, małym stadem owiec oraz workiem nasion wyruszyła do pobliskiej zburzonej kapliczki, niegdyś spalonej i splądrowanej przez hordy konnych. Tam zajęła się odświeżeniem swego nowego miejsca zamieszkania, wszystkie kobiety przywdziały zgrzebne szaty, obcięły włosy i zabrały się do wrywania chwastów i uprawiania porzuconego ogrodu. Dzięki temu, co dawał ogród, wełna, mleko i towarzystwo owiec, wegetowały tam pośród wiatrów i odgłosów beczenia. Oprócz tych zajęć oddały się prawdopodobnie pokucie i sprawom zbawienia duszy, zarówno, własnej, jak i cudzych. Ale też niewątpliwie żyły zgodnie z własnym upodobaniem – czego z wszelką pewnością nie mogłyby praktykować dawniej.

Wyłączony spod jej opieki w wieku siedmiu lat, już nie widywałem wcale mojej matki. Tylko w niektóre popołudnia dostrzegałem ją z daleka, gdy szła w stronę wydm, w gronie swych towarzyszek. Poznawała mnie zapewne, bo dawała mi znaki machając ręką z daleka.

Ja też wiedziałem, że to ona, widząc tę rękę, niepodobną do żadnej innej, rękę, która biła mnie kiedyś po twarzy.

Chłopi dbali, a nawet czasem rozpieszczali swoje dzieci: ubierali je w barwne płótna, utkane przez matki. Ale tak było, tylko póki nie osiągnęły wieku, w którym dzieciństwo jest już zaledwie snem. Wtedy odbierali im nagle wszelkie przywileje i od tego momentu czekało je życie równie mało godne pozazdroszczenia jak ich rodziciele.

Przeciwnie, dzieci szlachetnie urodzone, zaledwie odłączone od matczynej spódnicy, musiały wykonywać najcięższe roboty, stawiać czoło mozołnym próbom, a nawet okrutnym doświadczeniom. Za to gdyśmy dorośli, przeznaczono nam najwyższe miejsce we wspólnocie ludzkiej. Tak też – jak to słyszałem wielokroć powtarzane przez moją matkę i wszystkich z mego otoczenia – wycuczeni w szkole męstwa i surowości

od dzieciństwa mogliśmy, posiadłszy honory i przywileje, nie obawiać się surowości i sprawiedliwości sądu, jakiego wymagała nasza szlachezna kondycja.

Zbyteczne mówić, że ledwie wyrzałem poza mur dzieciństwa, słowa te stały się dla mnie pustym dźwiękiem. Jak wykazywało w sposób oczywisty wszystko, co mnie otaczało, mąż szlachećnie urodzony pochwycałszy raz obydwoma rękami – i możliwie najmocniej – swoje tak pożądane stanowisko w świecie, starał się powetować sobie wszystkie dawne wyrzeczenia, wszystkie ciężary, jakich wymagała tak surowa edukacja. Wystarczyło mi spojrzeć na ojca, aby się utwierdzić w tych myślach. Niemniej muszę podkreślić (dla usprawiedliwienia nieufności, która opanowała mnie już w latach dziecięcych), że w naszych pustynnych okolicach niewiele miałem okazji stwierdzić, jak powinien postępować prawdziwy rycerz.

Nie skończyłem jeszcze ośmiu lat, gdy bezpośrednio z alkowy mojej matki musiałem zejść na najniższy stopień uciemnienia. A że wieżyczka mego ojca z wolna rozpadała się w gruzy i we wszystkich izbach skrajne zaniedbanie panoszyło się jak chciało, od tego dnia nie miałem ani stałego miejsca do spania, ani nawet zapewnionego wyżywienia, które pozwalało nasycić głód. Ponieważ z natury byłem tak żarłoczny jak mój ojciec i moi bracia, bardzo z tego powodu cierpiałem, pomimo że przedtem matka także nie wyróżniała mnie nigdy względami żadnego rodzaju.

Zazwyczaj mościłem sobie legowisko w najciemniejszej i najzimniejszej części wieży, nad lochami, ponieważ było to jedyne miejsce wzgardzone przez innych. W zimie słyszałem wodę płynącą pod kamieniami i drzałem nieustannie z zimna i wilgoci. Niemniej tylko tym miejscem mogłem dysponować, ponieważ każde inne zazwyczaj było zajęte i bronione kijami przez wojowników-włóczęgów, dworaków mego ojca. I miałem szczęście – a może to ich powstrzymywała duma mego

zachowania – że nie wypędzili mnie kopniakami także z tak niegościnnego schronienia. Nieraz musiałem układać się do snu pod schodami wieży, tam gdzie się gromadzili żebracy i włóczęgi, którzy w naszym domu szukali schronienia na noc. Ale wszystko, co wówczas straciłem na wygodach i dostatkach, zyskałem na doświadczeniu i poznaniu ludzkich obyczajów i postępków. To wszystko, co wtedy widziałem i słyszałem, było bowiem nauką nie do zlekceważenia.

Muszę jednakże stwierdzić, że główną przyczyną mej tak pożałowania godnej sytuacji było niemal całkowite ogłupienie, w jakie wówczas popadł mój ojciec. Jego rozum był tak przyćmiony, że tylko w ważnych okazjach – jak pewne daty decydujące w moim życiu – promień światła przedzierał się poprzez tłuszcz i ciemności paraliżujące myśl. Przy tych okazjach zdołał wydać trafne rozkazy co do kierunku, jaki powinno przybrać moje życie. I za to bardzo mu jestem wdzięczny.

Można powiedzieć, iż od dnia, w którym rozpocząłem moją edukacją mężczyzny, siodło mego wierzchowca było mi poduszką, a kurz i koński galop jedynymi towarzyszami.

Koń ten znaczył dla mnie bardzo wiele i zawsze będę go wspominał ze specjalnym wzruszeniem. Nazwałem go Krim, tym samym imieniem, jakie nosił Mistrz Fechtunku, którego dał mi ojciec i o którym już przedtem mówiłem. Nazywając obydwóch jednakowo, nie potrafię powiedzieć, który z dwóch dał swoje imię drugiemu, tak nieliczne wzory miała do dyspozycji moja wyobraźnia.

Pewnej nocy podczas libacji, które zwykły przedłużać się po wieczery, mój ojciec popadł w osobliwy nastrój: bądź to dawał ujście swym uczuciom patriarchalnym, bądź bolesna tęsknota za lepszymi czasami rozrzewniała jego bojową naturę. Pośród tych sentymentalnych fluktuacji walnął pięścią w stół – tak że uleciały w powietrze ogryzione kości i rozlało się wino – i wyraził gorące życzenie, aby któryś z próżniaków

zaludniających jego dom schwytał dla mnie konia stepowego, bo, jak upewniał (nie bez słuszności), to będzie jedyna na tym świecie rzecz, jaką może mi dać, godna mego rodu. Ów zrujnowany zabytek bogatej w czyny wojenne przeszłości, którego nazywam tu Krimem-Wojownikiem, słuchał ze specjalnym zainteresowaniem tych życzeń i ubolewań. Już wówczas zwykł udzielać mi pierwszych wskazówek w sztuce atakowania i obrony i choć znikł jego wigor z czasów triumfu, myślę, że swoim przykładem i bystrością osiągał w udzielanych mi naukach rezultaty nie najgorsze. Jednocześnie z naturalnym onieśmieleniem mój Mistrz Fechtunku budził we mnie podziw i niezwykłą fascynację, zarówno kiedy opowiadał mi o szaleńczych imprezach i dzikich bitwach (gdzie, rzecz jasna, jego postać wysuwała się na czoło w aureoli największego bohaterstwa), jak wtedy gdy jednym susem wskakiwał na konia i wydając dzikie okrzyki pędził w kierunku wydm w patetycznej szarży przeciw piaskom. Ze środka jego czaszki (poza tym łysej) wyrastała obfita kępa włosów, którą związywał cienkim paskiem z rzemienia i podczas tych galopad spalony słońcem warkoczyk powiewał na wietrze jak spłowieła chorągiewka, przeżytek bohaterskiej i niesprawiedliwej klęski. Dotąd jeszcze rozbrzmiewają echa jego przypominających wycie okrzyków w zakamarkach moich wspomnień, i widzę czasem jeźdźca promieniejącego blaskiem chwały – bo w tamtych czasach widziałem go pędzącego jak drugie słońce po niebie mego dzieciństwa.

Bardzo podobnym wyciem posługiwał się Krim-Wojownik jako jedynym językiem naszych lekcji. On to pierwszy w moją dziecinną rękę włożył gardę szpady setki razy ostrzonej, którą moi bracia w tym samym wieku uczyli się rozcinać wiatr. Krim-Wojownik podnosił swe krótkie ramię, pokryte ruchliwymi gruzełkami ciała, które niegdyś były wspinałą muskulaturą (jeśli wierzyć, tak jak ja wierzyłem, w liczne zwycięstwa i potyczki, w których z reguły był głównym bohaterem). Wydając głucho



ryki umiał – jeśli nie ścinała mi się lodem krew w żyłach, paraliżując ruchy – rozwinąć zarówno pomysłowość, jak i drapieżność autentycznego wojownika w swoim uczniu. Nigdy nie słyszałem od niego innego rodzaju wyjaśnień (to znaczy, jak się powinno lub nie powinno chwytać do ręki i manewrować bronią). Ta osobliwa forma nauki, aczkolwiek lakoniczna, była, muszę to przyznać, bardzo skuteczna. Uważam bowiem, iż nie ma lepszego nauczyciela niż chęć ocalenia w podobnych opałach, już nie mówię skóry, ale bodaj ucha.

Od tego wieczora, kiedy mój ojciec okazał tak wielką szczodrość – przynajmniej w życzeniach – dla mojej osoby, Krim-Wojownik wydawał się pogrążony w nieustających rozmyślaniach. Może całe miesiące upłynęły, zanim objawił swoje zamiary czy bodaj w jakikolwiek sposób o nich wspomniał. Ale wiedziałem, że problem konia dla mnie nie schodzi mu z myśli. Wiele dni zatem minęło na ćwiczeniu mego małego, acz silnego, ciała w obronie przed jego cięciami, pośród rozkazujących krzyków i świstu pejcza, który zawsze nosił za pasem (i którym łaskotał bądź mój policzek, bądź uszy czy jakikolwiek najbardziej narażony na uderzenie punkt mego ciała). I mogę upewnić, że wcześniej nauczyłem się wywijać i uchylać przed objawami cudzej furii niż namacalnie wyrażać własne podobne uczucia dla moich bliźnich. Krótko mówiąc, nauczyłem się wskakiwać i zeskakiwać z konia jednym susem, jeździć na siodle i na oklep, uchylać się przed ostrzem lancy lub rzemieniem, nie mówiąc już o unikaniu kopniaków wymierzanych zarówno przez mego Mistrza, jak i przez hufiec sławnych wojowników, obwarowanych murem zgrzybiałości mego ojca. I w znacznej mierze tym dniom zawdzięczam biegłość, jaką się zawsze odznaczałem, w unikaniu tego, co się nazywa przejściem do lepszego żywota.

Na tych lub podobnych zadaniach skupiało się moje zainteresowanie, gdy pewnego popołudnia Krim-Wojownik kazał mi usiąść za sobą na

swoim koniu. Zerwał się silny wiatr i jeszcze zanim mój nauczyciel ze swoim głuchym okrzykiem wbił pięty w boki swego konia, podmuch niosący z sobą suchy i twardy deszcz z wydm wściekle zakołysał warkoczem na pustynnym środku jego głowy. Podniósł ramię usiane gruzłami, tak że przypominało strąk fasoli, zardzewiałą lancę skierował w próżnię i ruszyliśmy cwałem w stronę stepu. Uczepiony ramionami i nogami jego ciała, przygwożdżony do końskiego zadu, oślepiiony i bliski uduszenia piaskiem i zjełczałą wonią łoju oraz rzemienia emanującą z jego osoby, poczułem się uniesiony nad ziemię jakąś siłą wyższą i nieznaną.

Nie wiem, ile czasu jeszcze atakowaliśmy wiatr ani ile słyszałem krzyków, ani ile cieni jeźdźców, czarnych i przezroczystych zarazem, przemknęło po niebie podczas naszej straszliwej szarży. Widziałem tych wojowników bardzo wyraźnie, unosząc głowę z podbródkiem wbitym w plecy Mistrza, przymykając powieki, żeby mnie nie oślepił piasek z wydm. Widziałem ich, słyszałem krzyki nad moją głową i, sparaliżowany strachem, czułem kopyta koni przebiegające po naszych czołach, ponieważ wszystko – ich krzyki, lance, ich dzikość i piękność wyrastały z jakiegoś innego ogromnego lamentu, który docierał do mnie rozproszony, powtarzany bez przerwy w ogromnym echu świata.

Kiedy wiatr ustał, ostatni piasek opadł na ziemię w suchym drobnym deszczyku; znikli wrogowie i triumfy, tak jak niknie w kurzawie wszelki ślad kroków. I hamując swego konia Krim-Wojownik i ja za nim posuwaliśmy się lekkim truchtem, przeszyci na wskroś ciszą i absolutną samotnością. Step ofiarowywał się moim oczom, moim uszom jak głuchy odgłos uderzanej skóry, płaskie głązy wznoszące się tu i tam pośród zarośli przywodziły mi na myśl werble jakiegoś bębna wojennego na czatach. Znikli już niebiańscy wojownicy, lecz zdawało mi się, że słyszę ich nadal, chociaż wiedziałem, że wchłonęła ich pustka olbrzymiej kłęski, tak już bezużyteczna jak chwała.

Wtedy za małym pagórkiem ukazał się ten, który stał się później moim najulubieńszym Krimem-Koniem. Był czarny, z długą grzywą, unosił chrapy oszołomiony nieobecnością tego, który go dosiadał (i którego niewątpliwie utracił). Krim-Wojownik chwycił mnie wtedy oburącz jak ciężki worek i rzucił o ziemię. Zaledwie wygramoliłem się na nogi, odgarniając kosmyki zasłaniające oczy, usiłując zatamować krew płynącą z kolan, przygryzając wargi, żeby nie krzyknąć – zobaczyłem, jak Krim-Wojownik posuwa się wolno z miękkością ruchów nigdy nie podejrzewaną w człowieku tak szorstkim i prymitywnym. Okrążył w ten sposób przerażonego Krima-Konia raz i drugi, osaczając go coraz ciaśniej, ostrożnie, aby uspokoić drganie, które od czasu do czasu wstrząsało zwierzęciem w trwodze niemal ludzkiej. Zapomniałem wtedy o skaleczeniach i bólu i skupiłem całą uwagę na obserwacji tego, co miało nastąpić. I podczas gdy Krim-Wojownik trzymał wciąż Krima-Konia w swoim miękkim węzowym pierścieniu, obydwóch okrążał lekkim i czujnym truchtem koń Krima-Wojownika, niby czujna żywa forteca, która zarazem chroni i uniemożliwia ucieczkę swego więźnia. Wreszcie mój Mistrz wskoczył na młodego kania stepowego i rozpoczęła się furia taneczna, konwulsyjna, jęcząca; między żółtymi chmurami krzyki i rzenie łączyły się w jeden głos. Ciało Krima-Konia zdawało się giętkie jak trzcina. Widziałem go przecinającego powietrze zupełnie jak bat, z podniesionymi przednimi nogami krążył na tylnych, mieszały się grzywa i rozpacz, strach rozcieńczony już w krzyku Krima-Wojownika. Wreszcie koń pobiegł naprzód przez step niosąc na swoim grzbiecie przyklejonego jak ślimak do skorupy swego pogromcę. A koń mego Mistrza biegł za nimi radosnym kłusem, z grzywą na wietrze. Myślałem wtedy, że wszyscy trzej znikną na zawsze, być może w niebie minionej chwały, tym, którego jedyny ślad czasem odzyskiwali ci, co byli mężni, porwani halucynacją albo zwyciężeni.

Ale wrócili. Wrócił piasek, a potem nagle wiatr. Wtedy Krim-Koń oszalał zupełnie. Obrócił się tysiąc i jeden razy wokół własnej osi niby doprowadzony do rozpaczy kierat, i znowu zaludniły step niebieskie błędzące smugi i echa. Sto tysięcy wojów zapełniło i zaciemniło niebo: krzycząc zesзли, by uczestniczyć w kłęsce młodego zwierzęcia. Aż wreszcie w galopie, uwięzionym w echu dawnych bitew, zwycięstw i pogromów, hamowanym w dalekich wspomnieniach, powrócili do rozległego rajy zapomnienia. Krim-Koń oddychał jak umierający, wyglądał jak uosobienie porażki, ujarzmiony batem i krzykami Krima-Wojownika. Gorące zwierzę, znowu zagubione, drgało pod ciężarem wojownika, który zwyciężał własną ruinę.

W ten sposób otrzymałem mego pierwszego konia. Zaprowadziliśmy go do domu już późnym wieczorem i mój ojciec przyznał, że choć trochę za młody, jest cennym okazem swej rasy.

Począwszy od tego dnia narodziło się we mnie nowe uczucie w stosunku do mego Mistra: coś, co dziś uważam za pierwsze zbliżenie do ludzi, bo w tym uczuciu mieszały się w równej mierze podziw, zaciekawienie i lęk.

Ale jak zawsze i nieuchronnie działo się dla mnie na przestrzeni czasu, człowiek ten – jak wszystko, do czego się w jakiś sposób przywiązałem – znikł z mego życia. I nie tylko z mojego życia: nazajutrz po tym zdarzeniu Krim-Wojownik opuścił nasze ziemie. I chociaż mój ojciec wysłał ludzi na jego poszukiwanie – bo bardziej niż sława wszystkich innych podobały mu się jego bohaterskie czyny i zwycięstwa nad Turkami – nikt go nigdy więcej nie zobaczył ani o nim nie usłyszał.

Kowal, który podpalił stos czarownic, wykuł dla mnie miecz i pewnego dnia, dostąpiwszy godności rycerza, miałem zawiesić go u pasa.

A także tarczę, sztylet i pugiuał. Musiałem jednak nadal ćwiczyc się sam, bez nauczyciela, w sztuce zadawania śmierzci i jej unikania.

Zgodnie z tradycją powinienem rozpocząć tę naukę w domu któregoś sąsiada szlacheckiego stanu, tak jak moi bracia, przed odjazdem na zamek barona Mohla. Ale nikt się tym nie zajął ani o tym nie pomyślał. I tak wiele już było tego, czego mnie nauczył zaginiony Krim-Wojownik i czego sam się nauczyłem na własną rękę.

Raz jeszcze znalazła potwierdzenie legalność mego urodzenia, ponieważ okazałem się równie porywczy, dziki i drapieźny, jak, według tego, co mówili ludzie, był mój ojciec i niewątpliwie moi niezbyt uprzejmi bracia. Gwałtowna moja natura miała więc aż za dużo pola do popisu i moje nerwy stały się tak twarde jak rzemień mego zaginionego Mistrza. Kilka razy spadłem z konia i przy jednej z takich okazji przez parę godzin byłem nieprzytomny i ocucono mnie dopiero wiadrem zimnej wody. Ale bardzo prędko wracałem do siebie po tych i innych wypadkach. W miarę jak moje ciało rosło i męźniało, dojrzewał także mój umysł.

Z wolna otrząsałem się z przywidzeń i wizji dziecinnych, z moich przedwczesnych prorocत्व i niejasnych nadziei. I nadszedł dzień, w którym myślałem już tylko o włóczni i sile mięśni. I doszedłem do przekonania, że w świecie istnieje jedno tylko prawo i że dyktują je wojownicy. Świat był według moich wyobrażeń krzykiem wojny.

Często śniła mi się wielka łąka z wysoką trawą, bardzo zieloną, kołysaną przez wiatr krwi. Widziałem ją zasłaną trupami nieprzyjacielskimi i mogłem nawet dostrzec przesywające ich ciała kawałki połamanej włóczni, sztandar na wietrze. Bo ciągle słyszałem takie rzeczy od wyczerpanej – acz bynajmniej nie zwięzłej w swych opowieściach ani powściągliwej – soldateski, coraz bardziej zwartym kręgiem otaczającej apatyczną alienację mego ojca (i na jego koszt żyjącej).

Strzępy ludzkie, widma minionej drapieźności (a może brawury),

smętni bohaterowie wzgardy wypełniali sobą dom, uczepleni ojcowskiego stołu, a nawet zwinięci w kłębek u stóp jego łoża. Rozpalali moją wyobraźnię opowieściami o bitwach, podbojach i śmierci, chociaż nikt nie dorównał w tym Krimowi-Wojownikowi. Ich wielkie, czasem straszliwe blizny, ich poturbowane ciała wydawały mi się upajającą i wspaniałą paradą chwały. Z utęsknieniem pragnąłem, żeby doszło do jakiejś napaści na nasz dom, marzyłem, że któregoś z sąsiadów, zwiedzonego fałszywą potulnością ojca, znęci perspektywa słabego oporu i zechce ograbić go z tego, co jeszcze pozostało. W ten sposób – marzyłem skrycie – zmuszony koniecznością, będę mógł wziąć udział w bitwie:

Ale do takiej napaści nie doszło. W dniach mego wojowniczego dzieciństwa cieszyliśmy się niebywałym spokojem, od czasu do czasu tylko zakłócanym przez potyczki i spory graniczne na ziemiach o niezbyt wyraźnej linii granicznej.

Mój ojciec był już w tym czasie zupełną ruiną. Stopniowe sztywnienie kości uczyniło go niemal bezwładnym. Ledwie mógł chodzić i trzeba go było przenosić na ramionach z miejsca na miejsce. W ten sposób okrążał całą osadę, szczerze okładając kijem tych, którzy mieli zaszczyt być jego bydłętami pociągowymi. Bez określonej przyczyny kazał się obnosić wokół wieży albo po jej izbach, co przy wspinaniu się po wąskich i śliskich schodach powodowało niejednokrotnie nieszczęśliwe wypadki, dostarczając nowej okazji do młócenia kijem na lewo i prawo. Ale tych, co go nieśli, grzmocił często bez przyczyny: już to, by w tej równie zwięzłej, jak mało uprzejmej formie wskazać im kierunek, w jakim mieli go nieść, innym razem po prostu dlatego, że miał na to ochotę. Jeśli była piękna pogoda, kazał się nieść w stronę winnic i tam, na widok pędów i dojrzałych gron śmiał się i płakał jak małe dziecko, wydając okrzyki tak niedorzeczne, że wzbudziłyby litość każdego, kto do takich uczuć okazałby się zdolny (co się nigdy nie zdarzyło).

Do noszenia go na ramionach najchętniej wybierał garbatych, co tłumaczyć należy tym, że ich pleców łatwiej mógł dosięgnąć kijem, gdyż wskutek wzrastających wciąż rozmiarów brzucha i sztywności kończyn coraz trudniej mu było unieść ramię i wymierzyć celny cios. Nie zmniejszał się natomiast jego żarłoczny apetyt. Do codziennej gęsi zjadanej wieczorem kazał dodawać owoce i jarzyny, ser i wino w wielkiej obfitości. Wszystko to pożerał z chciwością człowieka, który pościł przez długie lata, a tłuszcz spływał mu po brodzie i spasionych palcach. Ponieważ bardzo źle widział, kazał zapalać dziesięć albo więcej wiązek łuczywa w izbie, gdzie gromadzili się na wieczerę jego najulubieńsi towarzysze. Hultaje i darmozjady najróżniejszego gatunku znajdowali przy tym długim i wąskim stole dębowym dobre miejsce do zaspokojenia swoich apetytów i potrzeb. Rozmawiając wrzeszczeli jeden przez drugiego i pili do białego rana. Co do mnie, to nieczęsto mogłem korzystać z tak obfitych posiłków. I nie przez skąpstwo czy surowość mego ojca, lecz dlatego, że prawie nigdy o mnie nie pamiętał. Od czasu do czasu tylko wołał mnie (choć po chwili znowu przestał mnie dostrzegać) do tego stołu, gdzie w tak dziwaczny sposób mieszały się ze sobą dzieje bohaterskie i bardzo odległe, smażone mięsiwo, sprośność opowieści, zwanych miłosnymi, i coraz rzadziej okazywana czułość ojcowska. Nie jadłem tyle, co reszta biesiadników: jako najmniejszy, miałem także najkrótsze ramię i gdy je wyciągałem po odkrajany kęs, wyprzedzały mnie inne ręce, sprawniejsze w grabieży, oszustwie i porywaniu łupu. Toteż tylko czasem jakieś warzywo albo reszta zupy docierały względnie cało i bezpiecznie do mojej zgłodniałej paszczyki. Nieraz, zepchnięty lub przygnieciony przez ciała stłoczone na ławach, znalazłem się pod stołem, gdzie w braku innego, smaczniejszego mięsa, wbijałem moje ostre kły w zwiotczałe, niegdyś muskularne łydki tych nieszczęśników, zyskując sobie tym podobne odwzajemnione uprzejmości ze strony wybrańców

mej żarłoczości i furii.

Mimo to nie przypuszczam, by ktokolwiek z tych ludzi – łącznie z moim ojcem – żywił wobec mnie jakąś wrogość czy złą wolę. Przeciwnie, z tych czy innych wskazań, jakich się mogę doszukać w pamięci, wnioskuję, że niejeden z tych bezmyślnych wygnańców chwały okazywał w stosunku do mojej osoby więcej czułości niż kobiety (z moją matką na czele), obowiązane doglądać – z większą, jakby się zdawało, troskliwością i pieczołowitością – pierwszych dni mego dzieciństwa.

Czasami mój ojciec popadał w pewnego rodzaju sen na jawie, przerażający swym oderwaniem od rzeczywistości. Jeszcze przed końcem biesiady żądał, żeby go zaniesiono do łóżka, i kładł się, szlochając bez jakiegoś widocznego powodu. Wtedy rzucałem się na ogryzione kości z jego talerza lub rozrzucone obok. Mój głód był tak wielki, że broniłem tych resztek przed psami, odpędzając je moim małym sztyletem, i talk groźnie trzeszczały moje zęby, że ilekroć cudze apetyty próbowały zagrozić mojej porcji, źle na tym wychodziły. Kości miażdżyły się między kłami jak ziarno w kole młyna i wysysałem z ich wnętrza smakowitą krwawą substancję wchłaniając ją chciwie i upajając się jak winem. W tych momentach dzikiej rozkoszy i niecierpliwości czułem, jak rodzi się we mnie jakaś obłądna nienawiść bez określonego przedmiotu. Nie wiedziałem jeszcze, że to mego ojca – a może każdej żyjącej istoty – tak głucho nienawidzę. Bardzo daleki od tego przypuszczenia, byłem wtedy jeszcze stworzeniem zupełnie niewinnym.

W niektóre dni opanowywało mego ojca pewnego rodzaju głupie i bezsilne podniecenie rozbudzając jego niegdyś gwałtowne apetyty cielesne. Wysyłał wtedy swoją osobliwą gwardię przyboczną na poszukiwanie jakiejś nierozważnej lub naiwnej mieszkanki okolic. A kiedy ją (dobrowolnie, siłą czy apatycznie uległą) przyprowadzono przed oblicze ojca, umieszczał ją na stole, jak jeszcze jeden półmisek z



gęsią, w otoczeniu całej swojej zgrai. Wlepiął w nią oczy coraz bardziej galaretowate, jakby miały się roztopić i spłynąć po jego policzkach, po czym wybuchał śmiechem tak dziecinnym i głupawym, jak wtedy gdy go zanoszono do winnic. Szczypał jej ciało tu i ówdzie swymi tłustymi palcami o czarnych paznokciach i wreszcie wpadał w bezsilną furię, która zazwyczaj kończyła się atakiem płaczu. Wtedy kazał odprowadzić kobietę do domu, zalecając jej uczciwość i ostrożność, „bo to – zwykł mawiać pośród westchnień – wilki czyhają na biedne owieczki tam, gdzie najmniej się tego można spodziewać”. Potem żądał, żeby czym prędzej przygotować mu jedzenie, bo tym jeszcze potrafił cieszyć się najlepiej, albo kazał podawać wino i pogrążał się w pijaństwie (tym nigdy nie gardził). Po wyczerpaniu tych wiernych i stałych rozkoszy wycofywał się do sypialni na plecach swoich garbusów. Patrzyłem za nim, jak oddalał się schodami w górę, opasły, jęczący, powalony własnym tłuszczem, ukazując moim oczom ostrzegawcze i przykładowe widowisko najokrutniejszego zniszczenia i klęski, jakie może zmieść ludzka natura.

Pomimo tej niełatwej i prawdziwie twardej egzystencji niewątpliwie wyrosłem zdrowy, odporny i zahartowany jak włócznia. Zawsze byłem szczupły – jak mogło być inaczej przy tylu prywacjach i niepokojach – ale mięśnie miałem twarde, wyćwiczone i giętkie jak wygarbowana skóra, a nogi tak ruchliwe i taką celność wymierzania ciosu, jaką tylko ciągłe umykanie najbardziej nieprzewidzianym pułapkami i groźbom może zapewnić na tym świecie. Rosłem szybko, jak moi bracia, i zawsze górowałem wzrostem nad większością moich rówieśników, tak że dawano mi więcej lat, niż miałem w rzeczywistości. Mając lat jedenaście, wyglądałem na czternaście i tak było całe życie. Kiedy skończyłem jedenaście lat, dziewczęta (i nawet dojrzałe kobiety) zaczęły spoglądać na mnie Ukradkiem w sposób dość niepokojący. Czasami rozkwitała na nowo ciekawość, jaką w pierwszych latach dzieciństwa budził we

mnie mój własny wygląd, tak okrutnie opisany przez moją matkę. Tak jak wtedy poszedłem nad wodę, żeby przyjrzeć się swemu odbiciu, i wydałem się sam sobie tak brudny, obdarty i niezdarny że nie miałem więcej ochoty powtarzać tego doświadczenia. Toteż zbiły mnie z tropu te kobiece spojrzenia. Zawsze byłem bardzo brzydki: twarz lisa, spłaszczony nos, a włosy tak jasne, że w słońcu zdawały się białe, i ta ich właściwość niepokoiła każdego, kto ją zaobserwował, bo przecież byłem chłopcem, a nie starcem.

Mój ojciec czesał się według stylu naszych dziadków: wszystkie włosy zgarnięte na czoło, a kark wygolony. Był, jak ja, bardzo szpetny z natury, a fryzura ta czyniła go podobnym do straszdyła. Ale on zawsze dbał o ten szczegół, jeśli nie o inne. Co do mnie to nie udzielałem nawet takich starań mojej głowie, być może w przekonaniu, że – sądząc po autorze moich dni – lepiej zostawić stan rzeczy takim, jak jest, niż go pogarszać. A że moje włosy zaiste były obfite i rosły jak chciały, w najeżonych niesfornych kosmykach, na szczycie mojej figury powiewała grzywa czy pióropusz w rodzaju tych, które zdobią konie (tyle że bez szlachetnej wytworności tych zwierząt). Że zaś nie rozplątywałem ich nigdy, wkrótce opuściły mnie wszelkie pokusy, by nadać im wygląd bardziej ludzki.

Słońce i wiatr stepowy spaliły moją skórę, a od jej ciemnej barwy odbijały moje oczy takim kontrastem i spoglądały tak mało przyjaźnie czy po prostu z taką rezerwą, że chociaż były niebieskie (błękit, jak słyszałem, jest kolorem cenionym, jeśli chodzi o oczy, przynajmniej dla ludzi z mojej ziemi), lepiej byłoby, gdybym był ślepy na jedno oko, byleby to drugie miało spojrzenie bardziej pogodne czy bardziej zwyczajne. W sumie mogłem ocenić, że choć bardzo silne, ciało moje było smukłe, a nogi miałem długie, proste i bardzo mocne, bez tych źle rozmieszczonych wypukłości, które – sądząc z tego, co oglądałem codziennie u osób z mego otoczenia – przez długi czas uważałem za właściwe i naturalne uzupełnienie każdej

łydki, uznanej za ludzką. Ale gdy odkryłem, że właśnie moje ciało i nogi pozbawione guzów są celem tych onieśmielających spojrzeń, bardzo się uczułem zaskoczony i zdumiony naturą kobiecą.

Trochę mnie to odkrycie podniosło na duchu, gdyż dotychczas miałem siebie za nader szkaradne stworzenie. Tak też któregoś dnia wykradłem grzebień o długich zębach, który mój ojciec przechowywał w skrzyni, i usiłowałem nadać mojej osobie wygląd bardziej zwykły. Ale zobaczyłem utkwione w siebie żółte oczy tajemniczej kozy, patrzące na mnie z taką pełną złości pogardą, że uciekłem zawstydzony, usilnie pragnąc nabrać kiedyś dostatecznej odwagi, by zagłębić mój puginał między jej obwisłe wymiona (nigdy w sobie tej odwagi nie znalazłem).

Wszystkie te rzeczy jednak mieszały się i plątały w moim umyśle i miałem bardzo zagmatwane pojęcie o tym, co się ze mną działo, czy też o tym, co się działo wokół mnie.

I tak przyszedł czas, kiedy dość często nawiedzało mnie pewne niejasne pragnienie: nawiązać, jeśli nie przyjaźń – nie znałem znaczenia tego słowa – to przynajmniej znajomość, i móc rozmawiać z kimś, kto nie byłby jednym z eks-rycerzy gwardii mego ojca ani żebrakiem, ani złodziejem, ani też moim pocziwym koniem. Mnich, podobnie jak chłopci tutejsi, uciekał ode mnie i nieraz widziałem go żegnającego się ukradkiem, kiedy mnie spotykał na drodze, jakby zobaczył szatana ucieleśnionego w mojej osobie. Nie znajdując tego, czego pragnąłem – chociaż tak niejasno – szukałem więc skrajnej samotności.

Samotnie galopowałem po stepie i zagłębiałem się nawet w puszcze, u granic stepu, tam gdzie Krim-Wojownik złapał dla mnie Krima-Konia. Zacząłem nabierać upodobania do łowów i to mi dało jedną z nielicznych satysfakcji i radości w owych czasach. Coraz bardziej rozwijał się mój instynkt myśliwski i celność, tak że wracałem z polowania z coraz bogatszym łupem. I wreszcie mogłem jeść mięso aż do sytości. Nauczyłem

się bowiem manewrować łukiem i strzałami z tak niezwykłą zręcznością (i tym się zawsze wyróżniałem), jaką może dać tylko głód.

Czasem nawet zbywało mi na jedzeniu. W takich wypadkach piekłem mięso na rożnie i ukrywałem je do pożarcia w okresach mniej pomyślnych. Ale pod wpływem tej niezdecydowanej tęsknoty za rozmową ze stworzeniem ludzkim, nie przynależnym do co dzień widywanych mumii, kilka razy zbliżyłem się do grupy chłopców z upolowaną sztuką, jeszcze krwawiącą w ręku. Przedtem obserwowałem ich z daleka: wybrałem jednego i znalazłszy się przy nim próbowałem zaofiarować mu część mego łupu, powiedzieć mu, że chciałbym podzielić się tym smakołykiem z kimś, kto miałby moje lata i mówił moim językiem. Ale chyba nie znalazłem po temu właściwych słów, bo ledwie mnie zobaczyli, uciekali z przerażeniem. Doszedłem więc do wniosku, że wszyscy się mnie boją i widząc, jak głupio odrzucają moją ofiarę, czułem złość tak wielką i bolesną, że zdawała się rozdzierać mnie od stóp do głów. Wtedy wskakiwałem na konia i z furią goniłem chłopca, którego wybrałem, póki nie przewróciłem go i nie zbiłem okrutnie, tak że kiedyś wzrok mi się zaćmił od ciosów, jakie sam wymierzałem i odkryłem ze zdumieniem, że ta chwilowa ślepotą spowodowana jest niezrozumiały mi i nagłymi łzami.

Te wybuchy sprawiły, że jeszcze bardziej wzrosła moja fama bezlitosnego furiata, kiedy w rzeczywistości byłem, owszem, gwałtowny, lecz ani bezlitosny, ani też skłonny do roztkliwień, bo nie miałem okazji praktykować żadnej z tych rzeczy ani nie znajdowałem przedmiotu, który by we mnie te uczucia budził. Oprócz gniewnej urazy przesywał mnie w takich wypadkach ogromny ból i czułem go w moim ciele niby ostrze miecza.

Pewnego dnia, ukryty za drzewami, usłyszałem, jak kilka kobiet rozmawiając między sobą mówiło, że jestem równie okrutny jak moi bracia. Zaskoczyła mnie i zmieszała ta opinia: nie jestem okrutny,

myślałem; ale może nie miałem duszy albo była tak bezsilnie skurczona i pozbawiona pokarmu, że mało jej brakowało do opuszczenia mego ciała. Ta rewelacja skłoniła mnie do refleksji i rozmyślałem, choć szło mi to powoli i z trudem, nad faktem, że mimo wszystko mam duszę ludzką, jak każdy inny. Długo się nad tym zastanawiałem. Ale miałem równie niejasne pojęcie o duszy ludzkiej, jak i o jej przymiotach i właściwościach. Nieraz starałem się wypłoszyć ją przy pomocy bicia z jakiegoś sługi, żebraka czy kogokolwiek odpowiedniego do tego celu, kogo znalazłem pod ręką. I czasem działało się to nawet bez prawdziwego powodu do takich wybuchów mego niewątpliwie zapalczywego temperamentu. Myślę teraz, czy to nie był jedyny dla mnie dostępny sposób komunikowania się z bliźnimi.

W każdym razie w owym czasie nie zabiłem nikogo, to znaczy żadnego stworzenia mego gatunku. A co do zwierząt, zabijałem tylko te, którymi mogłem się karmić, bo miałem w sobie dosyć honoru czy może świadomości, by uważać, że przemoc i gniew – a wiedziałem, że wiele tego mam w sobie – nie są siłami, którymi powinno się szafować bez określonego celu czy korzyści. I mówiłem sobie, że tak mogą postępować tylko ludzie bardzo tępego mózgu (a nie wydawało mi się, żebym do takich należał).

Polowanie zatem wypełniało znaczną i bynajmniej nie błahą część mego żywota. Dzięki niemu mogłem pochłaniać rodzaj pożywienia, który inaczej jadłbym bardzo rzadko, jeśli nie wcale. Nauczyłem się obdzierać zwierzęta ze skóry, a potem ją garbować i tym sposobem sam zwykłem sobie łątać moje nader skromne szaty i obuwie.

Moja matka zapewne umarła wtedy albo nie żyła już od jakiegoś czasu, nie mógłbym dokładnie tego określić. Wiem tylko, że pewnego dnia zakopały ją te kobiety, które jej towarzyszyły, bo znam miejsce, gdzie jest jej grób.

Kiedyś zdarzyło się coś, co głęboko wstrząsnęło moim życiem: ktoś

zgodził się przyjąć moje zaproszenie i podzielić ze mną upolowaną sztuką zwierzyny. Nie był to sługa ani wasal, ani nawet żołnierz, tylko żebrak. Stało się to w sposób następujący: zaczęła się właśnie najlepsza pora do polowania na dziki i pierwszy raz zdecydowałem się ubić jedną z tych wielkich i prawdziwie groźnych sztuk. Dotychczas wydawało mi się to bardzo trudne i nie wykluczam możliwości, iż wpłynęły na to niezliczone historie, jakie od dziecka słyszałem opowiadane przez wasalów i pacholków, a nawet i żołnierzy. Twierdzili oni, że dzika nie powinno się ruszać, a tym bardziej zabijać. Ukłuty ciekawością słuchałem pilnie tych zwierzeń i wreszcie zasłyszawszy trochę tu, trochę tam, doszedłem do wniosku, że ten zakaz wypływał z jakiegoś strachu, bardziej niewytłumaczonego niż obawa śmierci. Dzik – a zwłaszcza ten o złotej sierści – był stworzeniem na pół świętym, a na pół piekielnym, w każdym razie stworzeniem nadprzyrodzonym, które towarzyszyło w lasach czy na łąkach istocie, sile lub bóstwu – niewątpliwie już martwemu lub przynajmniej pogrzebanemu przez wiarę z Rzymu – zsyłającemu płodność. Potem odkryłem w na pół spalonych napisach czy znakach pokrywających kołki w ogrodzie mniej lub bardziej rozpoznawalny rysunek dzika. Czasem także widziałem zawieszony na szyi jakiegoś chłopa kiel jednego z tych zwierząt.

Ale choć te opowiadania budziły w mojej duszy jakieś nieswoje uczucia, po pewnym czasie odrzuciłem te niepokoje i poszedłem na poszukiwanie mojej zdobyczy z prawdziwą emocją i wyzwolony z tych lęków.

W dniu kiedy powaliłem jedno z tych zwierząt, stałem przez długą chwilę nieruchomo, oszołomiony i pogrążony w pewnego rodzaju głębokiej radosnej przyjemności, obserwując zabita bestię. Był to warchlak, właśnie o złocistej sierści. Konając wydał głuchy ryk, spomiędzy kłów trysnął czerwony cienki strumyczek, który wstrząsnął mną tak, że sam z kolei

jęknąłem. Był to dzień prawdziwie ważny dla mnie. Obdarłem go ze skóry i wypatroszyłem, skórę napiąłem do wyschnięcia, a w końcu zrzuciłem z małego wzgórze łeb – i widząc, jak się toczy, doznałem dziwnego i przykrego wrażenia. Poćwiartowawszy mięso, upiekłem udziec i zjadłem go z wielką rozkoszą. Był niezwykle smaczny, chociaż bardzo twardy.

Wkrótce poczułem ociężałość i senność, po zaspokojeniu mej naturalnej żarłoczności, a zarazem na skutek emocji tego przeżycia. Z melancholią spoglądałem na mięso, które jeszcze zostało, choć je przyprawiłem, jak umiałem – a nie byłem bardzo zręczny ani nie miałem do dyspozycji rzeczy potrzebnych do takich zajęć. Mięsa było za dużo i rozumiałem, że zepsuje się i zgnije, zanim zdążę je zjeść. Gorzkie doświadczenia i duma nie pozwoliły mi się zwrócić do służebnych czy wieśniaczek i prosić, żeby je posoliły i zamarynowały, jak widziałem, że to robią z dziczyzną. Owinąłem więc to, co zostało, w kawałek skóry, ukryłem między kamieniami, gdzie zwykle trzymałem resztki innych łupów i chodziłem smutny, zniechęcony i zgęębiony z kąta w kąt.

Tej nocy wziąłem siodło mego konia (które zwykle służyło mi za poduszkę) i poszedłem spać pod schody wieży, bo w końcu to miejsce stało się dla mnie przyjemniejsze niż twardy barłóg nad lochami. Tam, udając śpiącego lub nie – zależnie od tego, co mi radził zdrowy rozsądek – mogłem widzieć i słyszeć rzeczy, które budziły moją ciekawość i zainteresowanie, gdyż w miarę jak mijał czas, wszelkie próby nawiązania z kimś rozmowy stawały się dla mnie coraz trudniejsze, jeśli nie niemożliwe.

Tej nocy schronił się tam żebrak, którego twarz ukryta była niemal zupełnie pod ciemnym kapturem. Jego bose stopy sterczały spod zgrzebnej podartej siermięgi, kiedy zwinął się w kącik jak zwierzę w swej norze. Ale gdy wyciągnąłem się obok niego, podniósł głowę i ześliznął się nieco jego kaptur, a wtedy zobaczyłem twarz chłopca, w której błyszczało dwoje

jasnych oczu, bystrych i czujnych. Nie wiem, jaki był prawdziwy impuls, który mi kazał potrząsnąć jego ramieniem i powiedzieć mu, że jeśli jest głodny, mogę mu dać jeść. Przez chwilę milczał jakby zaskoczony (albo tak mi się zdawało). Jego twarz, ciemna i koścista, nosiła wyraźne ślady cierpienia i widać było, że nie znał nigdy niczego, co byłoby radością i wygodą, bodaj najmniejszą.

– A czego żądasz ode mnie w zamian? – odezwał się wreszcie, ale tak ostro, że zdawał się raczej kąsać niż mówić.

– Nic – powiedziałem, nie wierząc własnym uszom, zdumiony, że mnie nie odepchnął. – Chcę tylko się podzielić z tobą tym, co upolowałem: wystarczy dla dwóch.

Nie czekając dłużej, podniosłem się i ciągnąc go za suknię powiedziałem, żeby szedł za mną. Zaprowadziłem go do kryjówki, gdzie trzymałem moje zapasy. Obaj zabraliśmy się do jedzenia. Jadł z żarłocznością, którą niemal można było przyrównać do mojej. Potem dałem mu się napić wina, które nauczyłem się wykradać z piwnic ojca i które także tam ukrywałem. Długo jedliśmy i pili, nie rozmawiając więcej.

Najadłszy się do syta, siedliśmy pod murem i oddychaliśmy zadowoleni, patrząc w ciemność nocną. Chciałem mu coś powiedzieć, czy może spytać go o coś, ale nie znajdowałem odpowiednich słów i to budziło we mnie jakąś niesłuszną i nie dostosowaną do okoliczności urazę. On przemówił pierwszy, równie niespodziewanie i szorstko, jak za pierwszym razem pod schodami. I powiedział coś, co naprawdę wydało mi się dziwne:

– Jeżeli jesteś synem pana tej włości, kiedyś będziesz człowiekiem potężnym.

Przełknąłem ślinę – bo wiele mnie kosztowało mówienie – zanim odpowiedziałem, że istotnie mam taką nadzieję, bo kiedy mój ojciec umrze, ja będę panem i władcą całej okolicy. Było to kłamstwo i mówiąc



zdawałem sobie sprawę, że moi bracia nie rozumują tak prosto i nie są tego samego zdania w tej kwestii. Ale nie wiedziałem, co innego mógłbym powiedzieć, bo te ani podobne im myśli nigdy przedtem nie przeszły mi przez głowę.

– W takim razie – mruknął młody włóczęga z rozmarzonym wyrazem twarzy – kiedy będziesz wielkim i możnym rycerzem, wezwij mnie, a przybiegnę wtedy niechybnie i będę walczył u twego boku, przeciw komu każesz i kiedy każesz.

Potem mało już mieliśmy sobie do powiedzenia, tak że starannie zakopawszy ogryzione kości wróciliśmy pod schody. Zasnąłem mocno pod wpływem dziwnego, ogromnego zmęczenia, jak po ciężkiej walce. Ale to zmęczenie tkwiło nie w ramionach ani nogach, ani w jakimkolwiek miejscu mego ciała, lecz wewnątrz mojej istoty, nieuchwytnie i pienne jak wino, powiedziałbym nawet, że przyjemne.

Gdy zaczęło świtać, obudziłem się, tknięty wielkim niepokojem. Chciałem powiedzieć żebrakowi, żeby tu został w naszej ziemi, bo jeśli chce być moim giermkim, jakże może spełnić to życzenie, jeśli – gdy nadejdzie czas – ja nie będę mógł go znaleźć. Z wielkim zdumieniem najpierw, a potem z głuchym i okrutnym gniewem stwierdziłem, że jego miejsce pod schodami jest puste. Mój wczoraj poznany i jedyny przyjaciel znikł nie pozostawiając żadnego śladu, za to zabrał z sobą mój pugnał.

Porwała mnie taka furia, że miałem chęć wskoczyć na Krima i pędzić na jego poszukiwanie, żeby go zabić. Nikt nigdy nie zwrócił się do mnie z podobnymi słowami jak on i dlatego absolutnie nie do zniesienia było jego odejście, które uważałem za ucieczkę. Ale prawie natychmiast furia opadła i zmieniła się w cierpienie, tak niezwykle i nieznanne, że długą chwilę stałem jak martwy, nie myśląc o niczym ani nie czując nic prócz mojej własnej nędzy.

Był to pierwszy smutek mojego życia i poprzez ten smutek zdawała

się przedzierać smużka światła, która zdołała rozświetlić ciemność moich myśli. Zalśniła złotym blaskiem mgła mojej pamięci i powrócił czas pewnego winobrania, kiedy upadłem na ziemię jak rażony gromem i straciłem mowę, wybrany ofiarą ogromnej niepojętej predestynacji.

Przez cały dzień następny zdawało mi się, że widzę galopujący przed oczyma mój własny smutek. Wydawał się niezdarnym, niedoświadczonym rumakiem, który pierwszy raz stracił jeźdźca i nie wiedział, gdzie skierować swoje kroki.

### III. WINOBRANIE

Przyszły znowu święta winobrania i skończyłem trzynaście lat. Odkąd wyszedłem spod opieki matki, mogłem w czasie tej uroczystości, na szczęście czy na nieszczęście, przebywać z dala od miejsca, gdzie ją święcono. Zazwyczaj spędzałem te trzy dni zamknięty w jakimś odosobnionym zakątku wieży albo w lesie, zabraniając sobie samemu wszelkiego udziału w zbiorowej radości, zgiełku i podnieceniu. Być może w pierwszych latach pozostało jeszcze w mojej duszy wspomnienie i zapach zdarzenia, które talk mną wstrząsnęło w tamtym dniu. W ostatnich jednak czasach wspomnienie to leżało gdzieś skulone w mojej pamięci, jeśli nie zapomniane, to z pewnością pogrzebane pod warstwami otepienia i brutalności. Toteż, może świadomie, a może bezwiednie, zatarł się wszelki jego ślad.

Tym razem postąpiłem inaczej. Święta rozpoczęły się, kiedy zbiory były już ukończone i hodowcy pogrążyli się w pracy nad wyrobem wina. Tłoczono grona w piwnicach, cierpki, oszalały wiatr wstrząsał gałęzmi. Jedyny raz w roku wino krążyło bez żadnych ograniczeń pomiędzy panami winnic i służbą. Rozdawano wszystkim porcje mięsa, chleba i ciasta z owocami. Panowała wielka swoboda aż do usprawiedliwienia wszelkiego rodzaju ekscesów. Tak było zawsze – od bardzo odległych czasów – tak trwało nadal i trwać miało przez wiele jeszcze lat.

Prawda, że w ciągu tych dni silniej niż zazwyczaj dochodziły do głosu odwieczne złe przywary, pogańskie obrzędy, nie wyłączając krwawych ofiar. Cień zmarłych bogów unosił się nad całą ziemią niewidzialny, lecz przytłaczający, wlokąc za sobą długi krzyk pośród uschłych pędów i gron. W piwnicach stały pełne stągwie i bukłaki. Wiatr roznosił zapach winnego moszczu, oddychało się nim wszędzie. We wszystkich oczach, choćby

poprzez najhałaśliwszą radość, błyszczał ogień ukryty i nieraz złowrogi.

Powoli zbliżyłem się do tłoczni. Zaczęło się już objawiać podniecenie, nagle gwałtowne śmiechy krążyły po wydmach jesieni, jak zakneblowany grzmot lub utajona groźba burzy pod skórą nieba. Drobny deszcz, ledwie wyczuwalny poprzez słoneczne światło, padał na ludzi i winnice. Kobiety przykrywały głowy chustkami, inne przeciwnie, ukazywały rozpuszczone włosy, mokre i błyszczące, a wszystkie twarze zdawały się czerwone i spocone.

Wtedy dobiegł do mnie ostry i gwałtowny zapach, zwierzęcy i ludzki zarazem, który przebudził uśpionego smoka w najskrytszych rzekach mego życia. Podniósł się wtedy samotny zwierz o gniewnych oczach, widziałem, jak unosi łeb złocisty i krwawy ponad szerokie liście winorośli, między grona jagód, które wypełniały kosze, przywodząc na myśl ogromne krople purpurowego deszczu, matowe, a zarazem przezroczyste. Jakiś świetlisty sok tryskał spod tłoczni, spadał do drewnianej kadzi, a małeńkie rzeczki czerwonego złota, rozżarzonego jak słońce lub płonące ognisko, płynęły niczym nie skrępowane do czarnej ziemi. Podeszedłem bliżej, próbując skryć się między drzewa otaczające tłocznię. Były to drzewa morwy, ich owoce przypominały winne grona w zmniejszonych rozmiarach i rysowały granatowe, prawie czarne kręgi wokół warg tych, którzy je gryźli. Kilka morw spadło na ziemię i patrzyłem na rozgniecione, zapewne rozdeptane jagody. Ich sina krew mieszała się z deszczem i rozlanym winem.

W tym momencie wyszło z piwnicy kilka kobiet niosąc dzbany wypełnione po brzegi aromatycznym, delikatnym, lecz burzącym krew trunkiem, który tak cenili Mohlowie i mój ojciec. I który (nagle to sobie uświadomiłem) takie pragnienie budził we mnie samym. Teraz to pragnienie owaładnęło mną i nie pamiętam, żebym je odczuł tak dotkliwie kiedykolwiek przedtem. Gwałtownie wyrwałem dzban z rąk jednej z

kobiet, nie zważając na jej pierwsze przerażone zdumienie (czułem pijąc i pijąc bez końca, jak osacza mnie jej trwoga i myślałem, że w winie utonie ten jakiś dystans, wielki lęk, który wbrew mojej woli w nich budziłem) ani później na jej śmiech, nieśmiały i cichy z początku, potem coraz śmielszy, piłem wciąż, dopóki mi nie zabrakło tchu. Wtedy wypuściłem z rąk dzban, który rozbił się u moich stóp, opryskując winem moje nogi, spojrzałem na otaczające minie kobiety i próbowałem z kolei ja roześmiać się lub przynajmniej uśmiechnąć.

Nie wiem, czy mi się to udało (i nie dowiem się nigdy). Ale cień nieufności, jeśli nie znikł, to przynajmniej zmienił się w lęk łagodny, tak zdradliwie miły, ożywiający pogrzebany ogień lub może zapalający w ich nieznaney siedzibie ukryte pędy winne, zawsze płonące. Wiedziałem to, czułem moje wargi, ręce i nogi, zmoczone winem i deszczem, z mieszaniną złości i słodczy, nieznaney i agresywnej, w powietrzu, którym z trudem oddychałem i które zdawało się żarzyć w moim gardle.

Skoczyłem potem do środka tłoczni i pełen prawdziwej najdzikszej furii zacząłem deptać grona, krzycząc, rozgniatając je po tysiakkroć; pośliznąłem się i upadłem wiele razy tarzając się w dymiącej krwi jagód.

Jakiś wspañały śmiech był wewnątrz i wokół mnie: ogromny wybuch śmiechu, który mnie nagle unosił i ocalał od wszelkiej nieśmiałości i smutku – poznanego ledwie przed chwilą – od gniewu i śmierci, znanych tak dobrze. Ogromny śmiech wstrząsał mną od stóp do głów, tysiąc czy dwa tysiące, czy siedem tysięcy razy wpadałem w to morze gęste, ciężkie i jednocześnie rozkoszne, okrutne i piękne; nigdy go nie znałem – i nawet nie przeczuwałem – ale tak mogłem sobie wyobrazić bezkresną wolność i piękno świata. Tysiące identycznie podobnych śmiechów opasywało mnie ciasno, przytłaczało i znów unosiło, czułem wiele ramion pomagających mi się podnieść, szarpiających moje włosy, moją twarz, całe moje ciało. Czułem nagle na mojej skórze nieskończoność rąk ludzkich wstrząsanych

drzeniem tak niejasnym i tak głęboko sięgającym jak ostrze zagłębionego po rękojeść sztyletu. Pierwszy raz w życiu poprzez płonący gąszcz moich zmysłów, omdlewających w oparach piwnicy, poznałem dotyk skóry ludzkiej ocierający się o moją własną skórę. I ta skóra była najbardziej dręczącym ze wszystkich ogni i najbardziej przenikliwym. Moje zmysły zdawały się mnożyć, rozsypywać się w niezliczony deszcz padający na świat i na mnie samego, bo cała ziemia była moją skórą i budziła tak niewolącą (prawie przygważdżającą) świadomość bezkresnej wolności, wolności absolutnej i pełnej, że czułem się wstrząśnięty jak uderzeniem grzmotu; i on to mnie powalił, podniósł i kazał przywołać mego jedyneho przyjaciela Krima-Konia, aby wszedł do piwnicy i uczuł wraz ze mną pod kopytami wybuch krwi, lak potężny, roześmiany i przeszywający drzeniem. Wreszcie wyprowadzono mnie, prawdopodobnie zemdłego i bez czucia. Potem tylko pamiętam kołysanie gałęzi drzewa morwowego i chłodne ręce na moim czole.

Wrześniowe niebo uciekało znad mojej głowy, zabierało coś z sobą. Coś, co ja powinienem zatrzymać za wszelką cenę i ponad wszystko, coś nowo odkrytego i bez czego nie czułem się zdolny żyć dalej.

– Obudź się – mówiła mi jedna z kobiet uderzając mnie leciutko po głowie. – Obudź się.

Wtedy zobaczyłem jej twarz nachyloną nad moją, jej ciemne włosy, rozpuszczone i mokre, dotykały moich policzków. Czoło miała wypukłe i pomyślałem, że podobne jest do jabłka.

Ostrożnie podniosłem rękę i pogłaskałem te włosy. Wtedy ona przestała się śmiać i próbowała podnieść mnie do pozycji siedzącej. Poznałem ją w tym momencie: to była kobieta-dziewczynka, żona kowala. Widziałem ją setki razy i nigdy nie przypuszczałem, jak gładka i błyszcząca jest jej skóra. Czy miała jak winne jagody: małe i lśniące, bezlitośnie oderwane od jakiegoś grona tak słodkiego i szkodliwego jak

trucizna, marzenie czy obłąd. Gdy się śmiała, dwa małe dołeczki tworzyły się przy kącikach jej ust i miała małe zęby, zęby dziecka. Wszystko w niej zresztą przypominało dziecko: nawet jej dłonie krótkie, powalane błotem. I zobaczyłem siny krąg wokół jej ust, od morw czy wina.

Pierwszy raz w moim życiu ugryzłem tę trucizną i wydało mi się, że zmoczone niebo i rozpalona ziemia spustoszonych już winnic, jak po bitwie, nie strasznej, lecz zdradliwej, powstało i rzucało się w dziwną walkę, obejmującą cały niepokój i radość świata. Ponad odwiecznym strachem, który się coraz bardziej oddalał razem z roziskrzonym smokiem, wzbierały wody Wielkiej Rzeki. Zamknąłem oczy i uczułem sztywność moich rąk i ramion, całego ciała ponad miękkością, która mi przynosiła wspomnienie i aromat jakiegoś przeczukanego popiołu lub morze zapomnianych wyschłych łodyg winnych, wieczyście czerwonych, trzeszczących bezustannie pod pierwszą i najbardziej kruchą skorupą tej ziemi, jaką aż do tej chwili deptałem tak bezwiednie. Czasem słyszałem, jak rozmawiają o tym żołnierze, ale ich historie nie były podobne do tego, co się działo ze mną, ani do tego, co się stało potem, ani do tego, co wiele jeszcze innych razy miało nastąpić. Słyszałem tętent mego konia cwałującego po jakiejś łące.

Pewien jestem, że pośród tej egzaltacji i rozpętanych snów wyobraźni upłynęły trzy dni. Wiem, że było ich trzy, bo tyle zwykły trwać święta winobrania. Ale nade mną minął inny czas.

Wreszcie jak po błędnym galopie ocknąłem się, leżąc na ziemi, za rzeką. Byłem przekonany, że spadł z konia, ale nic mnie nie bolało. Przeciwnie, okręzał mnie wielki spokój, chłodny i przezroczysty. Zwrócony twarzą do jesiennego nieba, gdzie sunęły stada obłoków i uciekały ptaki, słyszałem i czułem wiatr potrząsający po bokach wysoką trawą łąki. Wreszcie dostrzegłem sylwetkę mego konia, zobaczyłem jego rozdęte chrapy nad ostatnimi kwiatami lata: rodzaj małych irysów, wypełzonego koloru,

zapowiadających zimę. Krim-Koń leniwie żuł zapomniane kwiaty, ślady panowania zbliżającego się do końca. Na ten widok powrócił do mnie smutek, tak nieuchwytny, że zapytałem sam siebie, czy to nie to, co ludzie nazywają trucizną zagubionych dni. Potem długi wstrząs, pociemniało powietrze i usłyszałem szczęk mieczy i włóczni, przeciągłe krzyki zza wzdym i rzeki, galop jeźdźców, którzy przybliżali się i uciekali.

Wszystko działo się we mnie i wokół mnie i leżałem wciąż nieruchomy, z oczyma utkwionymi w jesień wysoką i jeszcze promienną, uciekającą bezpowrotnie ku ziemie. Wtedy wydało mi się, że w mojej pamięci i nawet w samym powietrzu rozpoznałem ostatni kwik tego dzika o złotej sierści i ujrzałem, jak spomiędzy jego kłów wypływa śmierć czerwonym strumieniem. I ogarnęła mnie rozkosz tak głęboka i tak gwałtowna, że mgła przysłoniła mi wzrok.

W kilka dni później wezwał mnie do siebie ojciec. Leżał na łożku, pośród skór, ze swymi relikwiami i kozą, powalony nieuleczalną już niemocą, okryty wrzodami, lecz władający jasnością umysłu w tej decydującej godzinie mego życia.

– Wiosną, ledwie zakiełkują pierwsze pędy, pojedziesz na zamek barona Mohla – powiedział w ostatnim przeblysku energii, jaki w nim widziałem. – Tam będziesz brał wzór z twoich braci: zachowuj się, jak powinieś i jak ci tyle razy radziłem, póki nie zasłużysz na zaszczyt pasowania na rycerza. Później twoje życie będzie w twoich własnych rękach i twój los na tym świecie od ciebie tylko zależy.

Przyszła zima. Czasem widywałem żonę kowala. Wystarczyło mi pogalopować w stronę lasu czy nad rzekę, przybiegała wtedy do starej opuszczonej chaty, gdzieśmy się zazwyczaj spotykali.

– Miałam tylko dziewięć lat – powiedziała mi pewnego dnia przed



plamieniami ogniska, przytulona do mnie i strwożona wyciem wilków, które słycać już było w oddali. – Wałęsałam się po drogach, osierocona i sama... on się ożenił ze mną po to tylko, żeby mnie ochronić przed głodem, wilkami i zimnem.

– Ale mieliście dziecko – powiedziałem szorstko. Bo gęsta słodycz i wolność, i wesołość dni winobrania odeszła wraz z ostatnimi liśćmi na drzewach. Zamiast nich smutek, znudzenie i niepokój drążyły moją duszę, – I umarło – powiedziała łagodnie. – Umarło jeszcze w kołyse.

Niby piorun przeszył mnie wtedy stary gniew i brutalnie uderzyłem ją w twarz. Zobaczyłem spływający pomiędzy jej warg cienki czerwony strumyczek, ale tak ciemny jak sok morwy.

– I przez was zginęły na stosie dwie niewinne kobiety! – krzyknąłem.

– Przeze mnie nikt nie zginął – szepnęła. – Mnie tam nie było tamtego dnia!...

W tej chwili jej twarz przed moimi oczyma zamieniła się w ścięty łeb złocistego dzika: ten który wrzuciłem do wąwozu z krwią zaschniętą już i szerniałą pomiędzy kłami. Strach owładnął mną i padłem na ziemię, tarzając się i krzycząc.

Pierwszy raz zatęskniłem za kościstymi dłońmi mojej matki, w chwilach kiedy wtykała mi głowę do dzbana z wodą albo biła po twarzy. Myślę, że gdy w końcu zostałem sam, płakałem nad jej śmiercią: a może nad jej życiem i moim życiem w tym czasie.

Ale wtedy był to już mój ostatni płacz.

Ustąpiło zimno i pierwsze pędy na brzegach ścieżek i nad brzegiem źródeł oznajmiły powrót czasu ciepła i słońca.

Mój ojciec zawezwał mnie znowu: tym razem, aby się ze mną pożegnać. Wezbrały mu wrzody, wydzielające ciecz żółtawą i cuchnącą.

Garbusy, którzy go zwykle nosili, usiłowali ulżyć tej nędzy. Nie mogłem oddychać nieznośnym smrodliwym powietrzem alkowy i wstrętny mi był ów strzęp ludziki, który nazywał mnie synem. Wychudł, skóra zwiślała mu w pomarszczonych workach nad mięśniami, a że zwykł sypiać nago, widok tego powalonego ciała pośród brudnych, zjedzonych przez mole futer wydał mi się szczytem ludzkich nędz i sponiewierania.

Odczułem to w sposób tak oczywisty, że musiałem zdobyć się na wielki wysiłek, by nie uciec stamtąd czym prędzej. Drewniany krzyż na kępie siwych włosów zajął teraz miejsce złotego naszyjnika, który zwykł lśnić na szyi. I wydało mi się, że widzę przed moimi oczyma wizerunek jego własnej śmierci.

– Przybliź się tak, bym zobaczył twoją twarz – powiedział.

Dziwna rzecz, kiedy usłuchałem, znikła moja odraza i wydało mi się, że odkryłem szlachetność i godność w jego obliczu.

Znowu przykazał mi wtedy, abym: był mężny, wierny i uczciwy; abym był dobrym chrześcijaninem, obrońcą cnoty i nieprzejednanym wrogiem zła. Abym czcił relikwie i czerpał wzór ze świętego Arlona, naszego opiekuna, i (krótko mówiąc, choć on nie wyraził tego w ten sposób) żebym dążył w tym życiu do wcielenia w siebie obrazu wręcz przeciwnego niż jego własny.

Potem polecił kowalowi (którego imię i widok wzbudzały we mnie drżenie, nie wiem czy ma skutek wyrzutów sumienia, tezy nienawiści) wręczyć mi miecz, tarczę i włócznię, które kazał był dla mnie wykuć. Rozkazał także, aby mi dano najlepsze siodło dla Krima-Konia – to, które należało do jego najulubieńszego żrebaka, schwytanego na stepie.

Wziąłem to wszystko i ucałowałem relikwię św. Arlona. Potem przybliżyłem wargi do ręki, którą mój ojciec znowu do mnie wyciągnął, i chwyciły mnie mdłości nie do przewyciężenia, na szczęście jednak jego ręka, przyzwyczajona do takich reakcji, rzadko bywała myta. Potem tę

samą rękę wyciągnął w próżnię, jakby czegoś szukał: stara koza potulnie podeszła i pochyliła kark pod jego dłoń.

– Odejdź z pokoju, synu mój – szepnęła mój ojciec zamykając oczy.

Ale natychmiast jęknął, jakby w przypiływie podrażnionego zniechęcenia i zawył:

– Wynos się już raz, hultaju, i daj mi spać spokojnie.

Tak też zrobiłem. Ale wychodząc uczułem na karku wzrok ognistych oczu. Odwróciłem głowę i napotkałem żółte okrągłe źrenice starej kozy, rozszerzone w zimnej rozpacz. Prawdę mówiąc, jedynym trwałym wspomnieniem – tym, które mi towarzyszyło przez całą drogę do nowego losu – było blade i lśniące, niemal ludzkie spojrzenie tego tajemniczego zwierzęcia.

Mój ojciec strwonił był już od dawna swoją niezbyt wielką fortunę i z okazji mego wyjazdu nie mógł nawet mi dać pazia jako eskortę. Tak więc musiałem przebyć tę drogę w samotności i w samotności przybyłem na zamek barona Mohla. Ale przedtem jeszcze stało się coś, co, jakkolwiek błahe z pozoru, wstrząsnęło mną bardzo żywo.

Droga nie była bardzo długa, ale w tych dniach, po głodzie zimy, by powetować sobie długie miesiące wyrzeczeń, wychodziły ze swych jaskiń bandy włóczęgów, rabusiów i wszelkiego rodzaju złoczyńców. Toteż przez cały czas miałem się na baczności, gotów się bronić przed każdą zasadzką. Pierwszy raz miałem na sobie odzież godną mego stanu – albo tak przynajmniej myślałem – i wiozłem w małym kuferku przedmioty i żywność, które mogły obudzić chciwość jakiegokolwiek desperata z pewnością uboższego ode mnie.

Trzy dni trwała ta podróż szlakiem wzdłuż Wielkiej Rzeki w kierunku północy. Na trzecią noc – choć nie chciałem układać się do snu, aby jak

najprędzej znaleźć się na zamku i uniknąć nieprzyjemnych niespodzianek nocnych – pokonany znużeniem i sennością, zsiadłem z konia. I ścieląc sobie legowisko, jak to było moim obyczajem, z siodła końskiego i skóry futrzanej, nieco nadgryzionej przez mole, ale okazującej jeszcze resztki dawnej świetności (pierwszy raz coś podobnego znalazło się w moim posiadaniu), zamierzałem usnąć na jedno oko, jak się to mówi. Poszukałem osłony drzew, lecz nie chcąc przyciągać niczyjej uwagi czy jakichś chciwych oczu, mimo że noce były jeszcze zimne, powstrzymałem się od rozpalenia ognia. Na brzegu strumienia były jeszcze płyty lodu i resztki śniegu na wzgórkach. Zjadłem trochę chleba i sera, zachowując wędzone mięso na lepszą okazję. To mięso jelenie (prawdę mówiąc twardsze niż siodło) było pierwszym i ostatnim, jakie otrzymałem bezpośrednio z rąk ojcowskich.

Chociaż jadłem cały czas bardzo niewiele, rzecz dziwna, nie byłem głodny. Nie odczuwałem także pragnienia ani senności. Opatuliłem się starą skórą, którą ojciec kazał zdjąć ze ściany, by mi ją podarować, i która właściwie stanowiła lwią część mego dziedzictwa. Na próżno starałem się zasnąć. Wstrząsał mną pewien rodzaj wewnętrznego paroksyzmu: coś, co nie było niecierpliwością ani pragnieniem, ani terrorem, ani nawet ambicją czy nadzieją sławy i władzy. Coś kazało mi czuwać z otwartymi oczami, tak jak tylko raz tego doświadczyłem, kiedy miałem sześć lat. Nie wiedziałem, czy duch drżał we mnie na skutek jakiejś najskrajniejszej formy radości czy rozpaczki ludzkiej. Powiedziałem sobie wówczas, że nie mam rzeczywistego powodu do żadnego z obydwu tych uczuć, nie znałem niczego, co mogłoby uzasadnić podobny stan ducha, doprowadzony do takiego stopnia. Próbowałem się uspokoić i zamknąć oczy, lecz ani jedno, ani drugie mi się nie udawało.

Nagle jakiś migocący lęk jak gdyby przeszył moje wnętrze. Nie był to lęk przed śmiercią czy jakimkolwiek żywym stworzeniem:

coś okrutnego i zarazem rozproszonego sprawiło, że trząsałem się jak potępieniec. Poprzez gałęzie drzew, pod którymi się schroniłem, dostrzegłem daleki i zimny błysk dwóch maleńkich gwiazd. I zobaczyłem jasno nieskończoność przezroczystych nocy czy błędnych globów: łąki powietrza i ognia, które ślizgały się pod moimi stopami i nad głową, zalewając mnie Wąsikiem tak żywym, jakiego nie mógł dać żaden ogień. Z jakimś trzeźwym zdumieniem, jakbym odradzał się z ciężkiego i długiego snu, zadałem sobie pytanie, dokąd potoczą się moje noce, w jakim kierunku będą błądziły i dokąd wpadną moje dni, znane i zapomniane. Wydało mi się, że pierwszy raz poprzez te gałęzie ukazuje mi się całkowita i absolutna wizja życia i świata, i że w jej blasku trwam i odradzam się nieustannie; więcej: życie i świat były częścią mnie samego. Później ogień zgasł i znów moje wizje i moje oczy odgradziła noc gładka i twarda, ze swymi dalekimi gwiazdami.

Usnąłem wtedy jak kamień i był już jasny dzień, kiedy obudziło mnie rżenie i stuk kopyt Krima. Otworzyłem oczy i nie wiedziałem, czy to był sen, czy naprawdę widziałem to wszystko. W tej niepewności ruszyłem w dalszą drogę, ale tak wstrząśnięty na duchu, że śmiało mogę powiedzieć, iż chłopiec, który przybył na zamek barona Mohla, nie był tym samym, który wyjechał z domu mego ojca.

Na jednym z zakrętów drogi drzewa zrzedły, rozszerzyło się niebo i ziemia i znowu zobaczyłem blask Wielkiej Rzeki. Wytrysnął wtedy z głębi ziemi głos, który rozpoznałem. Głos pozbawiony brzmienia ludzkiego i który nie mógł wyjść z gardzieli żadnego zwierzęcia. Tylko jaskinie albo przepaście, albo dno oceanu mogły sprawić, by się rozlegał tak szeroko; i wstrząsnąć wszystkim – jak tego byłem pewien – od nieba do ziemi. I ów krzyk przyniósł mi wizję poszarpanego bukłaka, skóry płonącej, poczerniałej, smaganej wiatrem aż do czasu gdy zima zatarła te ślady. Złany potem usiłowałem opanować drżenie ramion. I wtedy odwróconą

w wodach Wielkiej Rzeki ujrzałem sylwetkę i wieże zamku Mohla. Przez chwilę myślałem, że w tajemniczym niestrudzonym biegu wód widzę, jak świat opróżnia się i odwraca na opak. Później jednak rozpoznałem mój błąd i ledwie ocknąłem się z udręki, myślałem, że znowu utraciłem głos.

Ale tak nie było: krzycząc z całych sił, bodłem konia ostrogą. I galopowałem, pełen furii, radości i oszołomienia (zupełnie bez przyczyny) w kierunku miejsca, gdzie – jeśli na to zasłużę – pewnego dnia zostanę pasowany na rycerza.

## IV. IGRZYSKA RYCERSKIE

Na zamku barona Mohla odnalazłem moich starszych braci. Już od dawna dostąpili godności rycerzy i jako tacy pozostawali w służbie Barona i należeli do jego niewielkiego dworu.

Powitali mnie oschle, a nawet, powiedziałbym, z wyraźną niechęcią. Nigdy mnie ani trochę nie lubili i pamiętam jeszcze ich obelgi, kopniaki i pogardę na każdym kroku okazywaną mi przez nich w domu ojca. Od dziecka słyszałem, jak nazywali mnie obrzydłym owocem starczej rozpusty, latoroślą spróchniałego pnia i tym podobnymi określeniami. Odnalazłem ich takimi, jacy pozostali w mojej pamięci: nierozłączni między sobą, wrogo usposobieni do reszty świata, waleczni aż do okrucieństwa, zuchwali aż do obłędu.

Byli wysocy i silni, ale nie młodzieńczo rycerscy, budzili strach, ale nie szacunek. Ceniono lich siłę i odwagę, ale ich nie poważano, a tym mniej kochano. Toteż będąc nie zrównani w męstwie i śmiałości wśród rezydentów Barona, najmniej byli wyróżniani przez niego samego; z drugiej zaś strony od nich wymagał on największych poświęceń i wierności. Niewątpliwie rzucała się w oczy niesprawiedliwość, z jaką byli traktowani. Mimo to wystarczyło na nich spojrzeć, aby wszystkie te upokorzenia wydały się całkowicie zasłużone, a nawet uzasadnione. Co nie przeszkadza, że oni sami byli o sobie z pewnością nader odmiennego mniemania i ta niesprawiedliwość jeszcze twardszym czyniła ich charakter i, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej ich rozgoryczała. Na każdym kroku usiłowali dawać dowody swej drapieżności i dzikiej odwagi i we wszystkich spotkaniach oraz grach rycerskich, które bardzo do gustu przypadają baronowi Mohl, wybijali się daleko ponad innych, nigdy wszakże nie uzyskali honorowego miejsca przy stole pana (ani

gdziekolwiek indziej). Z drugiej strony żaden rycerz czy dygnitarz na zamku nie był bardziej znienawidzony przez wasali, paziów i służbę, jednym słowem przez wszystkich ludzi, wysokiego czy niskiego pochodzenia, składających się na to obszerne i potężne dominium.

Jasne, że nie omieszkali mścić wszystkich swoich uraz i wyładowywać swej goryczy na mojej nieokrzesanej i świeżo przybyłej osobie. I muszę też stwierdzić, że na tle luksusów i przepychów tego zamku mój wygląd był dla nich dodatkowym upokorzeniem. Pomimo wszystko, choć wstydziłem się do tego przyznać, byłem ich bratem, toteż moje niezliczone gafy i niezręczności spadały na nich, a moja niezdarza i nierozgarnięta osoba okrywała ich hańbą wobec ludzi tak dalekich od środowiska, w jakim ja wyrosłem.

Niewiele trzeba było czasu od chwili mego przybycia, by rzuciła mi się w oczy różnica między zamkiem, obyczajami i sposobem życia wielkiego pana a domem, obyczajami i osobą mego ojca. Inni, bardziej tępi ode mnie, bez trudu oceniliby ten ogromny dystans i może by cierpieli, tak jak ja cierpiałem.

Natychmiast dał do zrozumienia Baron – chociaż w tym czasie nie zwracał się z ani jednym słowem do mnie bezpośrednio – jak niemile zdziwiony jest faktem, że mój ojciec wysłał mnie na służbę do niego tak późno i w stanie takiego zaniedbania: z czego wnosił, jak dalece nie dbał o moją edukację. Przez chwilę bałem się, że odeśle mnie z powrotem ojcu, i może zamierzał tak zrobić. Ale czy to dlatego, że oceniał moją siłę i tężyznę fizyczną, czy też dostrzegł we mnie coś, co mu się podobało, w każdym razie nie zrobił tego i przyjął mnie do swego grona wiernych. Przede wszystkim jednak zalecił coś, co można by nazwać elementarną ogładą moich obyczajów i wyglądu. Było to, prawdę mówiąc, wielkim dla mnie umartwieniem, gdyż stałem się przedmiotem drwin i żartów ze strony innych młodych i szlachetnie urodzonych giermków, którzy



wpracowali sobie zasługi – tak jak i ja sam zamierzałem – by pewnego dnia otrzymać rycerskie ostrogi i pas.

Tak czy inaczej, musiałem tu rozpocząć moje życie razem z innymi chłopcami, go wiele młodszymi niż ja (niektórzy ledwie ukończyli osiem lat), od pierwszych najbardziej poniżających kroków. I tak w pierwszych dniach powierzono mnie właściwie pieczy dam dworskich. Dam, wśród których z natury rzeczy pierwszą była sama baronowa Mohl.

Ona to okazała prawdziwe zainteresowanie dla mojej osoby, ona zajęła się mną i zatroszczyła o przyśpieszenie przykrej i niezwyklej nauki (którą na ogół pobierali tylko najmłodszy i którą według przypuszczeń powinienem był od dawna już mieć za sobą). Przypuszczeń najzupełniej błędnych, gdyż cudem było już samo to – i wtedy to sobie uświadomiłem – że przybyłem tu z życiem, a przynajmniej ze wszystkimi kośćmi i członkami na właściwym miejscu.

Ledwie wkroczyłem w obręb palisady, mogłem ocenić różnicę istniejącą między żywotem prawdziwego szlachcica a tym, jaki ja wiodłem dotychczas. Najpierw muszę podkreślić, że to, co mój własny ojciec uważał za twierdzę – czy nawet zamek – było tylko zrujnowaną i niechlujną osadą, słabo chronioną przez grubo ciosane palisady, w których za mało było kamienia, a za dużo spróchniałego drewna. A ta posepna i prymitywna wieżyczka tak dumnie wznosząca się ponad dawne siedziby moich dziadków, nie sięgała ani rozmiarami, ani majestatem najskromniejszych dependencji na zamku Mohla. Zbyteczne też mówić, że wszystko, co widziałem wewnątrz i na zewnątrz zamku, w niczym nie mogło równać się z tym, co znałem aż do tego momentu.

Długie i masywne mury warowne, otoczone fosą, oddzielały teren zamkowy, na który wchodziło się przez żelazną bramę ze zwodzonym mostem i dwiema wysokimi wąskimi wieżami po obu stronach. Tam mieli swe kwatery żołnierze Mohla. Żołnierze ci, przyzwoicie odziani, nosili

barwy swego pana i zdawali się dobrze żywni i uzbrojeni. W niczym nie przypominali żalosnych wojowników, pozszywanych bliznami lub często kalekich, którzy gromadzili się wokół mego ojca dzięki pochlebstwom i opowiadaniom o swoich wielkich czynach i chwale wojennej, w rzeczywistości z palca wysanych.

Za tą imponującą twierdzą zewnętrzną wznosiła się palisada z drzewa, ale solidna i dobrze zaostrzona. W jej obrębie (gdzie były cztery duże wieże i wiele innych budynków) mieściła się stodoła, trzy razy większa od naszej, stajnie i obory pełne bydła rogatego i pięknych koni. Mieszkało tam dwóch kowali, trzech garncarzy, kilku cieśli, murarzy i wszelkiego rodzaju ludzi wykonujących rozliczne prace, jakich wymagało życie tak wielkiego pana. Tuż przy murach zewnętrznych za fosą, na pochyłości wzgórza opadającego aż do Wielkiej Rzeki skupiło się mnóstwo chat, w których mieszkali chłopci niewolni i wielu innych ludzi dla niego pracujących. Nie opodal rysowały się grody i wioski zbudowane pod osłoną zamku, który ich bronił, i wszyscy krzatali się niestrudzenie w służbie potężnego pana i władcy ich życia i majątności.

Mohl był człowiekiem prawdziwie znamienitym i mogę upewnić, że nigdy nie widziałem nikogo, kto by do niego był podobny. Jego życie na zamku dzieliło wielu rycerzy i giermków sławnego rodu, ale nikt nie mógł równać się z Mohlem dumną śmiałością postawy, imponującą sylwetką, królewskimi gestami i osobliwym autorytetem. Nawet sam Wielki Król (gdyby zawitał własną osobą do tak dalekiego zakątka swoich włości i przypomniał sobie czasem o naszym istnieniu) nie zaćmiłby jego prestiżu.

Wieża, w której mieszkał Baron, jego rodzina i mały dwór, który go otaczał, była największa i najwspanialsza – lub tak mi się zdawało – jaką można sobie wyobrazić. W niej to miało upływać moje życie od tego czasu.

Z początku pełniłem funkcje pazia na usługi dam. Baronowa

była kobietą wysoką i niezwykle piękną, o włosach tak miękkich, błyszczących i złocistych, że wydawały się jak z polerowanego metalu. Kazała swym służebnym upinać z wielkim kunsztem swoje długie warkocze, artystycznie przeplecione wstążkami różnego koloru (choć największym jej upodobaniem cieszył się kolor biały). Cerę miała tak bladą, że niemal przezroczystą, ukazującą na wskroś kości, brwi wysokie o pięknie zakreślonych łukach, co nadawało lekko drwiący wyraz ustawicznego zdziwienia jej oczom barwy miodu (trochę nieruchomym i jakby oszołomionym). Niewiele kobiet miałem okazję znać, moja matka była właściwie jedyną damą, jaką oglądały dotychczas moje oczy. I przypominając sobie i porównując jej krótkie żylaste ciało, jej niedyskretne czarne oczy o dość niemiłym spojrzeniu, jej zacięte usta, jej ostry język i szorstką naturę, powiedziałem sobie w duchu, że twierdzenie – tylekroć słyszane zarówno z ust rycerzy, jak i wieśniaków – jakoby wszystkie kobiety były jednakowe, musiało wylegnać się w nietęgich mózgach. Niemniej, w niczym nie umniejszając tak wykwintnego obejścia, pierwszym zdaniem, jakim powitała mnie Baronowa, był rozkaz zanurzenia się w kadzi wypełnionej wodą i wyszorowania mej twarzy i ciała, „tak aby dać jej i innym damom sposobność – jak się wyraziła – poznania koloru mojej prawdziwej skóry”.

Gorliwie starając się jej przypodobać, aczkolwiek trochę zdziwiony, spełniłem to polecenie. Potem dano mi kaftan w barwach barona Mohla i strój ten – choć trochę niewygodny bo uciskał mnie pod pachami i przy szyi krępując swobodę ruchów – wzbilił mnie w próżność, sam nie wiem dobrze, z jakiego powodu. Potem Baronowa rozkazała swoim służącym, aby rozczesały mi włosy, co z pewnością okazało się operacją równie bolesną dla mnie, jak i dla nich. Ostudzona nieco w zapale wobec trudności i nieomal niebezpieczeństwa podobnego kaprysu, kazała wezwać balwierza, aby mnie ostrzygł według jej wskazówek,

co mnie zmartwiło, bo byłem przyzwyczajony do kosmyków, które opadały tu i tam, a zważywszy moją dziką naturę, tak były mi dogodne pozwalając ukryć twarz w odpowiednich ku temu okolicznościach. Było to zresztą zadanie prawdziwie żmudne i niewdzięczne, a dla mnie tym bardziej upokarzające, że stanowiło wesołą rozrywkę dla Baronowej, jej służebnych i dam. Zwłaszcza że wśród nich znajdowały się dwie jej siostrzenice, mniej więcej w moim wieku, i słyszałem, jak szeptały do siebie drwiąco, że cuchnę kożą, dzikiem i palonym drewnem. To mnie rozgniewało, a jednocześnie wywołało wielkie zdumienie, bo mnie w najmniejszym stopniu zapachy te nie wydawały się przykre i nigdy nie myślałem, że mogą kogokolwiek drażnić, a tym mniej obrażać. Jednocześnie zdumiewało mnie, iż tak wrażliwe powonienia nie wyczuły także wielu innych różnorodnych woni, jakie wydzielala moja osoba: jak tłuszczu, którym sobie nacierałem ramiona i nogi (Krim-Wojownik mówił, że to je wzmacnia), lub sera – nieco zjełczałego – który wypełniał moje kieszenie.

Wkrótce wiedziałem już, jak unikać takich – i innych, większych jeszcze – błędów i pomyłek. Baronowa nauczyła mnie grać na harfie – choć wyznaje, że w tej sztuce nie zdołałem się wybić ani nawet opanować jej w stopniu przeciętnym, i mimo że bardzo się wysilała, by mnie nauczyć śpiewać, doszedłem tylko do zdolności wydawania pewnych dźwięków, które wedle zdania samej mistrzyni niewielkie wykazywały podobieństwo do tych, jakie zwykły wydobywać się z gardła ludzkiego. Nie muszę podkreślać, że te rzeczy wydawały mi się tak bez znaczenia – jeśli nie głupie – że w pierwszym okresie mego pobytu na zamku ogarniała mnie gorycz i zniechęcenie; i myślałem nawet, czy nie lepiej byłoby osiedlać Krima i odjechać w świat na poszukiwanie innego wielkiego pana, który by nie wymagał od swych giermków takich błahych i niedorzecznych umiejętności i przygotował mnie do stanu

rycerskiego tak, jak tego oczekiwałem, to znaczy uczył postępować jak dzielny wojownik i szlachetny rycerz. Tylko myśl (a nawet pewność), że ta ucieczka sprawiłaby wielką satysfakcję moim braciom, powstrzymała te odruchy.

Mimo wszystko z wolna, dzień po dniu, jeśli nie przystosowywałem się do nich, to przyjmowałem z rezygnacją te dziwne nauki. I nawet starałem się jak mogłem robić postępy w tak nudnych ćwiczeniach, ponieważ (mówiłem sobie) powinienem traktować to wszystko jak ktoś, kto musi stawić czoło drobnej i skomplikowanej (chociaż głupiej), lecz koniecznej bitwie, bo dopiero po zwycięstwie osiągnie zaszczyt wystąpienia w wielkim i prawdziwym boju. Tak więc wyćwiczono mnie i nauczyłem się miarkować moje wyrażenia, głos i gesty, jeść z godnością i wykwintnie, biorąc kęsy jedzenia między dwa palce prawej ręki (a nie garściami jak dotychczas), nie plamiąc odzieży sosami czy tłuszczem i nie zaśmiecając miejsca wokół siebie. Starałem się, zgodnie z zaleceniami, hamować gwałtowne wybuchy niezadowolenia, podobnie jak wybuchy śmiechu, które także mi odradzano, choć w moim wypadku nie było to potrzebne, ponieważ nie śmiałem się nigdy. Słuchałem pieśni, lektur poezji i rozdziałów Biblii nie chrapiąc i kształciłem się w innych drobiazgach, pobudzających mnie do refleksji nad sprzecznościami i zagadkami tego życia: gdyż, wnioskując z obserwacji innych rycerzy i giermków, wszystkie te cnoty (które wszczepiano im od dziecka i których prawdopodobnie zdołali się wyuczyć w młodym wieku) w ich zachowaniu na co dzień świeciły nieobecnością.

Nie wszystko jednak okazywało się tak lekkie i bagatelne w mojej edukacji na zamku. Wśród licznych obowiązków pełnionych przy Baronowej niektóre były znacznie cięższe. Często kazała mi obsługiwać swego konia czy psiarnię lub towarzyszyć sobie w polowaniu na drobną zwierzynę. I muszę przyznać, że mimo pozorów subtelności była twarda,

a nawet okrutna, i nieraz zaciekle rzuciła się na swą zdobycz, albo tak mi się zdawało, i to były jedyne okazje, przy jakich mogłem widzieć jej uśmiech i zdumiewać się, jak długie i ostre były jej bielusieńkie zęby.

Poza tym okazywała się bardzo delikatna. Nie tknęła wełny ani nie przędła lnu jak moja matka, tylko haftowała lub wykonywała inne kunstowne robótki i zbyteczne mówić, że nigdy nie widziałem w jej rękach koszyka z jarzynami. Mimo to nie omieszkałem wkrótce zauważyć, że moja pani nie gustowała w tych subtelnym zajęciach, przeciwnie, wołała cwałować na swym rumaku albo polować. Z prawdziwą przyjemnością i entuzjazmem przyglądała się turniejom, ćwiczeniom lub igrzyskom, które często urządzano na zamku.

Ten pierwszy okres mego pobytu w państwie Barona był jedynym, kiedy moi bracia zostawiali mnie we względnym spokoju. Nawet zacząłem przypuszczać, że o mnie zapomnieli (na nieszczęście, zupełnie błędnie).

W końcu (wcześniej niż się spodziewałem) Baronowa uznała, iż osiągnąłem już wystarczający poziom w naukach pobielanych przy niej, i przeszedłem do edukacji właściwej młodemu giermkowi pośród chłopców w moim wieku. Mimo to nie przestawała wzywać mnie do siebie od czasu do czasu i dysponowała moimi usługami częściej, niżbym tego sobie życzył.

Wiosna ukazywała się w pełni swoich blasków. Na wielkich łąkach nad rzeką trawa kołysała się wysoka i zielona, a sitowie na brzegu błyszczało niby rzędy włóczni pośród klonów i brzoź. Gęsty czarny las rozciągał się na północy przeszywany tajemniczymi krzykami (ptaków i innych nieznanymi stworzeń, jak mówiono). W kierunku stepu, za wydmami, świat wydawał się nieskończonością i często spoglądałem tam z niepokojem pomieszanym z tęsknotą. Kochałem bowiem niziny, tak

samo jak drzewa i polowanie, i jeśli niezdaranie się poruszałem pośród dworskich i wykwintnych obyczajów, to inaczej wyglądało moje samotne życie w lasach i na łąkach ojcowskich. Toteż bardzo prędko wyróżniłem się spośród giermków siłą i zręcznością mego ramienia zarówno we władaniu bronią, jak i we wszystkich innych próbach sprawności ciała. I mogę upewnić, że pośród wszystkich szlachetnie urodzonych młodzieńców, którzy razem ze mną kształcili się na przyszłych rycerzy, byłem najlepszym jeźdźcem i najlepszym łowcą. W tym zdołała wreszcie znaleźć ujście i pole do popisu, a nawet radość, moja prawdziwa natura, tak że pobyt na zamku zaczął się dla mnie stawać nie tylko znośny, lecz czasem nawet ponętny i pełen uroków.

Musiałem się nauczyć wielu rzeczy jeszcze nie znanych i udoskonalić moją umiejętność w tych, które znałem. Nauczono mnie jeździć konno lepiej i sprawniej, bronić się i odpierać uderzenia wyłącznie przy pomocy puklerza, nie używając miecza (przeznaczonego tylko do zadawania ran lub przeszywania ciała). Musiałem także przejść przez nauki kapelana i ku memu wielkiemu zdziwieniu z łatwością nauczyłem się czytać. Zdumienie to podzielali wszyscy inni – nikt, jak przypuszczam, nie mógł sobie wyobrazić, żebym mógł kiedyś dojść aż do tego stopnia wiedzy, bo nawet zwróciło to uwagę Barona.

Tak minęła wiosna i lato. A kiedy wróciła jesień, często kazano mi czytać głośno podczas nocnego czuwania. I nie tylko mi to nie sprawiało przykrości, lecz wręcz przypadalo do gustu, w nieoczekiwany sposób. Jednakże sam kapelan powiedział mi, że wojownik szlachetnie urodzony nie potrzebuje umieć czytać za dobrze, co było także i moim przekonaniem. Toteż gdy już nabyłem pewnych wiadomości z matematyki, geografii i nauczyłem się kilku modlitw po łacinie, ten aspekt mojej edukacji nie osiągnął wyższego stopnia rozwoju.

Wyostrzyły się natomiast moje instynkty myśliwego i jeźdźca:

nauczyłem się rozróżniać rozmaite sygnały i wezwania rogów myśliwskich, władać jak należy oszczepem – ludzie Barona polowali na dziki bez jakichkolwiek skrupułów – i opierać jego koniec na ziemi, tak by mógł utrzymać ciężar zwierzęcia; poprawiłem celność moich rzutów, wykształciłem się w sztuce sprawiania sokołów Mohla – jego ptaszarnia była słynna, zaiste tak liczna i cenna, jak można sobie wyobrazić; nigdy więcej nie zabiłem rogacza poniżej ósmego roku życia i nauczyłem się nie tropić (a tym bardziej nie zabijać) jakiegokolwiek zwierzęcia w okresie godów. Wreszcie, pośród wielu innych rzeczy, zdobyłem umiejętność panowania nad psiarnią i dbania o mego konia jak należało, jeśli ten chorował albo się skaleczył, bo rozumiałem, że życie każdego wierzchowca w znacznej mierze zależy od jego jeźdźca.

Wyprostowany na siodle jak wrzeczono, podczas długich galopów przeskakiwałem fosy i rzędy palisad, a nawet mury. Chwytałem miecz zniszczony długim użyciem, tysiące razy ostrzony, umacniając siłę mego ramienia w oczekiwaniu, że gdy wybije godzina prawdziwego boju, będę władał mieczem dużo cięższym. Nauczyłem się manewrować maczugą, toporem i kulą dość zręcznie i z rozmachem, a przede wszystkim ze specjalną starannością ćwiczyłem się w rzucaniu włócznią. Używałem zawsze tej, którą kazał wykuć dla mnie ojciec, z rękojeścią z drzewa jesionowego i ostrym szpikulcem. Nosiłem ją zawsze jak należy w prawej ręce, wycelowaną ponad łbem konia, tak by puklerz mógł osłonić nas obydwu w chwili ataku. Ćwiczenie to wymagało drobiazgowego kunsztu, bynajmniej niełatwego, toteż wiele musiałem się ćwiczyć, zanim nauczyłem się balansować kopią w sposób precyzyjny w ostatnim momencie, tak by ją rzucić z dostateczną siłą. Gry z włócznią, które lubiłem ponad wszystkie i w których przodowałem pośród moich towarzyszy, można było uprawiać na dwa sposoby: jeden polegał na tym, by rzucić się z koniem na dzban gliniany, mocno osadzony w ziemi i



zaopatrzone w dwa ruchome ramiona, z których jedno dźwigało wielką kulę na łańcuchu. Jeśli nie trafiło się do celu, zbrojne ramię zataczało krąg, grożąc uderzeniem jeźdźca, a nawet rozbiciem mu głowy (jak się to już nieraz zdarzyło). Drugi sposób polegał na tak zwanej gonitwie do pierścienia: trzeba było u trafić w biegu, siedząc na koniu, obręcz zawieszoną na sznurku i nadziać ją na ostrze włóczni. To ćwiczenie obserwowałem zazwyczaj ze szczególnym zainteresowaniem, a nawet powiedziałbym: z pasją, mój pan, baron Mohl.

W ten sposób, choć jeszcze nie pozwalano nam czynnie uczestniczyć w pojedynkach i igrzyskach, mogliśmy w nich brać udział jako giermkowie obu stron walczących i zdobywać tym sposobem doświadczenie w tysiącznych chytróściach i fortelach zapaśników.

W dalszym ciągu tak wyróżniałem się we wszystkich tych ćwiczeniach, że wkrótce wzbudziłem podziw niektórych i zawiść większości. Tak to poznałem również uczucie dumy i supremację siły. Wyostrzyła się moja czujność oraz instynkt obrony, a zarazem wszystkie moje zmysły, i nie na próżno wyczuwałem wokół siebie powiew jakiejś niejasnej, lecz niewątpliwiej groźby, chociaż nie znałem jej przyczyny i nie wiedziałem, skąd pochodzi (ani nie starałem się tego specjalnie dociekać).

Na tych trudach mijał czas i nadeszła zima. Wielkie śniegi otoczyły zamek, oddzielając go od świata. Podczas tego przymusowego zamknięcia nauczyłem się grać w szachy i w kości. A także po raz pierwszy dopuszczony zostałem do służby przy Baronie.

Istniały tu trzy rodzaje usług do wyboru: służba przy stole, dogłądanie stajni bądź też alkowy samej osoby Barona (w tym ostatnim wypadku należało się oddać pod bezpośrednie zwierzchnictwo rycerza Ortwina, jego osobistego pokojowca, który od dawnych czasów pełnił tak zaszczytne – jak się zdawało – obowiązki). Prawdę mówiąc sam Mohl na ogół rozstrzygał wahania co do wyboru. Głosem nie uznającym sprzeciwu

wydawał polecenia tym, którzy z mniejszą lub większą gorliwością mieli je wypełniać. Co do mnie, to wyznaczał mnie najchętniej – tak trwało długi czas – do służby przy stole i w związku z tym musiałem wyćwiczyć się dokładnie w sztuce krajania chleba według jego poleceń (czemu bardzo lubił się przyglądać): kromki musiały zsuwać się lekko po brzegu noża i spadać wprost na jego rękę. Muszę podkreślić, że Mohl zręcznie umiał chwycić je w locie. Nauczyłem się rozlewać wino do kielichów, tak by nie uronić ani jednej kropli, oraz dzielić różne rodzaje mięsa i ptactwa: koźłeta, kaczki, gęsi, kury i kurczaki, w zależności od gatunku pieczeni. Te obowiązki bynajmniej nie należały do najłatwiejszych. I dziwiło mnie bardzo, że inni chłopcy, znacznie przewyższający mnie biegłością w podobnych trudach, mniej chętnie byli do nich wybierani. Podczas posiłków usiłowałem skupić całą uwagę na ruchu rąk mego pana, czujny na ich najdrobniejszy gest. Stojąc za jego krzesłem, z serwetką – którą emu podawałem, ilekroć chciał sobie otrzeć palce – mogę przysiąc, że czułem się bardzo nieswojo i niespokojnie. I niejeden błąd popełniłem, na próżno jednak spodziewałem się, iż usuną mnie za to z tego stanowiska.

Najważniejszą salą na zamku Mohla niewątpliwie była ta, w której jadano obiady i wieczerze. Mimo obszernych rozmiarów okna miała tak małe i wąskie, że zważywszy liczbę zgromadzonych – nie mówiąc o wielkim ogniu, stale tam płonącym – powietrze było często nie do oddychania, do czego przyczyniał się jeszcze niemało dym i zapachy pieczeni napływające z kuchni. Po prawej stronie obok stołu Mohla, za parawanem stał chleb, wino i różne rodzaje mięsa. Podłogę przykrywała misternie pleciona mata trzciniowa i w ten sposób resztki jedzenia i odchody psów – Mohl nie rozstawał się nigdy ze swoją sforą, hałaśliwie ujadającą za jego plecami – pozostawały wchłonięte i niewidoczne. Stół Mohla ustawiono tak jak inne na sztalugach, ale wzniesiony na pewnego rodzaju podium, tak że górował nad głowami wszystkich biesiadników.

To wzbudzało jeszcze większy respekt i dodawało majestatu, jakim tchnęła cała jego osoba.

Podczas obiadu Mohl zwykł dużo rozmawiać, nie sprawiając przy tym wrażenia, że chce przykuć uwagę do siebie czy nadużywać swego autorytetu (jak to czynił z konieczności). Starał się zapraszać wszystkich do uczestnictwa w gawędzie, zadając pytania i nawet dyskretnie prowokując do wypowiedzania opinii odmiennych od jego własnej. Podczas posiłków (prawdę mówiąc bardzo długich) rozmowa toczyła się swobodnie i bez skrępowania i mój pan dokładał starań, aby jego głos nie przybierał tonów zbyt żywych. Nosił na sobie niewiele ozdób: tylko gruby złoty łańcuch na szyi, a na wskazującym palcu czasem jakiś pierścionek z godłami Rycerstwa lub jego własnym herbem. Na ogół ton głosu stanowił dziwną mieszaninę wyniosłości i łagodności, mimo skrytej energii. Ale było coś dziwnego i rażącego w moim panu, nagle do jego cnót przyłączały się inne właściwości o charakterze gwałtownym, powiedziałbym nawet brutalnym, prawdziwie zaskakujące w rycerzu tak pełnym umiaru. I tak od czasu do czasu rozlegał się jego śmiech ostry, ochrypliwy, ośmieliłbym się nawet powiedzieć: ordynarny. Śmiech równie nieczęsty jak przerażający i bardzo daleki od wesołości. Jak mogłem zaobserwować, te wybuchy uczuć (tak niezgodne z jego naturalną powściągliwością i spokojem) miały dar wywoływania wśród słuchaczy ostentacyjnego milczenia, sparaliżowanego grozą. Tak jakby ów śmiech był złą wróżbą i przygrywką do nader mało zachęcających konsekwencji. Usłyszawszy go, bardzo trudno było zerwać milczenie i ciągnąć dalej jakikolwiek temat. Inną właściwością mego pana (również nieoczekiwaną, gdyż żaden uprzedni incydent czy rzucona uwaga nie stwarzała po temu okazji) było zaczynanie ni stąd, ni zowąd jakichś opowieści czy wspomnień wojennych, opowiadanych tak drobiazgowo i z takim upodobaniem do najbardziej okrutnych epizodów (na przykład szczegółowy opis śmierci zadanej pobitemu rywalowi lub

męczarni wybranej jako przykładowa kara), że podczas słuchania jeżyły się włosy. W takich rasach zdawało mi się że pod maską opanowania i chłodu widzę wybuchającą nagle naturę okrutną i niemal tak dziką jak moja. I chociaż słuchając go czułem lodowaty dreszcz, przebiegający mi przez plecy – a muszę wyznać, że zdarzało mi się to bardzo rzadko – w tym tak niezwykłym aspekcie charakteru mego pana było coś, co pociągało mnie znacznie bardziej niż rozliczne przymioty sprawiedliwości, majestatu i ogłady, które poza tym zjednywały mu zasłużoną sławę. (Później mogłem w sposób oczywisty spostrzec potwierdzenia tego rysu jego natury i zrozumiałem, że był on w nim najistotniejszy i najprawdziwszy).

W czasie tych obiadów i tych rozmów wielu rzeczy się dowiedziałem, zaobserwowałem, a nawet niejasno odgadłem. I zdołałem – jak wszyscy – przyzwyczać się do języka mego pana, porze chodząc ego lekko i z łatwością godną pozazdroszczenia (a co najmniej podziwu) od tematów subtelnych, niemal poetyckich, do największych okrucieństw oblędu wojennego.

Z drugiej strony, mój pan tak wykwintnie miał obyczaje, że nigdy nie widziałem, by wysmarkiwał nos w palce, bił służących czy siusiał na ziemię albo płakał głośno – nawet po największych libacjach; nie upijał się nigdy tak nieprzyzwoicie, by zapomnieć o swej godności i umiarze w zachowaniu. A kiedy oczyszczał z kości swój talerz, zawsze rzucał je psom (szczerze przez niego kochanym), które czekały, czujnie wypatrując tego gestu i siedząc na tylnych łapach. Jednym słowem, w niczym nie uchybiając prawdzie, mogę stwierdzić, iż mój pan niepodobny był do żadnego człowieka, szlachcica ani prostaka, jakiegokolwiek znałem.

Po skończonej wieczerzy paziowie i my, giermkowie, zbieraliśmy stoły i składaliśmy deski i stojaki, po czym ustawiliśmy je pod ścianą kładliśmy się na podłodze i możliwie najbliżej ognia. Tam się czułem naprawdę bezpiecznie i było mi bardzo wygodnie – daleko zostały twarde

noce, gdy spałem obok żebraków i włóczęgów pod schodami niechlujnej wieżyczki mego ojca. Na ścianach wisiały puklerze, włócznie i trofea myśliwskie lub wojenne.

Hełmy, miecze i wszelkiego rodzaju broń wzbudzała we mnie zachwyt i pożądanie. Kiedy wszyscy już spali, często długo jeszcze pozostawałem z otwartymi oczami wpatrzony w blask płomieni igrający na lśniąącym metalu lub słuchając wiatru wyjącego wokół wieży. Była to jedyna godzina mego dnia (w którym zresztą niewiele czasu miałem wolnego), kiedy nawiedzała mnie lekka melancholia, jak wtedy po winobranii w ramionach żony kowala.

I tak, pośród przymusowego zamknięcia w murach zamku i ucztowania, do jakiego zmuszała nas zima, zacząłem wyczuwać (i stwierdzać) pewne nie zauważone dotychczas strony prawdziwej natury i charakteru barona Mohla, a także mojej pani, jego małżonki. Wiele szeptów i pogłosek dotarło wtedy do moich uszu. I wiele rzeczy po raz pierwszy odkryły moje oczy i moje zmysły.

## V. HISTORIE O LUDOŻERCACH

Istniało wiele aspektów życia ludzkiego, dobrze znanych większości chłopców w moim wieku – a nawet młodszym – o których ja zaledwie porzuciwszy dzięką samotność mego dzieciństwa, nie miałem żadnego pojęcia. Trzeba jednak zrozumieć tę nieświadomość, jeśli weźmie się pod uwagę, że aż do mego przybycia na zamek nigdy nie miałem sposobności – wyjąwszy tego młodego obieżyświata, który mi ukradł nóż – zamienić ani jednego zdania z jakimkolwiek stworzeniem – już nie mówię mego wieku i stanu, ale w ogóle stworzeniem ludzkim. Aż do tej pory tylko Krim-Koń był moim niemyym słuchaczem; jeśli chodzi o bandę nieszczęśników, którzy otaczali mego ojca i których gadanina, upiornie przeplatana martwymi triumfami, usypiała go wieczorem do snu, to ledwie dawali mi okazję wtrącić jakieś słowo.

Tak czy owak, aż do tej zimy nie wiedziałem nic o istnieniu stworzeń pół ludzkich, pół zwierzęcych, niebiańskich i piekielnych zarazem, z których wiele współżyło niewątpliwie w sposób mniej lub bardziej tajemny pomiędzy ludźmi. Tylko przy pewnych okazjach, podczas owych niezapomnianych wieczorów zimowych, gdy słuchałem tego rodzaju opowiadań, odżywały w mej pamięci pewne baśnie, kołyszące mnie do snu w dzieciństwie, już to śpiewane półgłosem przez moją matkę, już to przez jej służebne.

Podczas wieczorów na zamku pod osłoną i w ciepłe rozpalonego ognia, podczas gdy wiatr i śnieg kłębiły się w zimową noc, wiele zasłyszanych takich historii i zdarzeń otwierało moje uszy i wyostrzało oczy. I tak tego rodzaju stworzenia stały się dla mnie równie dobrze znane jak dla najbardziej doświadczonego w tych sprawach.

Pewnego ranka, bardzo dla mnie pamiętnego, ledwie się rozjaśniło,

zostałem wezwany przez Baronową, moją panią, która poleciła, abym osiodłał jej wierzchowca i towarzyszył (pomimo lodów ścinających drogi) w jednej z jej osobliwych przejażdżek. Pomagając jej wsiąść, uczułem końce ostrych paznokci na mojej dłoni i kiedy pani rozkazywała mi owinąć baranicą swoje nogi, spod okrycia wysunęła się ręka, smukła i śnieżnobiała, zakończona cienkimi różowymi sztylicikami. Dotknięcie jej dłoni bez rękawiczki wprawiło mnie w dziwne podniecenie, pełne poruszających się, bardzo niejasnych i przyjemnych wyobrażeń. Nagle obnażona ze swego zwykłego okrycia, ręka ta zdawała się wcielać w siebie całą nagość mojej pani (coś, czego do tej pory nie śmiałem sobie nawet wyobrazić). Podniosłem na nią oczy: głowa o włosach jasnych i gładkich jak biały metal ukazywała się także wolna od futrzanego kaptura. Odcinała się wyraźnie, aż do okrucieństwa, od nieba tak lśniącego jak puklerz wyczyszczony piaskiem. Ręka Baronowej przycisnęła moją rękę do futrzanego okrycia i uczułem pod dłonią jej kolano (wyobraziłem je sobie w tej chwili nagie i gładkie jak u dziecka). Wtedy moja pani uśmiechnęła się: i to wydało mi się tak dziwne – bo nie chodziło tym razem, jak przypuszczałem, o żadną lekcję, którą miała mi wytłumaczyć – że chwycił mnie strach. Po raz drugi w różowym świetle jutrzeńki zobaczyłem jej zęby, jak gdyby zabarwione blaskiem krwi, delikatnej i świeżej, lecz straszliwie czerwonej. A jednak była to krew, widok mi znany, i w jej dziwnym uśmiechu mieszały się w jakiś wstrząsający sposób sok morwy, pierwszy dzik, którego zabiłem, i smutne skrzywienie ust żony kowala (wtedy gdym ją tak brutalnie i niesprawiedliwie uderzył). Uczułem wtedy niepohamowany zawrót głowy, zgoła niewłaściwy, tak dalece że musiałem uczepić się konia mojej pani, by nie upaść na ziemię. Dawny, dobrze znany strach wyszedł z samych wnętrzności, obezwładniając moje ramiona i nogi. I gdyby nie cierpliwe nauki samej Baronowej (która tylekroć zalecała mi umiarkowanie gestów i ukrywanie

wszelkich niepowściągliwości zarówno własnych, jak i cudzych), wybuchnąłbym dzikim wyciem i tarzał się po ziemi (jak w czasach kiedy moja matka aplikowała na takie ekscesy mojej natury lekarstwa nieco brutalne, lecz o skuteczności niewątpliwej).

Zamiast tak nieopanowanych odruchów z przeszłości zdołałem z jasnością prawdziwie zdumiewającą (zważywszy zamęt panujący w moim mózgu) przypomnieć sobie, iż nie tak puste i niepotrzebne były nauki mojej pani, i nie dokończywszy tej myśli runąłem na ziemię (przypuszczam, że z najwyższą godnością nabytą dzięki wspomnianym lekcjom i wskazówkom).

Pierwszą rzeczą, jaką, gdy się ocknąłem, uchwyciły moje zmysły, było uczucie, doświadczone niegdyś, pewnego dnia winobrania, to, które przez pewien czas kazało mi się czuć najbardziej żywym i wolnym ze stworzeń ziemskich. Jak wtedy, czyjeś ręce przebiegały po moim ciele i jak wtedy zdawały mi się pierwszymi rękami, których ciepło łączyło się z moim ciepłem. I przeciwnie, pierwszy raz w życiu uraził moje nozdrza zapach stajennego gnoju unoszący się w powietrzu. Byłem obezwładniony, prawdziwie ścięty lodem, i myślę, że dygotałem, bo na to wskazywało gwałtowne dzwonenie moich zębów. Niemniej jakaś nieskończenie wielka nieufność i podejrzliwość (także nabyte we współżyciu z owymi tak dla mnie dziwnymi ludźmi na zamku) doradzały mi zachowanie najwyższej ostrożności. Wiedziałem jednak, iż moja krew galopuje bez żadnych hamulców, a serce wierzga wściekle, w zamknięciu coraz ciaśniejszym i nie wystarczającym, by je pomieścić. Bo miało się, jak zamknięta w klatce drapieżna bestia usiłując rozwalić coś, co je odgradzało od tej wolności bez granic, od tej ostrej gwałtownej radości. Wiedziałem jednak, jak daleko ode mnie jest to wino, ta chwila piękna i okrutna, w której stałem się (choć na czas tak krótki) panem ziemi, powietrza, morza i ognia.



Wtedy doszło do mnie wrażenie bliższe, rozpoznawalne: dotyk paznokci ostrych jak szpony sokoła, które znów przesuwały się po mojej skórze. Usłyszałem słowa Baronowej:

– Powiedz mi, ile naprawdę masz lat. Jeśli jesteś starszy, niż mówisz, nie bój się, nikt się o tym nie dowie, bo nie ty jesteś winien temu, że zaniedbano twoją osobę do tego stopnia... Dziwne to i miłe, że dusza tak prosta i dzika przykuta jest do ciała tak dzielnego i męskiego, jednego z najmężniejszych, najwspanialszych, najsilniejszych, jakie kiedykolwiek widziały moje oczy.

Po tych słowach uczułem niejasny dreszcz. W końcu szepnąłem:

– Mam czternaście lat.

Byłem oszołomiony wszystkim, co się działo, ale może właśnie samo to oszołomienie posłużyło za ostry pugiinał i rozdarło półdobrowolną nieświadomość, jaką się owijałem. Otworzyłem powieki i zobaczyłem (jak nigdy nie spodziewałbym się zobaczyć tak szlachetnej damy) moją panią siedzącą obok mnie na sianie, tym samym, na którym i ja leżałem. A że nie widziałem masztalerza ani żadnego pacholka, przyszło mi na myśl, iż to nie może być rzeczą normalną, by tak delikatna istota sama przeniosła mnie w ramionach na to miejsce. Toteż zamknąłem oczy bardzo ostrożnie, mówiąc sobie (nie wiem, dlaczego ta myśl mnie uspokajała), że z pewnością wlokła mnie bez żadnych ceremonii po ziemi, jak lisią skórę, aż wreszcie rzuciła mnie na tę stertę siana, tak samo jak mogła rzucić w jakiegokolwiek inne miejsce.

Nie były to stajnie zamkowe. Miły zwierzęcy ryk dobiegł moich uszu, potem następny. Że zaś nic dalszego nie było ode mnie niż podejrzenie, iż dźwięk taki (choć tak ciepły i swojski mi się wydawał) mógłby wyjść z ust tak szlachetnych i subtelnych jak usta Baronowej, pojąłem, że znajduję się w oborze, pośród wołów i krów wchodzących w skład wielkiej majątności Mohla. Zresztą, dla wieśniaka jak ja, nieomylnie jest

to ciepłe powietrze, jakim oddycha się w podobnych miejscach, nawet podczas mrozów zimowych, bo niejednej mroźnej nocy, zabrawszy z sobą siodło – jedyne dobro, jakie posiadałem na tej ziemi – musiałem chronić się pośród kóz mego ojca i w ich towarzystwie spędzać, osłonięty przed zimnem, wiele moich nocy.

Baronowa potrząsnęła mnie wtedy za ramiona niezbyt delikatnie i wstrząs ten przypomniał mi przekonywające lekarstwa, jakie wobec mnie stosowano w okolicznościach, jeśli nie tych samych, to przynajmniej podobnych. Toteż z powrotem otworzyłem oczy i utkwilem w niej spojrzenie, które, jak mi się wydaje, wyrażało prosty i zwyczajny strach. Ale ona nie to w nich odczytała, gdyż szepnęła:

– Nigdy nie widziałam oczu tak dzikich i śmiałych u żadnego stworzenia.

To powiedziawszy ścisnęła mnie w swych ramionach – które były równie szczupłe i delikatne, jak mocne, co już przedtem spostrzegłem, widząc ją napinającą łuk – i uczułem jej ostre drobne zęby na moich wargach, twarzy i szyi, a także w wielu innych miejscach mojej osoby, których samo oszołomienie, jakie czułem wówczas (i jakie ogarnia mnie jeszcze z tej odległości), nie pozwala mi wymieniać bardziej szczegółowo.

Mogę tylko upewnić, nie uchybiając najściślej prawdzie, iż pośród tak burzliwych uniesień jedno określenie powtarzało się rozbrzmiewając głuchym dźwiękiem bębna wojennego w mej czasce: ludożerczym.

Niejasno pogrążony w odurzeniu, które rozpoznawałem – lecz tym razem pozbawionym wrażenia swobody, przeciwnie, przykutym do jakiegoś ślepego i nawet ponurego posiadania, jakiego byłem przedmiotem – zdołałem jeszcze pomyśleć, wynaleźć jakieś wytłumaczenie – którego prawdę mówiąc nikt nie żądał – że Baronowa wyrusza z domu na mróz nie po to, by polować lub galopować na koniu, lecz by pożerać niewinne stworzenia, szarpać ich ciało w swych cienkich zakrzywionych szponach

i zagłębiać ostre kły w ich wnętrzu – jak mogłem to stwierdzić na sobie.

Po długiej chwili, w której mnie pożarła niemal do połowy, zapytała mnie moja pani, czy znałem już przedtem kobietę. A że mała żona kowala wydawała mi się istotą całkowicie nie do skojarzenia z tym, co objawiała mi ona, nic nie odpowiedziałem. Bo prawdę mówiąc nie wiedziałem tego. I podczas gdy z wolna opuszczała moje zmysły dziwna światłość nocna (zabarwiona krwią i dymem uschniętych liści dalekiej jesieni, czerwonych i lepkich w błocie, gdzie deptali czarne morwy niezliczeni winobrańcy o błękitnym kręgu wokół mięsistych warg), znalazłem się tak samotny, tak pusty wewnątrz, jak ci pobici królowie, którzy (jak opowiadali sobie najemni żołnierze) błądzili po stepie w pogoni za widmem swej dawnej władzy. Zdołałem wtedy pomyśleć tylko, że nigdy bym nie podejrzewał, by dama o wybrednym powonieniu mogła wybrać podobne miejsce do zawarcia intymnej i niszczycielskiej znajomości z moją (jakkolwiek skromną i mało znaczącą) osobą. Chociaż, o ile mogłem się zorientować, nie była ona aż tak małą znaczącą w opinii tej równie wyniosłej, jak szorstkiej damy.

Zaczęła znowu nalegać, z uporem, który wydał mi się nie na miejscu, czy jej podałem prawdziwą ilość moich lat, i zdaje mi się, że chciała, żebym jej powiedział czy skłamał, że mam ich trochę więcej. Jak wszyscy mężczyźni w mojej rodzinie, wyglądałem na trochę więcej lat, niż miałem, ale byłem wtedy bardzo naiwny i szczerzy w moich odpowiedziach.

– Nikogo nie oszukiwałem co do mego wieku – powtórzyłem naiwnie.  
– Mam czternaście lat.

Musiałem jej się wydać tak głupi i pomyłony, czy przynajmniej tak niezwykle, że zaspokoivszy swe tkliwe furie pocałowała mnie w czoło jak dziecko i nawet pomogła zebrać i włożyć na siebie rozrzuconą odzież, przygładzić włosy i strząsnąć z siebie wszelkie ślady siana, a także – trzeba to wyznać – gnoju, bo w kolejnych fazach walki tarzałem się

między jednym a drugim, nie zwracając na to specjalnej uwagi.

W sumie poznanie kobiet nie przestawało być dla mnie coraz bardziej zaskakujące.

Gdy powróciliśmy, każde z nas na swoje miejsce, zacząłem przypuszczać, że całe to zdarzenie było wytworem jakiegoś chorobliwego stanu, wywołanego zimnem czy nadmiarem wyczerpującej pracy, jakiej na ogół nas poddawano. Moja pani zachowywała się z tym samym co zwykle chłodem i wyniosłością i ani w niej samej, ani w jej postawie i sposobie zwracania się do mnie nic nie pozwalało wyczuwać namiętnej i niemal bestialskiej istoty, która w oborze okazała mi w sposób niewątpliwy swoją przychylność. Toteż poprzysiągłbym – tak jak zrobiłbym dziś jeszcze, gdyby to było potrzebne (a nie jest) – że najlżejsze nawet wspomnienie tego incydentu nie muskało jej białego czoła, jak gdyby wraz z ostatnim żdźbłem siana strząśniętym z mojej osoby (i jej własnej) odrzuciła także wszelką pamięć czy zostawiony w naszych myślach (zwłaszcza w jej myśli) ślad podobnych wybryków.

Niemniej w jakiś czas później, pewnego wieczora przy ognisku, kiedy czytałem głośno na czyjąś prośbę – co zawsze robiłem z przyjemnością i starannie – uczułem utkwione w siebie oczy, które wydały mi się dobrze znane. Zmieszany, zacząłem plątać się w lekturze, trzęsły mi się ręce i na próżno usiłowałem uchwycić bodaj strzęp z niedawno wyuczonych lekcji opanowywania uczuć i spokoju, w jaki – teoretycznie przynajmniej – powinien przyoblekać się prawdziwy rycerz w każdym momencie. Zanim podniosłem i skierowałem wzrok dokładnie na miejsce tego płonącego spojrzenia, wiedziałem, co zobaczę: w półmroku rozświetlonym językami ognia błyszcząły żółte źrenice owego pół świętego, pół piekielnego zwierzęcia, które czcił mój ojciec. Zrozumiałem wtedy, dlaczego zawsze drżałem pod tym spojrzeniem i w głębi mojej istoty rozpoznałem te oczy w oczach mojej pani, aroganckiej i kapryśnej Baronowej.

Tej nocy nie stodoła została wybrana jako miejsce naszych równie płomiennych, jak rozkosz dających uniesień. I krwawych także, bo trudno było usunąć z mojej zmaltretowanej skóry ślady zadrapań paznokci i kłów (jakkolwiek miłe mogły mi być te karesy w pewnych określonych momentach).

To drugie spotkanie odbyło się w jej własnej sypialni i groza sparaliżowała mnie na myśl, że dzieli ją, wedle powszechnego zwyczaju, z Baronem. Ze zdumieniem wszakże i ulgą przekonałem się, że tak nie jest, gdyż komnatę rozdzielało przepierzenie grubo obwieszane dywanami.

Tak jak poprzednim razem, w ciągu dni następnych postawa Baronowej w niczym się nie różniła od jej zwykłego chłodu – miała zasłużoną opinię uprzejmej i grzecznej, lecz oddychało się lodem w jej obecności.

Zdarzyło się, że w tych dniach, przy wieczerzy jeden z biesiadników opowiadał ze szczegółami mrożącą krew w żyłach historię Królowej Ludożerczym. Z tej opowieści dowiedziałem się, iż tylko w pewnych określonych okolicznościach istoty tego rodzaju ulegają takiemu przeobrażeniu, nic o tym nie wiedząc lub nie pamiętając nic przedtem ani potem. Nie miałem już najmniejszej wątpliwości, że do tego gatunku należała także moja pani i od tego dnia na zawsze zacząłem ją uważać za ludożerczynię.

Ale od tego czasu również nie mogłem mieć wątpliwości (jakie miałem, gdy zapytała mnie o to wtedy, w oborze) co do faktu, że poznałem już kobietę. I wkrótce potem narodziła się we mnie miłość, niezbyt gorąca i beznadziejna, do jednej z dwóch siostrzenic mojej pani: właśnie do tej, która najmniej na mnie zważała. Muszę wszakże podkreślić, że gdyby ta dziewczynka spojrzała na mnie z najmniejszą bodaj uwagą, strach, zdziwienie i przekonanie, że coś nie jest tak, jak być powinno, natychmiast unicestwiłyby to uczucie.

Ale do tego nie doszło i miłość rozwiała się w odpowiednim momencie

tak nieszkodliwie i głupio, jak przyszła.

Po tych przeżyciach, niewątpliwie ważnych i odkrywczych, nadeszły inne doświadczenia i odkrycia. Jak gdyby tej zimy przyszedł na mnie czas otwarcia oczu, uszu i inteligencji, jednym słowem przebudzenie mojej uśpionej i niewinnej natury.

Te następne odkrycia wiązały się ściśle z osobą mego pana (i z wieloma innymi ludźmi, którzy wokół niego żyli, intrygowali albo czyhali) i zadałem sobie pytanie, czy te rzeczy i te istoty były przyczyną nieustającej groźby, która, od czasu gdym przestąpił próg zamku, tropiła moje kroki i którą wyczuwał mój czujny instynkt myśliwego.

W pierwszych godzinach poranka baron Mohl zwykł jadać bardzo skromnie. Po przebudzeniu jego posiłek składał się tylko z chleba i wina, poza tą pośpieszną przegryzką zjadał dwa obfite posiłki w ciągu dnia: jeden w południe, drugi wieczorem, ale jego stół stale był otwarty i mogli z niego korzystać wszyscy, którzy mieli ochotę skosztować jego potraw lub napić się jego wina.

Toteż nie tylko ja mogłem najadać się do syta (a nawet bez skrupułów wetować sobie głodowanie z czasów dzieciństwa). Ta szczodrość – zwłaszcza w zimie, która zmuszała do nużącego przesiadywania w domach – przyciągała stale na zamek wizyty ubogich panów lennych, których zamki czy dwory rozproszone były w okolicy. Zawsze byli gościnnie witani przez Barona, karmieni i pojeni, ile zapragnęli. Dlatego też zrozumiałem bardzo dobrze punktualność, z jaką Mohl ścierał od mego ojca – a przypuszczam także, że i od innych – należną mu третią część zbiorów po winobranii. Bo na tej zimnej szerokości geograficznej, jeśli chodzi o napitki nie dziecinne, ziemia dawała tylko piwo. Toteż wielki ruch i ożywienie wypełniało basztę zamkową mego pana. Zakutani

w kożuchy, z twarzami zaczerwienionymi od mrozu i zsiniałymi wargami przybywali goście ze wszystkich punktów, nawet dość odległych, nie tylko spragnieni posilnej stawy, jaką wetowali sobie swoje mniej lub bardziej dotkliwe niedostatki, lecz dlatego, że na zamku mego pana działy się rzeczy przyjemne i niezwykle. Organizowano liczne i bardzo różnorodne rozrywki – zagadki, gry w fanty, szachy, warcaby – słuchano muzyki lub opowiadano osobliwe historie, od epepei wojennych i legend o naszych dalekich przodkach (których bałwochwalstwo było oczywiste i pozornie wzgardzone, lecz w sekrecie fascynujące i miłe wszystkim) aż do najróżniejszych dziwów z naszych dni. A także, mimo tak lutych mrozów, jeśli przez gęste chmury zdołał się przebić promień słońca i rozblysnąć na śniegu, urządzano gonitwy, polowania, a nawet od czasu do czasu jakieś zapasy rycerskie.

Przybywało także wielu podróżnych i włóczędów do bram zamku. Ale do komnat mego pana wstęp mieli tylko ci, którzy mogli popisać się jakąś osobliwą zręcznością lub umieli śpiewać, przepowiadać przyszłość, opowiadać historie, prawdziwe czy zmyślane.

I przyjmował nawet Baron z różnych odległych ziem kuglarzy, bardów, ludzi z rasy zupełnie innej niż nasza: ludzi o czarnych włosach, bardzo krótkich i krętych, którzy umieli strzelać z łuku jak nikt, galopować siedząc na koniu twarzą do ogona i połykali płonące żagwie jak niewinne ptaszki (upieczone przedtem, rzecz jasna). A kiedyś przybył jakiś człowiek z orlim nosem i oczyma jastrzębia, który znał język słońca, księżyca i gwiazd i gawędził nawet z nimi przez chwilę bardzo spokojnie. Obudziło to powszechne zdumienie.

Otóż wszystkich tych ludzi mój pan przyjmował, wysłuchiwał i nawet czasem oklaskiwał; i chociaż, rzecz naturalna, jedni podobali mu się bardziej niż inni (i niejednego go rozczarował, bo widziałem go nieraz ziewającego ukradkiem za czarnymi rękawiczkami), wszyscy odjeżdżali

z jego domu sownie wynagrodzeni za swe trudy i z żołądkiem dobrze napełnionym, czasem nawet aż za dobrze, bo któż wiedział, kiedy i gdzie mieli spotkać się znów z tak szczodrym przyjęciem, a w ciągu długich dni drogi, która ich czekała, musieli stawiać czoła śnieżycy, wichrom i atakom wilków.

Kiedy wiatr zimowy wpadł w furie i szturmował mury zamku, drżałem prawdziwie. Niczym był wiatr na naszej ziemi – osłoniętej zakrętem Wielkiej Rzeki, gdzie rozpościerały się winnice mego ojca – w porównaniu z tą nawałnicą, która napierała ze wszystkich stron i czasem zdawało się, że wyrwie z ziemi wieże i blanki. Zrywały się zamiecie śnieżne unosząc z ziemi tumany białe i lekkie jak pióra, a w dali wydmy przypominały dziwną fortecę zmieniającą czasami swe kontury, tak że – w moich oczach przynajmniej – wyglądała jak groźne wojsko upiórów posuwające się niepostrzeżenie ku zamkowi (i niewątpliwie zdecydowane nie zostawić w nim kamienia na kamieniu).

Sterczący na swym małym wzniesieniu zamek Mohłów trzymał się, jakby urągając wichrom, wystawiony na ich nieustające ataki. Słuchając tego przeciągłego wycia czułem długi, przesywający dreszcz i chwycił mnie strach pienisty, jakby bezwładny, a jednocześnie zapalała się w duszy jakaś nieokreślona żądza zabicia, zniszczenia czegoś. Ale przedmioty tych pragnień nie poznałem nigdy, bo obejmowały zarówno cały świat, jak i nieznaną zalęknioną cień (który na próżno starałem się rozpoznać).

Wkrótce zauważyłem, że w ciągu tych nocy i dni, kiedy wzrastała furia wiatru – jakby skupiająca w sobie gniewny ryk wszystkich wojen i wszystkich winobrań minionych i przyszłych – w mojej pani budziły się ludożercze instynkty. I wtedy właśnie, pośród tego wiatru (wskrzyszającego nagle krzyk moich sześciu lat naprzeciw ognistego



drzewa) w ciemności korytarzy lub w białej pustce śniegu ukazywały się posępne twarze i bezlitosne oczy moich trzech braci.

Nadal zajmowali ostatnie miejsca przy stole Mohla i tej zimy miałem sposobność niezliczoną ilość razy przekonać się, jak często mój pan okazywał im swoją pogardę, i robiło mi się wtedy nieswojo. Ilekroć spotkałem się z nimi na schodach czy w jakimś korytarzu, bili mnie bez powodu. Na próżno szamotałem się wtedy, kąsałem ich ręce jak wilk i próbowałem zadawać razy sztyletem. Zwykle trzymali mnie we dwóch, podczas gdy trzeci grzmocił kijem, ile zechciał. Kolejności przywileju przestrzegali skrupulatnie (od czasów podziału skrzydełek i ud gęsi znacznie wzrosła ich mania pilnowania we wszystkim kolejności i ilości, jaka każdemu miała przypadać). Wtedy zrozumiałem, jak ich nienawidzę, i przysiągłem sobie, że pewnego dnia (może prędzej, niżbym pragnął i niż wymagała ostrożność) zabiję wszystkich trzech, jednego po drugim, zachowując kolejność według wieku i rozdzielając pchnięcia sztyletem sprawiedliwie, jak przystało, żeby zadowolić ich niezrównany zmysł sprawiedliwości przy rozdziale życia i śmierci.

W tych dniach wszakże stało się coś, co mnie głęboko skonsternowało i odmieniło gwałtowność tych uczuć.

Od pierwszej chwili, kiedy mieliśmy pozostawać pod jednym dachem, miałem sposobności bez liku by zauważyć, jak niewielką sympatię wzbudzali moi bracia w kimkolwiek. Moja pani nie zwracała się do nich nigdy ani słowem, a wiedziałem dobrze, sądząc po rzucanych ukradkiem spojrzeniach, na jakich ich przyłapałem, że jeden z nich, a może wszyscy trzej, chcieliby bardzo poznać ją w jej ludożerczych momentach. Ten rodzaj spojrzenia łatwo już mogłem rozpoznać, gdyż w moich mięsożernych wędrówkach po świecie takich stworzeń (nie ludzkich albo zwierzęco ludzkich – bo nie wiedziałem, jak zwać je należy) udoskonaliłem w znacznej mierze zdolność rozróżniania takich

gustów i subtelności i mogę być pewien tego, co mówię, gdyż rasa ludożerców (przynajmniej te jej okazy, które dane było mi poznać) posiada zadziwiającą znajomość ludzkich tajemnic, skłonności i upodobań w dziedzinie zmysłów; i obdarzona jest wielką przenikliwością i nieskończonością sposobów rozbudzania tych skłonności z otępienia (czy zwykłej naiwności). A naiwność i nieświadomość oddalały się od mego życia, tak jak oddala się dzieciństwo, i gwałtowna, prymitywna natura, która odróżniała mnie – i dotąd odróżnia – od innych chłopców, zaostrzała z dnia na dzień swoje kolce. Inni młodzi giermkowie odnosili się do mnie bądź z życzliwością, bądź złośliwie. I ze zdziwieniem, nie rozumiejąc tego zupełnie, wspominałem czas, kiedy pragnąłem nawiązać przyjaźń, zamieniać kilka słów czy choćby tylko podzielić łup i ogryźć kości razem z jakimś stworzeniem mego gatunku. Teraz nie miałem żadnej ochoty z nimi rozmawiać i nie zwykłem przedłużać rozmowy poza to co było konieczne. Przeciwnie, coraz bardziej kochałem dawną samotność, rozmyślania czy marzenia, i z każdym dniem bardziej za nimi tęskniłem. Jeśli czasem zamieniłem parę słów z jakimś chłopcem, to wyłącznie na temat wojny, broni albo koni. Poza tym wolałem milczącą rozmowę z sobą samym i rozważania na temat moich odkryć i spostrzeżeń. I zachowywałem te odkrycia przy sobie z wielką dyskrecją i ostrożnością.

Jak już zaznaczyłem, moi bracia zawsze byli ostatni w otrzymywaniu wyróżnień czy jakiegokolwiek objawu życzliwości (gdyby im ją ktokolwiek okazywał, czego nigdy nie widziałem). Ale dokonywali wielkich wysiłków, by to osiągnąć, i aż dziwne wydawało się że nie uzyskali bodaj raz jakiegoś słowa, jeśli już nie pochwały, to przynajmniej zainteresowania, dowodu, że ktokolwiek zauważył tak heroiczne trudy. Na przekór tej obojętności i nawet ignorowaniu ich osób, ilekroć potrzebna była siła, męstwo czy poświęcenie, nieomylnie na nich padał wybór Barona. Podczas mego pobytu między tymi ludźmi widywałem

ich w najbardziej niebezpiecznych i ryzykownych sytuacjach. I trzeba przyznać, że zawsze wychodzili obronną ręką z tych niewdzięcznych zleceń i wypełniali je jeszcze gorliwiej, niż tego wymagano. Toteż nie skłamię, jeśli powiem, że niekiedy prześcigali się nawzajem w gorliwości i wypełnianiu powierzonych im misji. Bili, zabijali lub karali okrutnie, na zimno i bez wahania czy najmniejszych wzdragań, wszystkich, których w tym celu wskazał mój pan. W nagrodę za to powracali do poniżeń, zapomnienia i upokarzającego ostatniego miejsca przy stole pana. Mimo to nigdy nie słyszałem ani jednej skargi z ich ust, co przecież wydawałoby mi się zrozumiałe, a nawet uzasadnione. Nie waham się też stwierdzić, że biorąc wszystko w rachubę (pomimo tak niewielkiej życzliwości okazywanej mi podczas naszych spotkań lub przypadkowych zderzeń na pustych korytarzach), można było dojść do wniosku, że byli bardzo nieszczęśliwi, a nawet ich usprawiedliwić.

Pośród wielu spostrzeżeń, jakich miałem sposobność dokonać w owym czasie, jednym z ważniejszych jest odkrycie różnicy między żołnierzem autentycznym a pojęciem, jakie miałem o tym dotychczas. Podczas tej zimy (kiedy tyle czasu trzeba było spędzać pod dachem i w zamknięciu czterech ścian) pomimo licznych urozmaień, o które starała się pani zamku, życie często stawało się uciążliwe i nieznośnie monotonne. W przeciwieństwie do innych młodych giermków – którzy uważali to za rzecz ponizającą i niegodną rycerza – nawiązałem wtedy jeśli nie przyjaźń, to pewne stosunki z żołnierzami Mohla. Ich życie i opowieści interesowały mnie i pociągały bardziej niż jakkolwiek inna rozrywka. Gra w kości była najlepszym sposobem zawarcia głębszej znajomości między nami. Toteż często wieczorem, kiedy moi szlachetnie urodzeni towarzysze spali już w przytulnej sali biesiadnej na trzciniowej macie,

wymykałem się po kryjomu, aby szukać kompanii żołnierzy. Potrząsając kośćmi w kubku próbowałem szczęścia ze strażnikami i wypijałem z nimi od czasu do czasu kufel piwa.

Dowiedziałem się od nich wielu historii prawdziwie przerażających, zarówno o moich braciach, jak i pozornie niewzruszonym panu naszych losów i jego ponurej naturze, kryjącej się w cieniu osłaniającym jego nieodgadnione spojrzenie. Prawdę mówiąc, kiedy mu służyłem przy stole – to jest przy jedynych okazjach, w których mogłem się do niego zbliżyć – nieraz dostrzegałem dziwną czerń zakrywającą jego oczy, tak jakby światło nie mogło nigdy już nie tylko przeniknąć do nich, ale nawet ich dotknąć.

Jak wiele razy słyszałem od żołnierzy, spośród licznych i różnorodnych wrogów Mohla najgorszym i najbardziej niebezpiecznym był niewątpliwie niejaki hrabia Laszko. Mieszkał ów hrabia w twierdzy wielkiej i dobrze przygotowanej do obrony, choć (jak również słyszałem) – ze względu na jego niechlujstwo i brak rozumu – pozbawionej najprymitywniejszych wygód. Miał liczne wojsko uformowane z poboru chłopów, ale dobrze wyćwiczone i uzbrojone nie gorzej niż wojsko Mohla. Mimo to władza tego ostatniego była mocniej ugruntowana i bardziej rozległa, aczkolwiek w obecnej sytuacji jej legenda wydawała mi się pomimo wszystko nieco przesadzona. Porównywałem go z hrabią, którego siły, broń i nawet umiejętności wojenne dorównywały tym, jakie posiadał mój pan, i doszedłem do wniosku, że wyższość Mohla polegała na znacznej wyższości jego natury, odróżniającej go nie tylko od Laszka, lecz od wszystkich innych ludzi, jakich dotychczas znałem, tej niezwyklej natury, która kazała mu panować nad usposobieniem równie gwałtownym – a nawet bardziej – jak jego wrogów, ćwiczyć i rozwijać swój umysł, dbać o ducha tak samo jak o ciało, o ziemię i siły zbrojne. Dlatego otaczał opieką uczonych mnichów i mędrców podobnie jak karawany kupieckie,

dla których nawet otworzył wolne drogi na swoich włościach, zamiast na nie napadać i grabić, jak było zwyczajem. Interesowały go szlaki Słońca, Księżycy i Gwiazd, teksty łacińskie i matematyka. Często kupował różne dziwne przedmioty, raczej piękne niż cenne. Starał się stawiać sprawiedliwość ponad własnymi uczuciami, dlatego też uchodził za najbardziej zrównoważonego i szlachetnego pana znanego w okolicy. W tych i innych rzeczach tkwiła, jak w końcu stwierdziłem, jego prawdziwa siła. I choć niejasno, z biegiem czasu zacząłem rozumieć tę formę panowania i nadszedł dzień, kiedy przekonałem się o słuszności moich wniosków. Na odwrót, żaden z jego sąsiadów – przyjaciół czy wrogów – nie okazał się w końcu tak tępy, nieokrzesany, okrutny i skłonny do przemocy jak hrabia Laszko.

Pośród żołnierzy, z którymi zwykłem grywać w kości, pić i gawędzić, był jeden, który, zanim wstąpił na służbę Mohla, bił się w szeregach hrabiego. Jeśli wierzyć jego słowom, znał go dobrze. Opisywał go w żywych barwach, upewniając, że jego dawny pan nie zna nawet języka, którym chciałby się porozumiewać ze swymi bliźnimi. Lepiej można było go zrozumieć, kiedy wydawał pomruki, niż kiedy udało mu się wymówić jedno z nielicznych słów, które znał i któremu udało się otworzyć sobie drogę przez jego żarłoczne gardło. Według twierdzeń żołnierza Laszko uśmiechał się zawsze z wyrazem twarzy, który w pierwszej chwili można było wziąć za dobroduszny, niemal anielski, niebawem jednak rodziło się podejrzenie, czy ten uśmiech zamiast wrodzonej łagodności nie ukrywa najbardziej zatwardziałej głupoty. Żył odosobniony w swojej posępnej fortecy za wydmami, w kierunku na wschód. Opowiadano, że pochodził z ludów zamieszkujących stepy. Świadczyły o tym jego splecione w warkocz włosy, spalone słońcem i wiatrem, jego dziwny sposób cwałowania i niemal spędzania życia na koniu (ktoś twierdził, że nawet sypia na końskim grzbiecie), a wreszcie jego przyrodzone wielkie

okrucieństwo. Pochodzenie to – prawdziwe czy nie – ścierało na niech pogardę innych panów, zwłaszcza Mohla, który nienawidził owej rasy wędrownej i nierozłącznej z koniem. Laszko jednak zaprzeczał gniewnie tym twierdzeniom, ostentacyjnie podkreślając swoją pobożność i przywiązanie do religii chrześcijan, jej obrządków i obyczajów – czy tego, co za nie uważał. Wiedzano o jego prawdziwym afekcie dla jednej tylko osoby: adoptowanego syna. Jak słyszałem od ludzi mego pana, hrabia kochał tego chłopca tak obłądnie, że rozpieszczaniem go i schlebaniem zrobił z niego jakieś dziwne zwierzątko, o miękkich łagodnych ruchach; był kapryśny jak dziewczynka i równe dziki jak jego przybrany ojciec, gdyż z wyraźną przyjemnością sekundował mu we wszystkich okrucieństwach i gwałtach, jakie tamtemu przychodziły do głowy, a nawet na własną rękę popełniał inne, jeśli mu na to przyszła ochota.

Pośród licznych aktów przemocy, jakich dopuszczali się obydwaj, jeden z najczęstszych polegał na uporczywym i obsesyjnym dążeniu do zawładnięcia pewnymi ziemiami, które należały do państewka Mohla. (Aczkolwiek, o ile mogłem się dowiedzieć z półgłosem wypowiedzianych komentarzy, rzekomy przybysz ze stepów miał do nich pewne prawa, gdyż według krążących pogłosek ziemie te przedtem Mohl odebrał jemu). Z tej to przyczyny przygraniczne potyczki między obydwoma panami były częste i czasem przybierały krwawy charakter.

Muszę podkreślić, że w podobnych okolicznościach nigdy nie brakowało wiatru. Zazwyczaj spór zaczynał się w ten sposób: Laszko wysyłał jakiegoś człowieka, znanego ze swej głupoty czy upośledzenia, z nakazem skopania i poprzewracania rzędów glinianych dzbanów, tu i ówdzie wbitych w ziemię dla wyznaczenia granic posiadłości, którą Mohl uważał za swoją niepodważalną własność. Po obaleniu i rozbiciu tak arbitralnych linii granicznych zaczynał się długi łańcuch zniewag i zadrażnień rozpalających wzajemną nienawiść. Mohl nie tolerował

takiego afrontu, Laszko zaś miał inne zdanie o miejscu i wytyczaniu tych granic. Usiłował je obalić i na swój sposób odebrać ten czy inny skrawek ziemi, aby odzyskać to, co w jego mniemaniu (czy też naprawdę) zostało zagrabione, a może tylko chciał sprawić sobie jakąś uciechę i uczcić ją winem wraz ze swymi ludźmi podczas częstych pijatyk w jego fortecy. Mohl nie dawał mu wiele czasu na korzystanie z tych przyjemności. Obłąkaniec czy półgłówek, który kopnął ten czy inny dzbanek na granicy, płacił to zawsze własną głową. Ludzie pełniący straż, którym Mohl przykazywał nieustającą czujność, wyskakiwali ze wszystkich stron: zza wydm, spośród drzew, a nawet, rzekłbyś wyrastali z ziemi. Jak opętani przez szatana – tacy przynajmniej musieli się zdawać śmiałemu lub naiwnemu deptaczowi granic – rzucali się za nim w pościg, póki go nie schwyтали i nie powiesili na najbliższym drzewie. Widok kołyszącego się na wietrze ciała podniecał wzburzenie po drugiej stronie rozbitego garnka i z kolei ludzie Laszka spadali na chaty i sioła rozproszone na ziemiach Mohla. Palili, mordowali i grabili, popełniając wszystkie występki, jakie przyszły im na myśl lub bez trudu pozwalały wyładować urazę i żądzę grabieży. Wtedy między dwoma wojskami rozpoczynała się walka urywana, lecz nie mniej przez to zaciekła. A oto – jak mi powiedział ów żołnierz – jej prawdziwa przyczyna i marzenie, jakie ukazywał oczom swoich żołdaków Laszko podczas swych orgii pijackich – jedynych okazji, kiedy, jak się zdawało, zdołał wypowiedzieć garść słów mniej lub bardziej rozumnych: stanąć któregoś dnia do pojedynku twarzą w twarz z samym Baronem. Ten jednak dotychczas nie dawał mu sposobności spełnienia pragnień tak długo żywionych. Mohl regulował te zatargi wysyłając – naprzeciw zastępu zbrojnych ludzi – moich trzech braci i po prawdzie oni to najprędzej i najbardziej skutecznie rozstrzygali te incydenty i najprędzej wracali, przynosząc krwawy i niesławny pokój, jaki na czas możliwie najdłuższy (zważywszy okoliczności) udawało im

się uzyskać.

W gawędach tych ludzi zauważyłem, pomieszany z opisanymi faktami, pewien rodzaj porozumienia złożonego z aluzji i niedopowiedzeń często rzucanych na temat czegoś – zdarzenia czy osoby – dla mnie niezrozumiałego, a co unosiło się w powietrzu wszędzie na tym zamku. I o ile mogłem się zorientować, sprawa ta była wiadoma wszystkim, a jednak osłonięta milczeniem. Jakieś niejasne szyderstwo, zuchwałe, a równocześnie bojaźliwe, pełzało wśród tych gawęd i aluzji i pojmowałem z wolna jego naturę, tak oczywistą i utajoną, i oprócz instynktownego, nieuzasadnionego niepokoju czułem nieprzepartą potrzebę poznania tego, co ukrywała cienka mgielka otaczająca aluzje żołnierzy. Niewątpliwie chodziło o coś związanego z osobą mego pana, ale bardzo mi się wydawało dziwne, a zarazem przykre, odkrywać powiew szyderstwa (którego zuchwalstwo i ponurość wyczuwałem) w czymkolwiek dotyczącym takiego człowieka jak on, bo nie tylko wzbudzał postrach i był szanowany za swoją odwagę i hart, ale także i podziwiany przez tych ludzi. Ta zagadka skłaniała mnie do częstych odwiedzin na wartowni, grywania w kości i libacji w towarzystwie strażników, mimo że z każdym dniem mniej pociągały mnie gry hazardowe, a kwaśne i gorzkie piwo, jakie popijali, nie zachwycało szczególnie mego podniebienia.

Pewnego dnia dokuczliwego chłodu i nieba tak zasnutego chmurami, że pierwsze godziny popołudnia wydawały się już nocą, mój pan wyjechał na koniu sam, bez jakiegokolwiek asysty. Podzieliłem się z żołnierzami zdziwieniem, jakie budziły we mnie te samotne wycieczki, gdyż zauważyłem, że zawsze w tym celu wybierał podobne dni. Miałem wówczas sposobność usłyszeć ciekawą uwagę, z uśmiechem, który przypominał raczej przebłąsk grozy:

– Jedzie szukać świeżego mięsa... Czujesz wiatr?

Słowa te wstrząsnęły mną i powiedziałem sobie z drżeniem, że może



niejeden ludożerca mieszka w tych ścianach.

Nazajutrz o świcie wichura zdawała się przycichać, jakby się czała. Wielkie milczenie opanowało każdy zakątek i każdego człowieka. Obudziłem się razem z moimi towarzyszami na odgłos dochodzący z wysokości. Ponad murami z wieży strażniczej dochodził przeciągły jęk rogu, ostrzegający o zbliżaniu się ludzi zbrojnych i prawdopodobnie wrogów, w mglistej dali łąk.

Zaledwie umilkł zew rogu, uczułem, że jakiś niewidzialny miecz rozrywa mnie od głowy do nóg, rozdzierając na dwie połowy. I u moich stóp zarysował się twardy cień, ostrą czernią odcinający się od bladej bieli świtu. Nie wiedząc jak – i nie mogę przypomnieć sobie teraz – zamiast w sali, w której spali młodzi giermkowie, znalazłem się pośrodku placu broni. Słyszałem głosy i kroki żołnierzy biegnących na swoje stanowiska, dzwony w grodach zwołujące ludzi, skrzyp kół wozów i krzyki wieśniaków, którzy biegli schronić się za murami zamku. Wszystko to jednak spływało ze mnie jak lekki deszcz, bez znaczenia. Ścisnąłem w rękę miecz zniszczony ód długiego używania, setki razy ostrzony, mocno uchwyciłem puklerz i niespokojnie szukałem wzrokiem znanej sylwetki.

W końcu zobaczyłem go: stał na śniegu, wyprostowany, bardzo wysoki, prawie czarny pośród swych futer. Podbiegłem do niego i popełniłem największe zuchwalstwa mego życia, bo jak we śnie usłyszałem swój własny głos:

– Pozwól mi walczyć u twego boku, panie!

Nie zdawałem sobie sprawy, w jaki sposób znalazłem się przed nim z mieczem i puklerzem kurczowo ściskanym w dłoni, drżący z gniewu, gniewu, którego nie mogłem skierować ani nawet rozpoznać. Wiedziałem, że mój postępek może zostać ukarany wygnaniem z zamku albo czymś jeszcze sroższym, bo pod tym względem mój umysł zachował trzeźwość. A jednak pozostałem tam, stanowczy, a nawet zaczepny, patrząc prosto w

twarz tego, który nigdy nie zwrócił na mnie oczu. Krótka kasztanowata broda, ostre ciosane szczęki mego pana zdawały się wykute z jakiegoś bardzo starego minerału, który magle rozpoznałem. Pomiędzy jego powiekami błędził gęsty cień, który tylekroć mnie niepokoił: tam, gdzie zamiast spojrzenia zdawała się otwierać przepaść bez dna.

– Odejdź – powiedział bez gniewu ani cierpliwości. Jego głos był częścią tego dalekiego i rozpoznanego minerału, z jakiego cały był wykuty.

Mimo to powtórzyłem, doprowadzony do jakiejś zimnej rozpaczki:

– Pozwól mi walczyć u twego boku!

Nie wiem, ile czasu stałem tak, czekając, by się coś stało. Pamiętam tylko olbrzymią przestrzeń śniegu i wznoszący się na jej krańcu żywy posąg barona Mohla. Wreszcie usłyszałem jego głos:

– Giermkowie, którzy nie zostali jeszcze pasowani na rycerzy, nie mogą bić się na wojnie. Mimo to wsiądź na konia i jedź za mną, nikt inny tylko ty będziesz niósł moją broń i tarczę.

Dopiero gdy wskoczyłem na Krima i jechałem u jego boku w kierunku murów, zdałem sobie sprawę, na co się ośmieliłem, i uczułem na sobie nienawistny wzrok mnóstwa oczu: zwykli giermkowie Mohla każą mi zapłacić za to, co zrobiłem. Nienawiść wydłużała swój cień na śniegu powoli i stopniowo, tak jak światło dnia rozpościera się na firmamencie nocnym i zaciera na nim każdą gwiazdę. I tak pokryła i wyrównała mi wszystko, co obejmowały moje oczy. Ogromna niezmacona samotność poruszała się w mojej duszy i odległość bez granic rosła wokół Barona i mnie. Aż do chwili gdy to oszołomienie i jasność widzenia przerwane zostały (i prawdę mówiąc roztratowane) przez kopyta koni, na których galopowali moi bracia.

Najstarszy zbliżył się do mego pana z pierwszą wiadomością:

– Hrabia Laszko wysyła dwóch emisariuszy pokoju. On sam oczekuje

ze zbrojnymi ludźmi na łące, ale nie ma zamiarów bojowych: żąda tylko wydania czegoś czy kogoś i powtarza bez ustanku jedno imię.

Utkwił potem oczy we mnie z taką nienawiścią, że uczułem, iż moje ciało i duch załamują się jak od uderzenia.

Znowu strach zrodzony z moich własnych kości (bo takiego doznałem wrażenia) zmusił mnie do zaciśnięcia szczęk aż do bólu, aby nie czuć konwulsyjnego dzwonięcia zębów, i zagłębiłem kolana w boki mego konia. Z wielkim wysiłkiem utrzymałem jeszcze pozycję wyprostowaną, ale było tak, jakby moje ciało nie należało do mnie, i potem mogłem patrzeć na siebie leżącego w rowie, powalonego nieznaną wołą, silniejszą niż moja i bardziej okrutną.

Tego dnia rozpoczęła się moja prawdziwa historia. Wiele razy później usiłowałem odtworzyć w pamięci chłód poranka, światło śniegu, kontury wież w ciszy białej przestrzeni, bez wiatru i bez granic. Ale nic więcej nie udało ani się zatrzymać w pamięci.

Nie doszło do żadnej bitwy. Tak jak powiedział mój brat, hrabia Laszko upominał się – właściwie żebrał – o jedno imię. Imię, którego nikt nie znał – albo nie chciał rozpoznać. Z wielkiej łąki rzucał Laszko swój okrzyk – równie uparty, jak daremny: widmowy jeździec rozbijał rozpaczliwą furię o mury zamku Mohla i echo zwracało jego okrzyk jak wezwanie tajemniczego wojownika, na które nikt nie odpowiadał.

Jeszcze w długi czas potem, gdy Mohl przez moich braci upewniał go, że nikt na jego ziemiach nie zna tego, o kogo tak usilnie błaga, Laszko pozostał tam jak wryty w śnieg, pośród zamieci, która wstrząsała z wolna niebem i ziemią. Patetyczny i straszny zarazem Laszko czekał na cień jakichś kroków, może jakiegoś głosu, w zimowej zawierusze równiny.

Tak stracił jedyną nadarzącą mu się okazję spełnienia od tak dawna

żywionego w sobie marzenia: walki wręcz ze swym znenawidzonym i podziwianym przeciwnikiem. Ale to marzenie wydawało się już ze wszechmiar obojętne lub obce jego osobie. I długo jeszcze nad zamarzniętą rzeką, przez którą maszerowali żołnierze wracający za wydmy, było słycać jego rozdarty głos, mieszający z wiatrem jedno imię, tak zgłodniały i straszny jak samo wycie wilków.

Więcej nie pamiętam, gdyż spadłem z konia i z wolna pogrążałem się w jakiejś gorączce otoczonej ciemnością, gdzie słycać było tylko nieomylny galop trzech jeźdźców dobrze mi znanych, przybliżający się i oddalający nieustannie w moim obłądnie.

W końcu ze zwierzęcą radością (na którą radośnie odpowiedziałem) weszła w moją noc ludożerczym i powlokła mnie jeszcze raz w krwawy – choć płomiennie pożądany – potok swoich uroczuć.

## VI. UTRACENI BOGOWIE

Obudziłem się w błogim cieple wielkiego ognia, w komnacie czystej i zacisznej. Ściany były przykryte skórami i dywanami i ujrzałem wiele skrzyń z rzeźbionego drzewa o pięknych okuciach. Zamiast zwykłych wąskich szczelin były okna tak duże, jakich nigdy dotychczas nie widziałem, z zielonymi szybami ze szkła. Leżałem rozciągnięty na czymś miękkim, odwróciwszy głowę ze zdumieniem zobaczyłem pewne dobrze mi znane czarne futro w niebiesko-srebrne żyłki. Zamknąłem oczy i zapragnąłem powrócić do nie istniejącego świata, gdzie oddaliłbym się w nicłość i w końcu w niej pogrążył. Nie miałem odwagi spojrzeć na mego pana ani pozostać w jego obecności, gdy zrozumiałem, że znajduję się w drugiej połowie alkowy, do której zwykła porywać mnie ludożerczymi. Była to więc komnata samego Barona i w niej się znajdowałem, nie mogąc się otrząsnąć z osłupienia.

Gdy wreszcie odważyłem się otworzyć oczy, dostrzegłem w drugim końcu alkowy olbrzymie łoże, okryte baldachimem i firankami haftowanymi w ptaki niebieskie i zielone, osobliwej piękności. Wtedy usłyszałem stłumiony śmiech, niemal szept, i unosząc się do połowy ciała zdołałem dostrzec siedzących na podłodze dwóch Chłopców bardzo młodych i dziewczynkę o włosach niemal tak jasnych jak i moje. Nigdy nie widziałem ani w zamku, ani poza nim istot tak pięknych ani tak dziwnie, choć zbytkownie, przystrojonych we wstążki i kwiaty, stanowiące właściwie całe przykrycie ich ciała, do tłumaczyło płonący tam ogromny ogień. Toteż zaczynałem myśleć, że padłem ofiarą halucynacji lub czaru: zupełnie jak w historii, którą opowiadał kiedyś w zimowe wieczory jakiś półgłówek – tak go Wtedy nieopatrznie osądziłem, nie za bardzo mu wierząc.

Jeden z chłopców podszedł do mnie i nachylił twarz nad moją, tak że zobaczyłem jego skórę bardzo białą – niemal świetlistą i śnieżną w porównaniu z intensywną czernią jedwabistych loków. Za to oczy miał tak niebieskie jak moje.

– Kto ty jesteś? – wybełkotałem zmieszany, odsuwając go dość szorstko.

Zachwiał się od tak gwałtownego odepchnięcia i omal nie upadł na mnie, tak że jego kędziory musnęły moje czoło. Zamiast mi odpowiedzieć rozeźmieli się znowu wszyscy troje: równie cicho i miękko jak przedtem. Potem z uroczystą powagą i uprzejmością chłopiec przybliżył do moich ust czarkę i dał mi się napić jakiegoś chłodnego trunku, co kazało mi uświadomić sobie całe pragnienie wysuszające moje podniebienie i gardło.

Podczas gdy piłem chciwie, szepnął tym samym tonem, cichym i lekkim, że nie powinienem się podnosić ani ruszać, bo tak przykazał medyk. Posłuchałem ulegle i znów opadłem głową na poduszki.

Wtedy owładnęło mną całkowite uczucie wielkiego i błogiego odprężenia i spokoju. Spokoju i odprężenia, których prawdę mówiąc od bardzo dawna nie doświadczałem – a może nie znałem nigdy.

Niespodziewane pociągnięcie za nogi i ręce, bynajmniej nie łagodne, przywróciło mnie nagle do świata pospolitego i znanego: nade mną stał fizyk. Szorstkim gestem uniósł moją głowę i zajrzał mi w zęby, potem podsunął mi pod nos flaszkę, z której wystawało kilka maleńkich gałązek. Ukrył ją z powrotem w fałdach tuniki i poinformował mnie, że już jestem wyleczony.

– Wyleczony? – szepnąłem, jakby wydobyty ze studni oszołomienia.

I zaczynając potrząsać mną na nowo, starzec wytłumaczył mi że nie mam się czego obawiać, że padłem tylko ofiarą „małej śmierci”, co się podobno bardzo często zdarzało chłopcom w moim wieku.

– Jesteś twardy i silny jak koń, ale za wysoki – powiedział z surową wymówką. – Staraj się nie rosnąć tak szybko!

Oschle oznajmił mi, że powinienem powrócić do swoich normalnych zajęć. Stwierdziłem, że znajduję się znowu na podłodze pokrytej matą trzciniową, która dotychczas wydawała mi się wygodna. Wokół mnie budzili się inni giermkowie: wdziewali szaty i buty, spoglądając na mnie drwiąco. Znosiłem w milczeniu te kpiny, lecz nie mogłem uświadomić sobie ich sensu. I pomyślałem, że ta czysta i przytulna komnata i przebywający w niej młodzieńcy (i może wszystko, co przeżyłem wśród śniegu u boku mego parna: bitwa, której nie było, i rozdierający okrzyk hrabiego Laszko nad zamarznąłą rzeką) były to tylko widziadła koszmaru albo zaklęcia. „Jakaś choroba – powiedziałem sobie – weszła do mego ciała i wyszła”. W końcu powinienem być rad, że tak łatwo się z tego wykaraskałem. Lecz niepokoiła mnie pewna myśl: „mała śmierć”, medytowałem, „mała śmierć”. I mimo wysiłków, nie mogłem znaleźć jakiegokolwiek znaczenia w tych słowach ani odgadnąć, jakiego rodzaju zły sen czy zaklęcie w sobie kryły.

Nikt nie zwrócił uwagi na moją chorobę, urok czy omdlenie: uważano ją za zło przejściowe, czasem tylko jakaś ironiczna aluzja przypominała mi o tym zdarzeniu. Moje życie sługi i giermka płynęło dalej, takie samo jak przedtem. Ani mój pan, ani jego małżonka nie dawali niczym poznać, że zauważyli moje zuchwalstwa czy moje burzliwe noce. A jednak głęboka zmiana dokonała się we mnie lub raczej było tak, jakbym odzyskał czy odnalazł siebie samego. I mimo wielkich wysiłków pamięci, nie mogłem pojąć, jakiego rodzaju ponowne spotkanie czy odnalezienie dokonało się w moim duchu. I często w jakimś ciemnym kącie czy samotnym miejscu odnajdywałem cień moich braci, choć właściwie spotykałem ich tylko w obecności innych osób bądź widziałem z daleka cwałujących po śniegu.

Pewnego wieczora poszedłem na partię kości z żołnierzami. Jeden z

nich, w podeszłym wieku i z posiwiałą brodą, walczył wraz z moim panem w wielu bitwach. On i były żołnierz Laszka częściej niż inni używali języka niedomówień i niejasnych aluzji, których ja nie chwycyłem. A jednak pod ukrytą drwiną, jaka przebijała z jego słów, wydało mi się, że w oczach tego człowieka z białą brodą żyje ogromny smutek.

Tej nocy, wiedziony jakimś dziwnym przeczuciem, zapytałem go (niemal szeptem, tak by nie słyszeli inni) w chwili, kiedy rzucałem kości:

– Powiedz mi, kim są ci chłopcy ukryci w komnacie mego pana?

Podniósł oczy i zobaczyłem w nich iskrę zdziwienia. Wytrzymałem jednak to spojrzenie (z całym spokojem wyuczonym na lekcjach mojej pani i tak przykładowie zachowywanym zawsze przez mego pana), toteż lęk w jego oczach ustąpił miejsca starej i dobrze mi znanej ironii: tej, która mieszka przyczajona między pomarszczonymi powiekami każdego wieśniaka. Śmiejąc się cicho, odpowiedział:

– Młody giermku, czyżbyś przypadkiem był niewinnym chłopcem? Nie przypuszczam!

I z tych ostrożnych i lakonicznych słów poznałem, że wreszcie rozdarła się zasłona i że odtąd ich język nie będzie już niejasny i niezrozumiały dla mnie. Toteż odpowiedziałem, jak potrafiłem najlepiej, na jego uśmiech i nie zapytałem o nic więcej.

Noc po nocy, partia kości po partii, znikał w moim umyśle cień wszystkiego, co mi się wydawało tajemnicze i nie do pojęcia. Zrozumiałem, że zaiste do tej pory byłem tylko chłopakiem naiwnym, dzikim, pozbawionym wszelkiej zdolności rozumienia języka ludzkiego. Dzień po dniu działo się wiele rzeczy wokół mnie i przede mną i nie uchwyciły ich moje oczy ani moje uszy i nie przyjął do wiadomości mój umysł. I słowa jasno wymawiane w mojej obecności do tego czasu nie przybierały żadnego sensu, gdy tymczasem wszyscy młodzi giermkowie na zamku, rycerze i damy, i żołnierze (i nawet ostatni ze sług) wiedzieli



od dawna i uważali za ogólnie znane rzeczy, których ja nawet nie podejrzewałem.

Od tej chwili, kiedy nastąpiło tak niezwykle przebudzenie całej mojej istoty, często chodziłem grać w kości. Bo choć nic już nowego nie miały mi odkryć, polubiłem tę grę, nauczyłem się nawet oceniać gorzkie piwo, nieokrzesany język, a nawet doszedłem do uczestnictwa w żartach (które już mi się nie wydawały nieprzeniknione, tylko ordynarne i trochę nudne).

I tak pewnego dnia dowiedziałem się, że przybrany syn Laszka opuścił swego opiekuna, aby – według pogłosek – przyłączyć się do bandy rozbójników grasujących po drogach. W mroźne wieczory przy żołnierskim ognisku włóczęgi i podróżni opowiadali strażnikom, że stary hrabia wpadł w depresję ślepą i ogłupiającą, że porzuca swoją twierdzę i pijatyki po to, by wychodzić na śnieg, mróz i wiatr w poszukiwaniu tak niewdzięcznego stworzenia. Imię tego złego chłopaka krążyło po stepach i wydmach pomieszane z wyciem wilków.

Zima dobiegała końca i tylko w niektóre popołudnia wracała furia wiatrów. Ale niejednej nocy w czasie mego potajemnego bratania się z pospolitym żołdactwem wygrywając lub przegrywając to jakiś pierścień, to uprząż, słyszałem skrzypnięcie drzwi, dotychczas sekretnych (czy tylko je sobie wyobrażałem jako sekretne) i lekkie kroki przebiegały pod ścianami. Stary żołnierz z siwą brodą przymrużał złośliwie oko. On czy jakikolwiek inny, bo nie było już nieufności między żołnierzami i mną. Młodzi chłopcy i nieletnie dziewczynki wchodziły i wychodziły do wieży ukradkiem, po cichutku: pożądlive i perwersyjne kocięta, królowie nocy i jakże kruchej szczęśliwości! Potem słyszałem tętent kopyt oddalających się w stronę murów.

– Czasem umierają – powiedział pijany eks-żołnierz Laszka.

Ale nikt prócz mnie nie zdawał się słuchać jego słów. Wiatr ludożerców nie był już tajemnicą dla nikogo.

Dzień po dniu słońce rozweselało niebo nad nami i podjęto na nowo igrzyska rycerskie.

Zaczynała rosnąć sława mojej siły i zręczności w takich zapasach. Wielu z nas, giermków, miało już wkrótce osiągnąć wiek i zasługi wystarczające, by dostąpić szczytu pasowania na rycerzy, toteż współzawodnictwo stawało się coraz trudniejsze i coraz bardziej zacietrzewione.

Podczas tych ćwiczeń – które mój pan obserwował z wielką uwagą – spotkałem się z pewnymi objawami dobrej woli z jego strony. Chociaż nigdy nie zwracał się do mnie wprost – poza wydawanymi rozkazami – zauważyłem, że pewien aspekt mojej osoby wzbudził jego przychyłność i zainteresowanie, chociaż nie mogłem zgłębić, jaki: nie wiedziałem bowiem, czy ceni moją zręczność i siłę, czy po prostu moją obecność. Czy też, przeciwnie, podoba mu się moja jeszcze bardzo prymitywna matura, przez swoją szorstkość i brak wyrafinowania?

Tak czy owak, z tej czy innej przyczyny – a dociec jej w człowieku tak opanowanym i chłodnym nie było rzeczą łatwą – ta dobra wola pozwalała dostrzec (przynajmniej tak mi się zdawało) pewnie niewątpliwe upodobanie. Coraz częściej wymagał moich usług, a nawet wyróżniał mnie i wynosił ponad innych młodych giermków. Dlatego też, kiedy pierwszy raz zwrócił się do mnie w obecności swoich współbiesiadników, ogromne zdumienie przeszło przez salę, od pierwszego do ostatniego miejsca przy stole (gdzie jedli trzej moi bracia we wrogim milczeniu).

Chociaż na mnie nie patrzył – ani nawet nie odwrócił twarzy w moją stronę – nie ulegało wątpliwości, że do mnie skierowane były jego słowa. I nie wymówił ich po cichu, lecz dość głośno, by żaden z obecnych nie mógł ich nie usłyszeć. Podczas gdy mu nalewałem wino do kielicha, rzekł:

– Ten jasny włos i to spojrzenie zwracają nam dziedzictwo przeszłości: do najdalszych granic tej ziemi nie znajdzie się nikt, kto by włosy miał tak jasne ani oczy tak niebieskie i dzikie. Patrząc na tego chłopca czuję na

karku oddech utraconych bogów.

Tak niezwykle, zagadkowe słowa zostały mimo to od razu przeze mnie zrozumiane, lecz nie tak było, przypuszczam, z innymi, którzy je słyszeli. Ale że Mohl często wypowiadał tajemnicze zdania, a potem bez żadnego skojarzenia przechodził na inne tematy, zdziwienie wywołane tą uwagą łatwo uleciało z umysłów słuchaczy (z wyjątkiem moich trzech braci). Niewczesne drżenie zawładnęło jednak moją ręką i musiałem dokonać wielkiego wysiłku, żeby nie oblać winem człowieka, który wypowiedział tę sentencję.

Baron pogrążył się w niezwykle u niego milczeniu i dodał w końcu – może po to, by moje uszy i rozum ściślej pojęły, że raczył zwrócić się do mojej niezbyt dostojnej osoby:

– Znam bardzo dobrze przyczynę, dla której, choć jeszcze tak młody, wzbudzasz już taką obawę. I przepowiadam, że będą się ciebie bać jeszcze o wiele więcej, że strach przed tobą będzie rósł aż do końca twoich dni. Nie jesteś piękny ani miły, ale twoja natura żyje poza tymi nietrwałymi przymiotami i może nawet okazać się dużo bardziej pociągająca niż piękność i miłe obejście.

Po tym pamiętnym – dla mnie przynajmniej – proroctwie mój pan przez długi czas nie dał żadnego dowodu dostrzegania mojej egzystencji.

Wreszcie nadszedł ostatni dzień zimy i wraz z piękną pogodą coraz większy rozmach przybierały igrzyska. Organizowano turnieje i coraz częstsze popisy kruszenia kopii. Czasami do zaszczyconia ich swą obecnością zapraszano damy, które przyglądały się widowisku z wielkim ożywieniem i satysfakcją, a najbardziej ze wszystkich moja pani. Nie pasowanym młodzieńcom nie wolno było uczestniczyć w turniejach, mogliśmy jednak z bliska towarzyszyć naszym rycerzom, nosić za nimi broń, a jeśli padali ranni, usuwać ich z pola bitwy jak najszybciej i najostrożniej.

Po jednym z tych spotkań zbrojnych (między rycerzami Mohla i ludźmi jednego z baronów okolicznych) podano obfity posiłek na świeżym powietrzu, gdyż po mroźnej zimie wiosna roztopiła cały swój przepych.

Baronowa przywołała mnie polecając, bym ukląkł obok niej i czekał na pewien jej rozkaz. Ale zamiast go wypowiedzieć, podała mi czarę, w której na powierzchni wody z miodem pływały płatki kwiatów. I rzekła:

– Kiedy nadejdzie ten dzień, chcę być obecna przy twojej pierwszej potyczce, ponieważ to ja kierowałam pierwszymi krokami twojej edukacji na zamku. Byłam twoją nauczycielką i dlatego też data ta powinna zapisać się w mojej pamięci.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Prawdę mówiąc, nie było nic niezwykłego w jej słowach, ale nie umiałem ocenić, w jakiej mierze ona sama świadoma była Ich podwójnego znaczenia. Jej brwi pozostały niezmaczenie wysoko sklepione, a jej zdziwione spojrzenie jak gdyby chroniło się w jakiejś głębokiej wewnętrznej zadumie. Wziętem czasem z jej rąk, ale nie ośmieliłem się skosztować napoju. Słodcy miodu budziła we mnie wstręt, a pływające płatki kwiatu wydały mi się nagle rojem maleńkich żyjątek – motyli czy świetlików niesprawiedliwie zatopionych – naprawdę obrzydliwych. Bałem się więc spojrzeć w jej oczy: od dawna znałem te żółte źrenice, intensywne i udręczone. Nagle jej palce twarde i długie uniosły w górę mój podbródek i oczy bezlitośnie zawładnęły moimi, nie pozwalając mi spojrzeć w inną stronę ani uciec czy poszukać jakiegokolwiek schronienia.

– Prawda to – szepnęła cicho i powoli – że jak już powiedział mój pan, nie grzeszysz urodą. Ale słyszałam też, że tam, skąd przychodzisz czy dokąd dążysz, widać z bliska cień utraconych bogów.

Zamilkła i w tym momencie milczenia zaczynałem wierzyć, że jej oczy zapalą moje oczy. Wreszcie dodała:

– Ale bogowie umarli. Albo może ja o nich zapomniałam. Powiedz im, aby kiedyś do mnie powrócili...

Pełen zmieszania czułem, jak odradza się w moich żyłach uraza i bezbrzeżna rozpacz, które miałem już za pogrzebane. Smok strącał ze swego grzbietu rozżarzone popioły, podnosił łeb i zwracał mnie czasom, w których wydzieriałem psom kości rzucane im przez mego ojca. Patrzyłem chwilę na szyję Baronowej, długą i białą, podobną do szyi łabędzia. Poczułem smak krwi na języku i zapragnąłem pogrążyć mój sztylet w tej szyi, oderznąć ją tak, jak zrobiłem z młodym dzikiem o złocistej sierści, zwierzęciem świętym czy piekielnym. I potem nagle uświadomiłem sobie, że nienawidzę mego ojca, mego straconego dzieciństwa, a zarazem do nich tęskniłem aż do bólu.

Ale Baronowa niewątpliwie nie miała pojęcia o tej podwójnej naturze zarówno w niej, jak i we mnie samym. Zapragnąłem wtedy gwałtownie, żeby zagrały w niej ludożercze instynkty, tu, na tym miejscu, na trawie, w słońcu wojowników, wśród szczęku broni i galopu końskiego. Ona jednak odprawiła mnie gestem ręki.

I moja ludożerczyni nie przyszła do mnie ani tego dnia, ani w wiele dni później.

Minęła wiosna i kiedy lato miało się już ku schyłkowi, Baron zarządził wielkie polowanie. Rozkazał mi wówczas włączyć się do grona swoich giermków, chociaż było to wbrew obyczajom (nie tylko jego własnym, ale powszechnie przyjętym), gdyż stanowisko to zyskiwało się dopiero po jakichś wyjątkowych zasługach lub ze względu na szlachetność rodu.

Gdy przygotowywałem się do spełnienia jego rozkazów, nie umiałem rozróżnić, ku memu zdumieniu i niezadowoleniu, czy to, co brałem za widziadło na śniegu i co medyk określił nazwą „małej śmierci” (to

znaczy posąg barona Mohla z czarnego metalu sztywno wznoszący się na białym dziedzińcu), rzeczywiście było zjawą, czy też przeciwnie, działa się poza światem snów – chociaż nie należało do tej rzeczywistości, jaką znałem. Nie czułem więc zadowolenia ani dumy z powodu tego wyróżnienia, ze wszech miar niezwykłego, a nawet, jak wkrótce uznałem, niebezpiecznego.

Widząc te fawory ze strony Barona moi bracia poczuli się specjalnie znieważeni. Świadczył o tym wyraz ich oczu utkwionych we mnie, kiedy ujrzeni mnie niosącego jego oszczep. I okazałoby swoją nienawiść i zawód w formie znacznie bardziej przekonywującej, gdyby nie obecność ludzi Barona i jego samego.

Wtedy ukazała się na szczycie pagórka moja pani na swoim białym rumaku. Warkocze miała upięte wokół głowy w kształt złotego diademu, a jej oczy wyrażały swoją specyficzną i zdziwioną pogardę. Trzymała na pięści sokola i miała na sobie płaszcz, który w świetle poranka wydawał się srebrny. Towarzyszyła jej młodsza z siostrzenic: ta, którą darzyłem skromną i daremną miłością, i w tej chwili stwierdziłem, iż uczucie to – jeśli kiedyś istniało – znikło całkowicie. Przy chłodnym, delikatnym i olśniewająco białym obliczu mojej pani hoża i młoda twarz dziewczyny wyglądała jak pierożek. Przeciwnie, cała moja istota płonęła, gdy patrzyłem – i odtwarzałem we wspomnieniach – na moją umiłowaną ludożerczynię.

Baron zmarszczył brwi i zapytał:

– Po co ten sokół, pani? Nie widzę dla niego miejsca w dzisiejszym polowaniu.

Uśmiechnęła się z zamkniętymi wargami, ale głęboka powaga była w jej oczach, gdy odpowiedziała:

– Ten sokół, mój panie, ma swoje miejsce na mojej pięści.

Jej głos pośród mgły porannej wydawał się cienkim strumyczkiem

wody. Skłoniła głowę na znak czci w ukłonie, którego wdzięczna łagodność kontrastowała z jej słowami i postawą. Potem z impetem niezwykłym dla tak delikatnej osoby spięła swego konia ostrogami i odjechała.

Kiedy całe towarzystwo ruszyło i powietrze wypełniło się szczekaniem psów, głosami naganiaczy i wyciem rogu, który otwierał polowanie, uczułem gwałtowne pragnienie, by wejść na szczyt wieży strażniczej; stamtąd kiedyś rozległ się okrzyk alarmu, wstrząsając mną tak, że nie wiedziałem, czy należy do świata rzeczy niematerialnych, czy świata ludzi. Słońce wznosiło się już za blankami wieży i wydało mi się bardziej niż kiedykolwiek błyszczące. Przypomniałem sobie wtedy, że zbliża się czas winobrania, że wkrótce skończą piętnaście lat i według wszelkich danych zostaną pasowany na rycerza. Pierwszy raz myśl ta nie wzbudziła we mnie radości, zwykłej niecierpliwości oczekiwania. Dręczony jakimś niepokojem bodłem ostrogami konia, jadąc za moim panem, tak jak mi rozkazał, i wtedy niemal fizycznie odczułem wbijającą się w mój kark nienawiść jego giermków. Nie mam wątpliwości, że w ciągu tego dnia liczba moich wrogów na zamku znacznie się powiększyła.

Cienie trzech jeźdźców, nazbyt dobrze mi znane, zdawały się kąsać zad mego konia. I więcej jeszcze: wydawało mi się, że widzę te cienie podnoszące się z ziemi i zataczające nade mną złowróżbny lot: uczułem ich ciężar, słyszałem chrzęst metalowych skrzydeł, jakby zrobione były z substancji bardziej gęstej i śmiertcionośnej niż stal miecza. Baron zwrócił głowę w moją stronę: – Nie lekceważę przepowiedni bogów, moich bogów i twoich – rzekł – ale musisz wiedzieć, że bynajmniej nie cenię daru płodności i chociaż żaden człowiek szlachetnie urodzony, prostak czy nędzny żebrak i włóczęga nie zrozumie tych słów, pewne jest, że nie pragnę potomka i nie pragnąłem go nigdy. Tego dnia, w którym umrę, wybiorę swego dziedzica według mego upodobania i wszystkie dobra, jakimi dysponuję, przekażę temu, kogo uznam za najbardziej ich godnego,

wolny od bolesnego wyboru między moimi uczuciami ojca i możliwą – a może prawdopodobną – głupotą moich synów.

Jak łatwo zrozumieć, na tak nieoczekiwane wyznanie mego pana (tak intymne i dziwne) żadna opinia ani uwaga nie wyszły z moich ust. Nawet gdybym znalazł coś do powiedzenia (a nie znalazłem), nie powiedziałbym tego głośno: nie byłem już tak naiwny ani tak śmiały, jak w dniu, kiedy ujrzałem ową (rzekomą czy prawdziwą) zjawę na śniegu.

Na polowaniu nie zdarzyło się nic szczególnego ani godnego uwagi. Po zmanifestowaniu – choć w tak subtelnej formie – swego braku skrupułów co do zabijania dzików, mój pan stracił zainteresowanie dla całej imprezy. A gdy on stracił dla czegoś zainteresowanie, wszyscy, którzy szli za nim albo mu towarzyszyli, tracili je również.

Słońce zachodziło już za łąki, kiedy Mohl wyraził chęć króciutkiego wypoczynku w cieniu brzoź nad rzeką. Kawalkada zatrzymała się, a choć paziowie i słudzy śpieszyli z ustawieniem małego namiotu i przygotowaniem napojów chłodzących (które w tym celu zabierano ze sobą przy takich okazjach), Mohl oddalił się, najwidoczniej zapominając o wszystkim, co go otaczało.

Widzieliśmy go jak zeskoczył z konia pod drzewami, a potem usiał na kamieniu przybrzeżnym jak pospolity wieśniak. Ruszyłem za nim szanując wszakże jego wyraźne życzenie samotności, gdyż polecił mi nie oddalać się za bardzo.

Znowu zauważyłem za moimi plecami wydłużone cienie moich braci. W tej samej chwili Baron podniósł prawe ramię i gestem kazał mi, bym się zbliżył. Natychmiast gdy ujrzałem w powietrzu rysującą się jego czarną rękawicę, chwycił mnie dziwny strach. Jak gdyby to, czego ode mnie żądał, było znakiem czy zapowiedzią czegoś bardziej jeszcze tajemniczego niż sama śmierć.

Oszołomiony i niespokojny usłuchałem jego rozkazu, by mu przynieść



coś do picia, i gdy wyciągałem do niego czarękę, pierwszy raz spojrział mi prosto w oczy. Z najwyższym zdumieniem stwierdziłem wtedy, że w cieniu jego powiek błyszczą jasne źrenice, tak szare i iskrzące jak blask wody w słońcu. „Jak to możliwe? – zapytałem sam siebie, czując wzrastającą twogę. – Zawsze myślałem, że nie ma na świecie oczu czarniejszych niż jego”.

Baron zwrócił spojrzenie w inną stronę i zamyślił się, zapatrzony w brzeżek swego pucharu.

– Patrz uważnie – powiedział.

– Na co? – wybełkotałem zmieszany.

– Na Wielką Rzekę: oto prawdziwa droga prowadząca do naszej ojczyzny, I wyznam ci, że nigdy nie wierzyłem, wbrew powszechnemu mniemaniu, że moja rasa pochodzi z tej ziemi. Nie, ja nie wyrosłem z tej jałowej i smutnej niziny i nie chcę, żeby w niej spoczęły moje kości. Każę moim spadkobiercom wrzucić moje zwłoki do wody, w stronie tej wielkiej łąki, która często pojawia się w moich snach, tam, gdzie przylatuje pić mewa.

Podniósł do ust puchar i zabłyszczały jego wargi zabarwione winem.

– Jak słyszałem od tych, którzy wiedzą te rzeczy – dodał – nurtem tej rzeki przybyli na tę ziemię nasi bogowie i wszyscy byli tak jasnowłosi i tak dzicy jak ty.

Nie mogłem dłużej panować nad językiem i usłyszałem własny głos, pytający gwałtownie:

– Skąd oni przybyli, panie? Kiedy żeglowali po tej rzece?

(Bo ją też znałem wielką łąkę i słyszałem jej krzyki w słonym wietrze).

W tej samej chwili uświadomiłem sobie swoje zuchwalstwo i tym razem nie była to wizja ani skutek dziwnej choroby zwanej „małą śmiercią”. Baron jednak nie uznał mego pytania za impertynenckie, przeciwnie, zdawało mu się miłe. Ze smutkiem, jakiego nigdy nie

słyszałem w jego głosie, szepnął:

– Nie wiem tego, mój synu.

I zanim zdołał unicestwić mnie tak niezwykłą rozmową, ciągnął dalej:

– Mogę tylko powiedzieć, że pamiętam bardzo dobrze, zachowany w najgłębszych pokładach mej pamięci, obraz błędzającego plemienia, które żegluje bez ustanku... Plemię nienasycone, straszliwe i głęboko nieszczęśliwe.

Po tych słowach wiatr, który dobrze znałem i który przycichł na chwilę, powrócił do mnie: nie drgnęła ani jedna gałązka, ani jedno źdźbło trawy. Był to znowu wiatr mego dzieciństwa, schwytamy, czyhający. Naparł na mnie i otoczył, tak że słyszałem trzeszczenie wszystkich moich kości, bo wiedziałem, że jestem jego więźniem od czasu pewnego zagubionego winobrania, kiedy tysiącem bezlitosnych płomieni płonęło drzewo ludzkie. Z rozpaczą spojrzałem w stronę rzeki i zobaczyłem płynącego z prądem olbrzymiego smoka z podniesionym łbem i złotymi oczyma, w których błyszczało jeszcze ostatnie spojrzenie, jakie uniosłem z domu mego ojca. Na jego grzbiecie jeżyło się sto włóczyń w rękach stu wojowników, tak wysokich i jasnowłosych jak ja. I wydawali ten sam okrzyk, który ja nosiłem w moich trzewiach. Dowiedziałem się Wtedy, że był to długi, daleki i potężny krzyk wojenny: znałem go i rzucałem w powietrze od dawna, od czasu tylu ludzi, którzy żyli przede mną.

Baron spytał, na co patrzę z takim natężeniem, i trzy razy musiał powtórzyć pytanie, zanim odkryłem utajone w jego głosie – choć nie chce się w to wierzyć – drżenie słabego lęku.

– Widzę smoka, panie – odpowiedziałem. – Słyszałem własny głos, choć nie mogłem rozewrzeć warg.

– Zabij go – krzyknął Mohl z całą furią, przyczajoną pod jego skórą, furią, która kazała mu wtrącać od czasu do czasu bez powodu ani widocznego związku, w trakcie najbanalniejszej rozmowy, opowieści

okrutne i krwawe.

Potem, niemal bez fazy przejściowej, jego głos zmienił się, stracił wszelkie odcienie słabości, lęku czy furii. Wstał z ziemi, wyciągnął miecz z pochwy i wręczając mi go wybuchnął nagle szorstkim, brutalnym śmiechem (który zawsze tak przerażał tych, co go słyszeli). Zauważyłem, jak śmiech ten sparaliżował cienie moich braci za naszymi plecami. I to było najdziwniejsze spośród tak niezwykłych zdarzeń, gdyż podając mi broń dodał z tą samą dziką radością, która zdawała się groźniejsza niż jego gniew:

– Idź, biegnij i zabij smoka!

Miałem wrażenie, że z mej istoty wydobywa się jakieś nowe ja; ujrzałem samego siebie chwytającego oburącz ten miecz, niby świętość, i biegnącego ku Wielkiej Rzece. Wszedłem do wody, wymachując ciężkim brzeszczotem, tak że czułem nad moją głową jasność rozdzierającej niebo błyskawicy i białe trzaśnięcie jej bicza.

Kiedy woda doszła mi do pasa ze swą żarłoczną chęcią, by zatopić mnie i powlec za sobą, smok już odpłynął, bo wszystko to działo się w jakimś czasie bardzo oddalonym od mego życia.

Walczyłem przeciw prądowi, otępiały i udręczony świadomością nieodwracalnej porażki. W końcu dotarłem do brzegu i ociekający wodą, upokorzony, wróciłem do mego pana.

Baron, jego rycerze i giermkowie, jak również towarzysząca mu świta śmiali się hałaśliwie. Zrozumiałem, że wszyscy szydzą ze mnie.

Wszyscy, z wyjątkiem moich braci, których cienie zdawały się częścią tej samej ziemi, po której stąpali. Na szczycie pagórka moja pani także się nie śmiała. Biała i wyprostowana na swoim koniu, z sokołem na wzniesionej zaciśniętej pięści.

Popołudnie chyliło się już ku zmierzchowi, gdy całe towarzystwo wyruszyło z powrotem. Konie szły brzegiem rzeki i pośród drzew przeciągłe echo (czy jakaś niespokojna i smutna wróżba) powtarzało nawoływania rogów myśliwskich.

W tej części rzeki znajdowało się głębokie rozlewisko, w którym napływająca woda tworzyła wiry. W ciemnozielonej tafli wirowały obłądnie odłamane gałęzie i nieszczęsne, wciągnięte w topiel zwierzęta: wiewiórki i bobry, zmarłe gwałtowną śmiercią. Ludzie mówili, że to niebezpieczne miejsce, gdzie w tajemniczy sposób giną zwierzęta, a na wilgotnych brzegach tańczą elfy święcąc pełnię księżyca.

Przybywszy do tego miejsca Hal, koń mego pana, zatrzymał się nagle, drżący, z oczyma wylazłymi z orbit i grzywą zjeżoną niewyczuwalnym wiatrem. Zawły straszliwie wszystkie psy ze sfory. Któryś z nich zerwał się ze smyczy i popędził obłądnie w stronę rzeki. Wtedy w złocistym jesszcze i pięknym świetle przedwieczornym ukazał się sokół mojej pani. Leciał zataczając powolne kręgi nad wierzchowcem mego pana i nagle, jak zaczarowana strzała, rzucił się na niego z oczyma rozplamionymi furią i dziobem gotowym do ataku. Jego okrągłe źrenice wyglądały jak dwa małe słońca, rozżarzone nienawiścią, która, jak można było odgadnąć, przez długi czas dojrzewała. Ręka w czarnej rękawiczce podniosła się, chroniąc twarz Barona, w chwili gdy strzała jednego z giermków przeszła ptaka na wylot. Sokół upadł głucho na grzbiet koński i opryskał czerwienią twarz Mohla.

Wtedy po raz ostatni ujrzałem moją panią, moją ludożerczynię. Tę, którą kochałem, nie wiedząc o tym, ponad wszystko. Wirowała w przeklętej topieli i jej złocista głowa wykwitwała ze zmaczonej piany jak okrągły słonecznik. Płaszcz opadł z niej i unosił się na wodzie jak smuga za dryfującym okrętem, jej włosy, rozplecione w ucieczce, wołały o pomstę za pokalaną niewinność, rozbrzmiewając krzykiem spóźnionej

furii. Upadłem na kolana i w duchu, niezdolny wykrzesać z siebie myśli rozumniejszej (czy choćby bardziej bolesnej), powiedziałem sobie tylko, że moja pani niepotrzebnie tyle się natrudziła, by zapleść i tak pięknie ułożyć swoje włosy (bardziej lśniące niż lato i tak jak ono umierające), skoro w końcu zsunęły się z jej czoła i płynęły teraz za nią w tysiącnych złotych nitkach.

Trzej jeźdźcy skoczyli w wody niebezpiecznego stawu. I kiedy ją z nich wyciągnęli, zobaczyłem na czole mej umiłowanej fosforyzujący wieniec łez roślinnych, a wokół jej warg niebieskawy krąg soku morwy.

Mój pan uczcił jej pamięć uroczystym pogrzebem. I (choć na krótki czas) zachował żalobę, równie surową jak nieskazitelną.

## VII. WIATR

Wraz z odejściem mej pani gwałtowność mojej natury zaczęła się przejawiać na wszystkie sposoby. Czasem czułem ją wybuchającą w trzewiach i rozlewającą się jak rzeka, kiedy indziej widziałem ją opadającą niby trafiony ptak, prawie zawsze jednak rozdzielała się na tysiączne cząsteczki, by rozproszyć się jak deszcz lub wiatr. Kości do gry zaczęły pociągać mnie bardziej niż ćwiczenia z bronią i w towarzystwie żołdaków – nie rycerzy czy giermków szlacheckiego rodu – spędzałem cały czas wolny od zajęć. W końcu stało się to obsesją i potrafiłem skupić wszystkie myśli na rzeczach tak szczególnych jak określona cyfra. I jeśli myślałem o niej intensywnie rzucając kostkę, cyfra odpowiadała na wezwanie i wygrywałem partię.

Wkrótce zyskałem sobie sławę niebezpiecznego gracza i coraz trudniej było mi znaleźć towarzysza czy współzawodnika w hazardzie. Rzadko znajdował się ktoś, kto chciałby popróbować szczęścia ze mną, i tak odpadła nawet ta kompania, którą, choć niskiego stanu, przedkładałem nad inną. Z wolna, stopniowo umysł mój skupiał się sam na sobie i często czułem się jak ślimak zrośnięty ze skorupą, od której chciałby się uwolnić, a zarazem boi się tego: jak gdyby wiedział, że w tej próbie musiałyby stracić życie (życie, które, prawdę mówiąc, było jeszcze ode mnie bardzo dalekie). W takich momentach czułem obecność i bliskość miękkiego, uległego obłądu. A gdy się przeciw niemu buntowałem i bunt ratował mnie przed jego siłami, ukazywał się moim oczom ten galopujący żrebak, któremu zabito pierwszego jeźdźca i którego imię było Smutek.

Czasem z jakiegoś błętego powodu chwytała mnie furia i wtedy słyszałem głos, który wołał z dalekich źródeł ostrzegając, bym jej nie marnotrawił. Albowiem z tego, co mogłem dosłyszeć, ta furia i gniew

były kluczem, którym pewnego dnia miałem otworzyć ostatnie drzwi umożliwiające ucieczkę od nędzy człowieczej. W takich momentach odkrywałem, z rozdrażnieniem i niepokojem, prawdziwy obraz świata, w jakim się znajduję. I z bólem fizycznym (jakiego żadna broń nie wyrwałaby z mego ciała) patrzyłem na ten świat i widziałem, że leży gotów do obrony i ataku. Z każdego kamienia, wzgórka, równiny czy doliny, czy osiedla ludzkiego wyrastały mury obronne: kamienie, ostrokoły, szubienice, fosy pełne gadów, włóczni, ognia: świat przeciw światu bronił się i atakował daremnie jakąś grozą ogromną i powszechną, zasiewając tu i ówdzie czarne ziarno śmierci. I bardziej niż lękać się tej śmierci zacząłem jej nienawidzić. Nieraz budziłem się pewien, że walczę z nią beznadziejnie i mogę upewnić, że nie było nigdy i nie będzie przebudzenia mniej chwalebego. Śmierć następowała mi na pięty przez cały dzień (jak cień trzech jeźdźców, którzy zwali się moimi braćmi). Rzuciła swój żółty uśmiech na moje niezręczne trudy, drwiła z kości do gry, z wina, z mieczów. I nawet z moich nadziei lub moich zmartwiałych już złudzeń uzyskania pewnego dnia godności rycerza. Potem, gdy uśmiech śmierci się oddalał, znów zdawało mi się, że widzę sylwetkę moich braci, rysującą się na tle murów lub cwałującą brzegiem rzeki.

A jednak nie stchórzyłem ani uchyliłem się od walki. Wiele dokonałem ataków, a nawet krwawych czynów. Ponieważ jednak nie byłem jeszcze pasowany, tych rzeczy dokonywało się w ścisłej tajemnicy. Przy pewnej okazji, po to tylko, by go zaczepić, skradłem miecz śpiącemu giermkowi. A potem siedłem rozstrzygać te spory nad Wielką Rzekę w godzinie południowej, kiedy świat zdawał się drzemać. Ale dwa razy w takich okazjach zobaczyłem czerniejące na ziemi cienie brzóz, a kiedy indziej cień mego własnego ciała pod stopami i ten widok przypomniiał mi dobrze znaną walkę czy nieczyste współzycie – nie mogłem tego Wyjaśnić – światła i cienia, wy białej i czarnej.

Wtedy rzuciłem broń i uciekłem jak najędzniejszy z tchórzy. Lecz nie było słabością to, co mnie opanowało, ani tchórzostwem, lecz przeciwnie, oslepiającą pewnością, że w całej mojej istocie schroniła się wielka ukryta siła, która, wróżąc wiatr posępny i słony, jednocześnie wypełniała mnie światłem i przynosiła nadzieję, bo wyczuwałem wtedy, że – dobrze skierowana – siła ta pewnego dnia pomoże mi przeżyć klęski i przetrwać, na przekór całej krwi i rozpaczycy otaczającej moją egzystencję. Potem dziwiłem się samemu sobie: moim rękóm, nogóm, a nawet memu własnemu ciężarowi na ziemi. Dlatego też w końcu – i jakby biorąc odwet za tyle rozterek i koszmarnych snów – okazywałem się chępliwy, zaczepny i hardy, a zarazem, w niektóre dni, spłoszony i jakby wyobcowany. Nic dziwnego więc, że w końcu przy tym wszystkim zaczęto mnie uważać za istotę dziwną, a nawet niebezpieczną (którą, ściśle mówiąc, byłem).

Nikomu dotychczas nigdy nie mogłem wytłumaczyć, że od dnia tragicznego polowania wiele razy widziałem w rzece stu ludzi z setką włóczy na grzbiecie smoka. Wszyscy byli wojownikami, tak jasnowłosi, dzicy i nieszczęśliwi jak ja. I nie mogłem sobie wyjaśnić, dlaczego patrząc na nich wiedziałem, że działo się to już przedtem w innym czasie – wcześniejszym lub późniejszym. Ani dlaczego znajdowałem się w samym środku tak wielkiej i niepokonanej samotności. Samotności ze wszech miar niepospolitej, zważywszy, że żyłem pośród tak różnorodnej kompanii, w fortecy, gdzie rojno i gwarno było od ludzi. Niekiedy trzy białe brzozy patrzyły na mnie i mogę upewnić, że nigdy ludzkie oblicze nie ukazało moim oczom większego smutku.

Smutku, który powtarzał się teraz we wszystkim: w geście żołnierza potrząsającego kośćmi w kubku, w ostrych słupach palisady, w kawalkadach i krzykach tych młodych giermków, którzy powinni być moimi przyjaciółmi, a nie byli.



Była już jesień i dawno minął dzień, w którym skończyłem piętnaście lat, ale nic jeszcze nie mówił Baron o terminie – jeśli miał on kiedyś nadejść – mego pasowania na rycerza.

W ostatnich czasach coraz częściej wyjeżdżał na swe samotne wyprawy konne. Wracał późno, bardzo znużony i blady. Zamykał się w swojej komnacie, pośepny i milczący, i słyszałem – lub zdawało mi się, że słyszę – głos starego żołnierza, który mruczał: „Jedzie szukać świeżego mięsa...”

Wieczory towarzyskie, koncerty, lektury, tańce, jednym słowem, życie na zamku obumierało, bo nie było już mojej pani, aby im przewodniczyć i cieszyć się nimi.

Od śmierci Baronowej niemal wszystkie damy opuściły fortecę. Posiłki często odbywały się teraz w zupełnym milczeniu. Za to częstsze stały się libacje.

Pewnego ranka, gdy mój pan wyruszył na samotną przejażdżkę – dzień był chłodny i wiatr kłębił się nad wydmami – zwlekał z powrotem dłużej niż zwykle. Podczas jego nieobecności nieustannie drżały gałęzie brzoź i noc zdawała się drzeć, osaczona jakby krzykiem sów i czyhaniem wygłodniałych zwierząt. Wycie wilków podchodziło aż pod grody i gdy wieśniacy szli w stronę lasu lub wydm, zabierali z sobą noże i sznury, bo czarne stada błyszczących oczu i otwartych paszcz, gnanych zbliżającą się zimą na stepie, ciągnęły w stronę osiedli.

Po trzech dniach Baron wrócił przywożąc dziwną zdobycz. Przywiązany do jego konia, półżywy z wyczerpania, zimna i może głodu włókł się przy nim młody bandyta. Widziałem ich z muru zbliżających się i przechodzących przez zwodzony most.

Mój pan wjechał na zamkowy dziedziniec z taką arogancją i radością, iż żaden wojownik po wygraniu swej największej bitwy nie mógłby okazać większego triumfu. Wiatr rozwiewał jego kasztanowate włosy,

tu i ówdzie błyszczące już szronem siwizny. Jego postać prężyła się, niemal drżała dumą, ledwie hamowaną, od czoła aż po kopyta rumaka. I doznałem wrażenia, że wiatr zerwał się z jakąś nową furją, od dawna zachowywaną na tę okazję.

Na placu broni Mohl zdjął więzy swemu jeńcowi, rzucił go na ziemię i pognął swego konia do galopu. I rzecz dziwna w tak powściągliwym rycerzu, okrążył parę razy swoją dziwną zdobycz, zdając się w ten sposób – jak zwykli czynić nasi dawni wojownicy – oddawać cześć zmarłemu. A może czcił jakąś tajemną uroczystość, jemu samemu tylko znaną. Potem rozkazał, aby zakuto chłopca w łańcuchy i nie czyniąc mu krzywdy zaprowadzono do lochów.

Wieczorem przy stole okazał się bardziej rozmowny niż zwykle – taki, jakim widywaliśmy go dawniej – albo może nigdy.

Wreszcie, gdy rozpoczęły się libacje po wieczerzy, powiedział:

– Schwytałem bardzo niezwykle stworzenie.

Wszyscy pośpieszyli z komentarzami, ale Baron nie podał żadnych szczegółów więcej. Uczułem muskający mnie jak gdyby jakiś wilgotny oddech. Drgnąłem i natychmiast Mohl spojrział na mnie zaintrygowany.

– Podaj jeszcze wina – powiedział. – Musimy uczcić zdarzenie bardzo wielkiej wagi.

Ale choć wszyscy pili i wznosili toasty bez liku, nikt nie wiedział, co święcimy tak uroczysto i hojnie. Mówiło się o zbójcach grasujących w okolicy, o Ich napadach i zbrodniach, ich dzikiej zaciekłości. Potem zaczęto mówić o wilkach. Gawędy przeciągnęły się aż do świtu.

Dopiero gdy wszyscy lub prawie wszyscy byli już spici mój pan, dając dowód większej odporności i trzeźwości niż jego rycerze, odszedł do swojej sypialni.

Zebrałiśmy stoły, przysunęliśmy je do ściany i ułożyliśmy się do snu, spierając się jak zwykle o miejsce najbliższej ognia. Wiatr tłukł o mury; z

wielkiej paszczy komina buchnął dym i wypadł rój czerwonych iskier i czarnych węgielków. Długo musieliśmy je zadeptywać, żeby nie zajęły się suche maty trzcinowe i nie wywołały pożaru.

Następnego dnia, bez żadnych wyjaśnień i nic nie mówiąc na ten temat, Baron rozkazał, aby przyprowadzono młodego więźnia przed jego oblicze. Zazwyczaj zwoływano sądy celem ukarania czy uniewinnienia wszelkich przestępstw, choćby najbłahszych. Przy takich okazjach mój pan wymierzał sprawiedliwość, ale nigdy nie kierując się własną wolą czy kaprysem i pytając o zdanie innych ludzi, uprzednio w tym celu zwołanych i wybranych. Nie chodziło o to czy inne prawo, nie istniał na naszych ziemiach specjalny kodeks na ten użytek. Był to tylko obyczaj, ale korzeniami sięgający tak głęboko jak najstarsze drzewa lasu. Grupa złożona z mieszczan, księży, feudalnych panów i rycerzy wraz z moim panem obradowała, wyjaśniała sprawy i wreszcie osądzała przestępstwo i przestępcę. Od ich zdania zależała kara lub przebaczenie.

Tak było zawsze i oczekiwaliśmy, że będzie tak i tym razem, w wypadku młodzieńca, którego wszyscyśmy uważali za zbrojce. A jednak nie odbył się żaden sąd. Mohl rozkazał, by mu zdjęto łańcuchy i dano czystą (a nawet zbyt kowną) odzież. Nie dość na tym: kazał przygotować kąpiel z grzaną wodą z dodatkiem wonności – jaką zwykli przyjmować młodzi giermkowie w wigilię swej inwestytury – aby usunąć skorupę brudu i doprowadzić do czystości podobne stworzenie. Że zaś właściwie nikt nie miał pewności – bo Mohl nic na ten temat nie powiedział – że młodzieniec rzeczywiście był bandytą czy przestępcą jakiegokolwiek rodzaju (wnosiliśmy to tylko z jego wyglądu i sposobu przybycia do zamku), nikt nie mógł, czy nie umiał, zgłosić protestu w tej sprawie.

Mimo wszystko fakty te wywołały na zamku atmosferę jakiejś nieokreślonej złej wróżby. I atmosfera ta wzrastała, chociaż nie ośmielała się objawić czy wybuchnąć we właściwej formie.

Pewne jest w każdym razie, że od tego czasu opinia sprawiedliwości i pomiarkowania, jaką cieszył się Mohl, doznała poważnego uszczerbku. Prawdę mówiąc stał się nietolerancyjny i tyranizował ludzi, tłumione dotychczas okrucieństwo przejawiało się we wszystkich jego postępkach i nikt już nie śmiał wtrącać się do tego, że włóczęga czy zbójca (czy kto wie jaka dziwna istota kryła się w osobliwym jeńcu Barona) występował wszędzie wspaniale przyodziany i lśniący od klejnotów i że od tego czasu Mohl stale miał go u swego boku. Nie dzielił życia z giermkami ani nie sypiał w tej samej izbie co my, ani mu nie służył przy stole. Mój pan ograniczał się do prowadzenia go wszędzie z sobą, tak samo jak lubił eskortę psów, albo kazał mu trzymać na ręku swego ulubionego sokoła. Zaczęto szeptać, że chłopak sypia w nogach jego łoża, jak wierny pies czy niewolnik.

Na pierwszy rzut oka chłopcu można było dać dwanaście lub trzynaście lat – tak wdzięczne i delikatne były kształty jego ciała, że łagodnością i miękkością ruchów przypominał dziewczynę albo gazelę – i tak niezwykle był blask jego długich włosów, dziwnej złotoognistej barwy. Ale obserwując uważnie zarys jego szczęk, twardość smukłych palców, a przede wszystkim metaliczny błysk szarych oczu, można było podejrzewać – czy nawet odgadnąć – pod jego miłym i niewinnym wyglądem wiek znacznie starszy i więcej energii (jeśli nie brutalności), niż zdawał się posiadać. Jego sposób bycia i język były subtelne i wyrafinowane, podobne jak samego Mohla: toteż pierwsze podejrzenie, że jest złoczyńcą, włóczęgą czy bandytą, zaczęło się rozpraszać i znikać. Niemniej gdy kiedyś Baron dał mu, jakby do zabawy, ostry sztylet, oczy jego zapłonęły tak dziką radością i rzucił broń tak silnie i celnie w tarczę, przy której ćwiczyliśmy się my, giermkowie, że sam Mohl wyrwał mu sztylet z ręki i schował go z pewną nieufnością. Nie dał mu nigdy ponownej okazji popisania się – przynajmniej w naszej obecności – tak

zdumiewającą zręcznością i siłą. Toteż nawet gdy pierzchły podejrzenia co do zagadki jego rodu („przynajmniej – mówili szlachetni panowie – nie pochodzi z gminu, bo żaden z tych prostaków nie miałby tak poprawnego obejścia i wdzięku, nawet w chwilach najgorszej rozpusty”), nie ulega wątpliwości, że niepokój i troska krążyły zawsze wokół tego równie dziwnego, jak pociągającego stworzenia.

Muszę tu określić rolę, jaką odgrywał ten chłopiec na małym dworze Barona. Nie był ani paziem, ani sługą, ani giermkim. Nie był bynajmniej kuglarzem – myślę, że nienawidził pieśni i poezji i nie ukrywał tego zbyt starannie. Nie umiał też grać na żadnym instrumencie ani nawet czytać i nie mógł zapamiętać jakiegokolwiek historii, nawet najprostszej. Jedynym zadaniem, jakie mu powierzył mój pan – oprócz rozkazu chodzenia za swoją osobą jak jego cień – było nosić na pięści czy na ramieniu (raczej dla przyjemności niż z obowiązku) jego ulubionego sokoła.

Aż do dnia, kiedy związanego i wlezonego na postronku przywiózł na zamek tego młodzieńczyka, życie sentymentalne barona Mohla pozostawało w cieniu (tak dalece, że wydawało się martwe). A jego skłonność do młodych chłopców stanowiła coś w rodzaju sekretu, którego należało się domyślać. Niemniej, począwszy od dnia kiedy zjawił się ze swoim jeńcem i po przystrojeniu go w piękne szaty (równie zbyt kowne, jak przedtem były nędzne), nie okazywał już żadnego skrępowania ni rezerwy. Spoglądał na młodzieńca w sposób pozbawiony wszelkiego umiaru i najprostszej dyskrecji, tak że jego oczy przypominały dwa wygłodniałe czyhające wilki. I nieraz w zapale zdarzyło mu się położyć rękę na złotoognistej głowie chłopaka. Nie posunął się aż do pieszczoł i objawów czułości publicznie. Ale drzenie jego palców pozwalało domyślać się tych pragnień i nawet innych, znacznie gwałtowniejszych i znacznie mniej niewinnych.

Najlepszy sokół Barona, którego czasem nosił na ramieniu jego

więzień, był także faworytem mego pana. Tak dalece, że zamiast przebywać w ptaszarni, jak inne, spał obok jego wezgłowia. Ptak ten – o spojrzeniu aroganckim i nieco głupawym – przyozdobiony był i obwieszony klejnotami w sposób, który – dla mnie przynajmniej – zakrawał na pomieszanie zmysłów. I doprowadzając do szczytu tę ekscentryczność, Mohl kazał dla niego zrobić szczerozłoty naszyjnik, pośrodku którego świecił kamień rzucający niebieskie błyski, nadzwyczaj cenny. Czasami pośród licznej i różnorodnej kompanii barona Mohla w niejednym spojrzeniu widziałem błysk chciwości i rozdrażnienia. Ale pewne też, że wszelkie próby zrealizowania tych intencji, równie oczywistych jak tłumionych, dusił w zarodku okrzyk grozy, jaki pośród tych rozkosznych marzeń wywoływała sama myśl o dokonaniu tego czynu. Ofiara tak niebezpiecznych pokus prędzej ośmieliłaby się spoliczkować samego Barona (czego także nie miałem sposobności oglądać) niż dopuścić się podobnej profanacji ptaka. Od czasu przybycia na zamek (wśród upokorzeń, które później ustąpiły miejsca triumfom) chłopca o ognistych włosach, nikt nie ośmielił się nawet dotknąć niebezpiecznego ptaka. (Ptaka, który, nawiasem mówiąc, budził mordercze myśli i marzenia o torturach w ludziach najbardziej cichych i pokornego serca). Nic dziwnego więc, iż te niezbyt zbożne uczucia pod adresem sokoła, którego imię brzmiało „Kuhn”, znalazły przynajmniej ujście w czymś tak niewinnym jak nazwa „Ptaszysko” używana w rozmowach prywatnych. Jak wiedziałem od Ortwina, pokojowca Barona, pierwsze spojrzenie pana, gdy otworzył oczy na światło nowego dnia, padało na Kuhna czy Ptaszysko i wyrażało prawdziwe rozradowanie i nawet miłość.

Nie było dla mnie żadnym sekretem, że mój pan nie czynił różnic między jedną a drugą płcią pośród wybranej przez siebie młodzieży. Inaczej mówiąc było mu wszystko jedno, czy miał do czynienia z chłopcem, czy dziewczyną, byle byli piękni, łagodnego usposobienia i

obdarzeni wdziękiem. Nie mógłbym jednak zaręczyć, czy były zjawami, czy rzeczywistością te stworzenia, które widziałem kiedyś w jego sypialni – jeśli to była jego sypialnia i jeśli istotnie ją widziałem, pewne jest bowiem, że do tego pokoju nie wchodził nikt oprócz wiernego Ortwina. I jeśli z początku bardzo mnie zdziwiło, że nie dzielił alkowy ze swoją małżonką – i dlatego kazał ją przegrodzić, jak już powiedziałem, to jeszcze bardziej dziwiłoby mnie – gdybym był tak nieświadomy i naiwny jak w owym czasie – że komnata ta była tak zazdrośnie strzeżona przed ludźmi w zamku. Dziwne to było zaiste, biorąc pod uwagę, że większość panów feudalnych traktowała swe sypialnie nie tylko jako alkowy małżeńskie, lecz (ponieważ były zazwyczaj większe, bardziej przytulne i zbytownie urządzone niż inne komnaty) tam odbywały się zimowe rozrywki i tam spotykali się nie tylko członkowie jego rodziny, ale także rycerze, giermkowie i faworyzowani wasale. Dla nikogo nie było więc tajemnicą upodobanie mego pana do najmłodszych spośród młodzieży. Nawet ja sam nieraz słyszałem złośliwe przytyki na temat niewątpliwych faworów, jakie mi okazywał.

Ponieważ jednak byłem brzydki i obyczajów nader mało wyrafinowanych (myślę, że nawet prostackich), z trudem można było pogodzić mój wygląd z tym wszystkim, co tyle pożądaniami i satysfakcją budziło w moim panu. Toteż zbywałem pogardą takie napomknienia i nie zwracałem na nie uwagi.

Pomimo braku dyskrecji charakteryzującej stosunki mego pana z tajemniczym chłopcem – co do którego nikt nie był pewien, czy należy go nazywać więźniem, niewolnikiem czy luksusowym przedmiotem – jego zuchwałe, wolne od dyscypliny zachowanie z pewnością w głębi duszy przykre było Baronowi. Wbrew niewątpliwej czułości i namiętności dla niego po jakimś czasie, jakby zamiast tak mądrego rycerza i pana był najbardziej kapryśną i zmienną w nastrojach damą, zaczął zmieniać się

jego humor i usposobienie. Bądź aby pomścić namiętność, jaką budził w nim chłopak, bądź chcąc ukarać za to siebie czy jego, dość że coraz częściej zaczął traktować chłopaka okrutnie – przynajmniej w słowach – poniżając go i dręcząc bezlitośnie wobec innych, co wydawało mi się równie niedorzeczne, jak publiczne objawianie swej czułości. Tak więc już to uwiązywał go na łańcuchu – choćby złotym – i włókł w ten sposób za sobą, już to zmuszał do jedzenia na ziemi u swoich stóp, wymierzając mu jednocześnie lekkie – lecz bynajmniej nie chwalebne – kopniaki w miejsca najbardziej wrażliwe. Kiedy indziej nadawał mu którymi zwykł był określać swoje konie lub psy, i mówił to nim jak o martwym przedmiocie. Kiedyś przywiązał go łańcuchem do nogi stołu na cały czas trwania wieczerzy i libacji, jakie po niej nastąpiły.

Ale zaraz po tych tak niedorzecznych i niewłaściwych scenach odrzucał wszelką surowość, niemal bez żadnego stanu przejściowego. Jego głos łagodniał, przebijała z niego miłość w formie najbardziej osobliwej i okazywał to bez żadnego pomiarkowania ani nawet dumy. Tak że w końcu te chorobliwe uczucia u większości budziły zgorzienie, a dla niektórych stały się przedmiotem litości albo szyderstwa. Zwłaszcza kiedy po dziwacznych demonstracjach nienawiści lub miłości, jakich był przedmiotem, chłopak przestał zwracać wszelką uwagę zarówno na upokorzenia, jak i publiczne wylewy czułości. Najbezcześniejsza drwina z wolna zaczynała malować się w kształtnych rysach jego twarzy, tak chytrze przyobleczonyj w niewinność. Dzień po dniu stawał się bardziej cyniczny i zuchwały i w stosunku do tego człowieka (nadal budzącego tyle strachu i szacunku) pozwalał sobie na drwiące uśmieszki i bezczelne grymasy lub spojżenia pełne wzgardliwej pobłażliwości.

Zaczęto szemrać już bez skrupowania o zastraszających rozmiarach, jakie zaczyna przybierać ta ponura niewola mego pana.

I bardzo gorszył wszystkich fakt – obwieszczany już otwarcie –



że Baron zabierał swego młodego więźnia co noc do najdalszego z najbardziej utajonych zakamarków swych marzeń. Nie dlatego, żeby była to dla niego rzecz nowa czy niezwykła, lecz dlatego, że w ogóle nie starał się z tym ukrywać.

Ziemię ścięły już pierwsze lody, gdy pewnego ranka Baron obudził się wśród wstrząsów jakiegoś straszliwego koszmaru. Jeszcze mokry od potu, poszukał wzrokiem czegoś znanego i swojskiego, czyjejs krzepiącej obecności i zamiast niej zobaczył martwego Kuhna z poderzniętym gardłem u swoich stóp. Rozeszła się także wieść o zniknięciu luksusowego naszyjnika oraz bezczelnego więźnia.

Baron zwykł sypiać całkiem nago, bez innych przykryć niż złoty łańcuch na szyi i pierścień herbowy. Nie bacząc na swą dostojność i wielką dumę, wyskoczył z łóżka jak wilk i w tym stroju – to znaczy goły jak go pan Bóg stworzył – biegał po całym zamku pośród ryków i wycia, którym niezdolna byłaby dorównać (ani jeśli chodzi o dzikość, ani o siłę dźwięku) cała sfera psów.

Nieco później, ponuro uspokojony, wrócił do swojej sypialni i rzucił się na łożo (tak przynajmniej opowiadał przerażony Ortwin) pogrążony w milczeniu, z którego nic dobrego nie można było wróżyć. Nieruchomy przeleżał tak parę godzin. Około południa uniósł z wolna powieki, jakby budził się z ciężkiego i długiego snu. Jeszcze blady i zmieniony, ale z Wielką energią i skupieniem woli kazał wysłać co prędzej dwudziestu zbrojnych ludzi na poszukiwanie niewdzięcznika wraz z rozkazem i obietnicą przyprowadzenia go żywym przed jego oblicze, nim zapadnie noc, i zapowiedzią powetowania sobie na ich głowach kłęski wyprawy. Potem długą chwilę poświęcił na owinięcie w chorągiewkę w swoich barwach nieszczęsnego Kuhna czyli Ptaszyska. Przyozdobiwszy tak jego

zwłoki wedle swego gustu kazał pochować je gdziekolwiek.

Przed wieczorem ujadanie psów i zwycięskie (prawdę mówiąc, złośliwe) okrzyki ludzi wysłanych z tak mało zachęcającą obietnicą oznajmiły zarówno punktualne i dokładne wykonanie zlecenia, jak i ulgę odczuwaną na myśl, iż jeszcze mogą dysponować swoimi głowami.

Odzyskawszy utracone (wraz ze swym futrzanym płaszczem) opanowanie i spokój baron Mohl wezwał na dziedziniec wszystkich swych rycerzy i młodych giermków, jak również dowódców oddziałów wojskowych. W otoczeniu całego grona – w którym i ja się znajdowałem – pośród wielkiej ciszy, zbrojny w swoją włócznię i puklerz, Mohl czekał przez chwilę, dumnie wyprostowany na swym koniu. Dwa z jego najbardziej wygłodzonych i rozjuszonych psów myśliwskich szarpały się na smyczy, z trudem utrzymywanej przez załężnionego sługę.

Wreszcie przybliżyło się szczekanie psów, tętent kopyt i przekleństwa – ale wszystko ucichło na widok imponującej postaci mego pana. Na środek dziedzińca – tuż pod kopyta Hala, który cofnął się spłoszony – rzucili stwór ludzki nie do rozpoznania dla tych, którzy niedawno widzieli go, jak przechadzał się z drwiącym uśmiechem po tym samym miejscu: tak podarte i uszargane błotem były jego szaty, tak potargane włosy lśniące żywym ogniem i tak zmieniona jego twarz. Cienki krwawy strumyczek spływał z nosa do ust, ale ciemna czerwień krwi, bardzo już gęstej, oznajmiała nawet najmniej bystrym, jakimi czułościami i hołdami uraczyli go prześladowcy po schwytaniu.

Podobnie jak w dniu, kiedy pierwszy raz przywieziono go na to samo miejsce, ukazał się skuty łańcuchami na rękach i nogach, tak że ledwie mógł wlec się po ziemi na kolanach. Nikt w tym żalonym stworzeniu nie poznałby młodego wilczęcia schwytanego przez mego pana ani pięknego i bezczelnego młodzieńca, tak niedawno jeszcze postępującego za nim jak cień.

Baron patrzył na niego bez słowa. Tylko ciężki oddech chłopca i tłumione warczenie psów mąciło nieruchomą, pełną męczarni ciszę. Wreszcie Baron wziął do ręki naszyjnik nieszczęsnego Kuhna (który niezbyt ufnie i odważnie podawał mu jeden ze spoconych uczestników wyprawy). Pomimo zimna pot wystąpił także na czoła wielu innych, choć nie brali udziału w poszukiwaniu i schwytaniu chłopca.

Przez chwilę Mohl przyglądał się trzymanemu w rękach naszyjnikowi tak uważnie, jakby go nigdy nie widział. Potem nadział go na ostrze włóczni i przybliżył niemal delikatnie do ust chłopca.

– Połknij to! – rozkazał.

Może czekał czy pragnął z całych sił jakiejś skargi czy jęku. Może jakiegoś błagania. Ale chłopiec powstał niemy, tylko jego oczy zdawały się żyć jeszcze, utkwione z nieludzką nieruchomością w twarz pana: i był w nich wyraz zdziwienia i rozpaczony zarazem, jaki czasem tylko widywałem w oczach zranionego zwierzęcia.

Baron przybliżył jeszcze bardziej ostry koniec włóczni z naszyjnikiem do ust chłopaka. Wtedy ten spróbował odwrócić twarz. Gest ten rozpętał całą furię Mohla, cofnął się razem z koniem, wyprostował lancę i zaatakował chłopca wbijając mu broń w usta, tak jakby uczestniczył w ćwiczeniu z pierścieniem (któremu z takim upodobaniem zwykł się przyglądać), wykonał je tak zręcznie i z taką nieomylnością raz i drugi trafił do celu, że wkrótce krwawa i lepka masa ukazała się w miejscu tych ust, tak świeżych, bezczelnych i roześmianych, które tyle pasji, choć łagodniejszej niż obecna, budziły niegdyś w moim panu.

Zaczął padać drobny śnieg. Baron podniósł twarz ku niebu i deszcz iskrzących płatków okrył mu czoło i spłynął po policzkach. Na ziemi leżał chłopak, wstrząsany długim zwierzęcym rżeniem agonii. Wtedy Mohl podniósł ramię, wziął rozmach lancą i rzucił ją w rozciągnięte ciało. Broń zagłębiła się w samym środku tego kruchego i pięknego stworzenia,

przeszyła je na wskroś i przygwoździła do ziemi. Wtedy Baron dał znak pachołkowi i ten spuścił psy.

I kiedy psy rozszarpywały leżącego z pomrukami dzikiej rozkoszy, Baron spiął konia ostrogami i wokół bezkształtnej masy krwi i mięsa, jeszcze pulsującego życiem między kłami psów zatoczył krąg, raz i drugi powtarzając swój starodawny obrzęd żałobny. Raz i drugi – nie wiem, ile razy – coraz ciaśniejszym pierścieniem okrążał bezkształtny łachman, wczoraj jeszcze źródło tak głębokiej, rozpaczliwej i najsmutniejszej w świecie słodyczy.

Na szczycie wieży strażniczej wschodząca zorza oświetliła przygwożdżone i nierozpoznawalne szczątki tego, za czyją sprawą tak szlachetny, zrównoważony i dumny rycerz jak baron Mohl odsłonił niedyskretnym oczom samotność swego serca.

Nie minęły pierwsze godziny popołudnia, kiedy strażnik dał sygnał alarmowy.

Tym razem jeden tylko jeździec ukazał się na łące. Ciężki, masywny i ciemny zbliżał się przemierzając śnieżną ciszę. Niebo nieruchome, lśniące jak olbrzymia tarcza zdawało się czekać na jakiś krzyk, na wybuch złości. Jeździec przejechał zamarzniętą rzekę i cienie brzoź poruszyły się na wspomnienie echa przynoszącego widmo pewnego imienia. Ponad wieżą strażniczą usłyszałem trzepoczące skrzydła. Potem zobaczyłem sępy lecące w stronę wydm.

Jeszcze nie widać było oblicza jeźdźcy, kiedy Mohl już go rozpoznał. I choć wiedział, kim jest, nie okazał pogardy ani wstrętu. Przeciwnie, zażądał rychłej swego konia, lancy i puklerza.

Wtedy powróciła przed moje oczy scena widziana kiedyś we śnie – a może w rzeczywistości. Tym razem jednak nie ja, lecz sam Baron zażądał:

– Osiodłaj twego konia i jedź za mną.

Nikommu więcej nie pozwolił jechać z sobą. Ale wszystko było tak

dziwne, że nie odczułem nawet zdziwienia ani nienawiści, które tak niezwykle rozkaz mógł obudzić w jego rycerzach. Jechałem za nim, świadomy, że nie depczę bieli snu, lecz może wspomnienie, które jeszcze do mnie nie przyszło i które obserwowałem z bardzo daleka.

Wiatr unosił znad wydm lodowate białe tumany. Jeździec był już na drugim brzegu i zawsze z tym samym spokojem postępował na spotkanie z nami. W pewnej odległości zatrzymał się sztywny, ciężki, niemal zgrzybiały. W blasku nieba gładkiego jak tafla błyszcząły i kołysały się przy jego twarzy dwa rudo-białe cienkie warkocze.

Przeciągłe wycie (znacznie bardziej przeciągłe i przejmujące niż wycie wilków stepowych) rozdarło moje uszy. Słysząc w nim było znowu to imię: naprężało się jak łuk i uciekało raz po raz, póki nie stopiło się w blasku nieba.

– Precz! – krzyknął Mohl. – Wracaj na stopy! Nie chcę z tobą walczyć.

Lecz hrabia Laszko posunął się jeszcze, najpierw drobnym truchtem, potem z większym rozpędem. Rzucił się wreszcie z ciężką furią, z lancą w tulei na mego pana.

Mohl wytrzymał i odparował cios: jego tarcza jak gdyby otwarła się w cztery białe promienie. Lecz zamiast odpowiedzieć na atak cofnął konia i krzyknął znowu:

– Wracaj na stopy! Nigdy nie powinieneś ruszać się stamtąd.

Laszko wziął nowy rozpęd, uniósł swoje krótkie ramię z bronią i zawył:

– Oddaj mi go, przeklęty! Oddaj go! Jeszcze dwakroć natarł na Mohla. Ilekroć lanca uderzała o puklerz, ślepa, lecz potężna, furia każdego natarcia rozbijała się o nieugiętość mego pana. Ze zdumieniem, w osłupieniu widziałem, że Mohl nie odpowiadał na ataki, ograniczał się tylko do ich odpierania.

Stary Laszko znowu cofnął się razem z koniem dla nabrania rozpędu,

lecz nagle jego ramiona opadły i głowa zwiśla na piersi. Na skórach okrywających jego pierś huśtały się dwa nędzne warkocze barwy czerwonawego złota, złota nieczystego, których widok zwiększał jeszcze we mnie uczucie nieokreślonej przykrości i skrępowania. Głos starego hrabiego oddał się cały temu imieniu, które zdawało się rozdzierać, szarpane zębami wilków lub tworzyć część samego wiatru stepów. Ochryple skowyczenie zupełnie nieludzkie, wydobywało się z jego gardła:

– Oddaj mi go albo mnie zabij!

Mój pan pochylił lancę, pierwszy raz puścił konia w cwał i natarł na swego starego – nie istniejącego już – wroga. Przeszył go na wylot, zanim grube ramię Laszka dosięgło tarczy. Ciężki jeździec zachwiał się w siodle, kawałek odłamanej włóczni sterczał jeszcze w jego brzuchu. Potem upadł na ziemię, na bok, podnosząc śnieżnobiały tuman.

Zdawało mi się, że upłynął długi czas wypełniony tylko rżeniem i przerażonym wierzganiem pięknego rumaka stepowego. W końcu zawrócił i popędził bez jeźdźca w kierunku wydm.

Ręka mego pana w czarnej rękawicy uniosła się w powietrze wzywając mnie. Usłuchałem ogarnięty nagłym strachem i podjechałem do niego bez woli i bez głosu. Baron przybliżył nasze konie do powalonego ciała i obaj przyglądaliśmy mu się długą chwilę. Wiatr podnosił włosy Laszka, kłębiąc się nad jego trupem, jak gdyby lizał smak śmierci, W końcu Mohl odezwał się:

– Kto zrobi to samo ze mną w dniu, kiedy będę potrzebował... Kto, mój synu?

I nazwał mnie synem jeszcze kilka razy. Albo może jeszcze tysiąc razy. Tylko te słowa przynosił wiatr, kiedy wracaliśmy do zamku, zwycięzcy bez chwały.

Prawda, że nie była to walka, o jakiej tyle razy marzyłem leżąc na trawie i patrząc w chmury: biedne dzikie stworzenie, ze wzrokiem

zmaconym krwawą i już niemożliwą rozkoszą.

Gdy podjeżdżaliśmy pod mury, słońce niemal przezroczyste oświetlało blanki wieży, Pierwszą rzeczą, jaką napotkały moje oczy, był potrójny cień moich braci: i równie czarny wydawał się na ziemi, jak biały był śnieg.

## VIII. PONAD NIENAWIŚCIĄ

Sępy i wiatr pochłoneły i uniosły krwawe szczątki tego, który był niegdyś piękny i kochany. Nie znikł tylko i pozostał przez długi czas, powiewający na wietrze, niby wołająca pomsty chorągiewka, kosmyk włosów barwy lwiej sierści. Patrząc nań czułem napływającą do mózgu falę krzyków i ohydnych wspomnień, w której wysuwał się naprzód, straszliwie wyraźny, inny rudy kosmyk schwytny w płomień ogniska. I powrócił ów zdumiony strach, który pewnego dnia poraził mnie jak piorun i obalił na ziemię. Tak samo jak wtedy, straciłem głos i przez trzy dni pozbawiony byłem nie tylko mowy, ale niemal wszelkiego rozumienia. Spędzałem czas przy ogniu, nie odrywając oczu od płomieni, długi czas, nie wiem, jak długi. I nawet najbardziej obojętni lub nieżyczliwi spośród moich towarzyszy znajdowali dla mnie wtedy przyjazne słowo lub milczące współczucie.

Tak minęło wiele dni, które leżą bezwładne w mojej pamięci, nieznosnie puste. Nawet wino nie uczyniłoby tak ciężkimi moich powiek ani najgwałtowniejsza walka nie mogłaby do tego stopnia pogruchotać moich kości.

Wreszcie pewnego dnia obudziło mnie świergotanie ptaków na śniegu: były skrzydłami i wrywały sobie okruszyny chleba, które rozsypał im jeden z kuchcików. I podczas gdy ptaki rzuciły się żarłocznie na to znikome pożywienie, chłopak ostrożnie nakrył je drobną siecią. Kiedy już je miał złapane, przebijał jednego po drugim długą igłą (jakich używają kucharze do opiekania ptactwa). Policzki poczerwieniały mu z zadowolenia, poruszał głową i jego czarne włosy fruwały na wietrze zakrywając do połowy oczy. Doznałem wówczas wrażenia, że otrząsam się z długiego snu. Zimowe słońce błyszcząło w osobliwej ciszy śniegu



i dzień wydawał się nasycony jakąś niemą złością, przerywany tylko krzykami ptaków i urywanym śmiechem kuchcika. Nie mogłem sobie przypomnieć, dlaczego znajduję się tutaj, rozcierając sobie ramiona i nogi, tupiąc z zimna i patrząc, nieruchomy i daleki, na zabawy chłopca. Nad nami kłęby przezroczystych chmur rozpląwały się w świetle płynnym i bezbarwnym i czułem, że coś się ode mnie oddała: jakieś uśpione życie, gdzie błądził jeszcze samotny jeździec mego dzieciństwa, pośród jasnowłosych wojowników, żeglujących po bezkresnym morzu wina, na którym unosiły się warkocze ludożerczyni. We mgle tych wizji nie mogłem rozłączyć dwóch ciał: hrabiego Laszka z odłamkiem lancy sterzcącym w brzuchu i mego ojca na plecach garbusów.

Wtedy – lub wkrótce potem – zawiadomiono mnie, że mój pan życzy sobie, bym stanął przed jego obliczem.

Głos i słowa powróciły do mnie, gdy kierowałem moje kroki (po raz pierwszy, jeśli poprzednio był to wytwór gorączki) do prywatnej komnaty mego pana. I przestąpiwszy jej próg, rozpoznawałem jeden po drugim wszystkie znajdujące się tam przedmioty, meble i okna, zielonawe szyby, skrzynie, skóry i wielkie łóże z baldachimem. Przyszła mi wówczas do głowy pewna myśl, dziwna i bardzo gwałtowna, tak dalece, że czerpałem z niej jakby moją dawną siłę, aż do nasycenia. Miałem absolutną pewność – choć nie mogłem jej oprzeć na żadnym rozumowaniu – że nawet skutki łańcuchami, powalony i w oczekiwaniu na cios włóczni swego pana, gdyby chłopak o ognistych włosach nie zgodził się na śmierć, nie byłby umarł. I chociaż drażniła mnie ta myśl, bo nie mogłem przeniknąć jej do głębi, pewność ta trwała i rosła w moim umyśle, tam, gdzie rozum odmówił jej schronienia. W każdym miejscu, na każdym przedmiocie i każdym zdarzeniu, na którym zatrzymywała się moja myśl, wspomnienie czy zwykły niepokój, zapalały się teraz samotne płomienie: widziałem ogień rozproszony, podzielony, lecz nieustający niby zapowiedź olbrzymiego

płonącego stosu.

Oblicze Barona ukazywało swój zwykły, spokojny dystans: niemal utęskniony dla nas wszystkich, którzyśmy w ostatnich czasach patrzyli na jego zmierzch. Ale zobaczyłem drobne zmarszczki wokół jego warg, a na skroniach, wśród włosów, dawniej lśniących złocistym kasztanem, odkryłem biały korzeń, z którego wyrastało drzewo śmierci.

Długo mówił do mnie mój pan. Powiedział, że ceni mnie za moją wierność i dumę, i dzikość, za żelazną niezłomność mojej natury, że jestem najlepszym z jego młodych giermków i z całą pewnością stanę się kiedyś dzielnym rycerzem: prawdziwym Panem Wojny, wzbudzającym lęk i respekt zarazem. Wreszcie położył mi rękę na ramieniu i zapewnił, że troszczy się o moją przyszłość, że widzi mnie w ogniu niezliczonych wojen i ponad nimi, wojen ze wszech miar niepojętych dla rozumu ludzkiego, że pozostanę nietykalny dla ognia i żelaza, i wszelkich klęsk, jakie wstrząsają światem od krańca do krańca. „Ale to nie wszystko – dodał. – Widzę cię, jak postępujesz naprzód niby uskrzydłony miecz i przemierzasz w ten sposób ziemię, morze i powietrze”.

Zamknął oczy, jak gdyby oddał się marzeniu, i przyszła mi na myśl walka orłów przeciw jastrzębiom, którą kiedyś jako dziecko obserwowałem na niebie nad wydmami. Ale mój pan mówił nie o tym rodzaju walki na niebie czy w powietrzu, bo szepnął jak gdyby do siebie:

– Także gwiazdy walczą, zwyciężają i ponoszą klęski...

Zdumiała mnie mądrość zawarta w tych słowach. Istniał wszakże mur (niewidzialny, lecz niezdojony), który otaczał nie tylko moje dało, odgradzając je od świata, lecz także moją duszę. I mur ten dławiał wszystkie moje porywy i hamował moją dawną spontaniczność. Dlatego też choć bardzo tego pragnąłem, nie zapytałem o te walki gwiazd, w których on widział mnie zwycięzcą i triumfotorem.

– Twoja bezbożność i twoja niewinność zarazem – powiedział Mohl –

mogą stać się bronią ogromnie cenną. Dobrze pokierowane, mogą przebić, a nawet zniszczyć całą zalewającą nas zgniliznę. Toteż powinienem zachować cię przy sobie: ty będziesz moją tarczą broniącą mnie przed światem. I może nawet przede mną samym.

Te słowa zdumiewające zdawały mi się powiedziane w jakiejś strefie, w której nie mieszkalem. A nawet zdawały się wymówione w języku nie moim.

On wszakże za posłuszne przywiązanie, a może za wdzięczność, poczytał moje milczenie, które oznaczało tylko dystans głęboki i nie do przebycia lub może – niejasną jeszcze – formę obojętności.

Mój pan uśmiechnął się do mnie (myślę, że po raz pierwszy i ostatni w życiu).

– Wkrótce nadejdzie wiosna – powiedział – i dam ci moje słowo honoru, że w tym czasie zostaniesz pasowany na rycerza.

Na tę decyzję oczekiwałem dzień po dniu, noc po nocy, od chwili gdy przybyłem na zamek. Wiedziałem, że ta nadzieja i ta obietnica trzymały mnie tutaj. A jednak w tym momencie – tak upragnionym – nie czułem żadnej radości ani niecierpliwości, ani nawet zdumienia (prawdę mówiąc, nie czułem absolutnie nic).

Moje oczy ślizgały się po tarczach i broni, zawieszonych na tych ścianach, po pięknych szybach okna, gdzie słońce przybierało barwę zieleni, równie delikatnej, jak tajemniczej, i w niej szukałem rozpaczliwie jakiegoś śladu moich minionych złudzeń: przynajmniej satysfakcji, jeśli już nie radości. Ale tylko blaski i cienie widziane za oknem budziły same w sobie moje zainteresowanie, nie słowa ani obietnice. Ani pewność, że będą spełnione – jaką prawdziwie miałem, skoro wyszły z ust takiego pana.

Baron kazał mi następnie usiąść naprzeciw siebie, niemal u jego stóp. I przytoczył tysiące argumentów – jakby przed samym sobą

usprawiedliwił konieczność zatrzymania mnie i nieoddalania od siebie. Postanowił przydzielić mnie do swojej służby przybocznej, pod komendę rycerza Ortwina.

– Ale nie zaniechasz przez to ćwiczeń z bronią, przeciwnie, będziesz przestrzegał tych obowiązków z większą surowością niż którykolwiek inny z giermków. Zauważyłem, z wielkim zadowoleniem, że górujesz w nich nad wszystkimi.

Wysłuchawszy wszystkiego, co mi zakomunikował, chciałem odejść, ale Mohl gestem kazał mi się nie ruszać. Pozostaliśmy tak długi czas, siedząc naprzeciw jeden drugiego, w milczeniu. On patrzył uporczywie w okno – za szybami widać było znowu padające lekkie płatki i zdawał się olśniony ich blaskiem, jak gdyby patrzył na widmo śniegu. Z taką uwagą przyglądaliśmy się tej śnieżnej wizji (raczej wyczuwanej niż widzianej), jak gdybyśmy się pograżyli (albo może unieśli) w przestrzeń, gdzie nie było miejsca na inne sentymenty czy refleksje niż kontemplacje zielonej szyby lub białego blasku świata zewnętrznego (ze wszech miar obcego).

Długo trwaliśmy tak poddając się bezwolnie lub z rezygnacją przyjmując to wyobcowanie: nie wiem, jak długo.

Nie wiem nawet, czy to wszystko działo się podczas czy przed, czy po wszystkich śmierciach. Jedno tylko wiem na pewno: wtedy padał ostatni śnieg tej zimy.

Z początku Ortwin przyjął mnie niechętnie, nieomal wrogo. Ale że też demonstracje ludzkie już na mnie nie działały, służyłem mu i słuchałem we wszystkim z niezwykłą uległością. W ten sposób ulżyłem mu w obowiązkach – najcięższych oczywiście – toteż stopniowo przekazał mi znaczną część albo prawie wszystko. Od tego momentu miałem służyć nieustannie memu panu: jego broń, ubranie, konie, stół i tysiąc innych

szczegółów były mi powierzane dzień po dniu z rosnącym zaufaniem. I często towarzyszyłem Mohlowi w objazdach po ziemiach jego olbrzymiego dominium, kiedy jak zwykle doglądał pracy niewolnych chłopów i ściągał daniny od lenników.

Ortwin w końcu przyjął jako pokorę i uległość to, co we mnie było najgłębszą pogardą i niechęcią do świata, jego stworzeń i dążeń. I odstępując od swej początkowej oziębłości (a nawet podejrzliwości) uznał mnie w końcu bez zastrzeżeń. Przypuszczam, że nawet zaczął błogosławić w duchu decyzję Barona – chociaż był człowiekiem całkowicie wrogo usposobionym do wszelkiego rodzaju demonstracji uczuciowych. Go się mnie tyczy, to służyłem mu nie mniej ulegle i sprawnie jak i memu panu, i nawet z tym samym szacunkiem. Tak wielka była odległość – lub nienawiść – pomiędzy ich życiem i moim.

Od czasu do czasu tylko, patrząc na drogi, na których topniał już śnieg i zaczynało się odczuwać impetyczną siłę ziemi, wszystkich jej roślin, źródeł, nieśmiałych kwiatów i zwierząt, czułem jakby cienkie ostrze usiłujące rozedrzeć moją obojętność i przez to rozdarcie jak gdyby wychylało się zapomniane pragnienie z innych dni. Ale nawet doznając tych uczuć nie mogłem ich rozpoznać.

– Wkrótce zima się skończy, bądź pewien – powiedział mi Ortwin któregoś dnia.

Może sobie wyobrażał, że dręczy mnie niecierpliwosć wyczekiwania na dzień mojej rycerskiej inwestytury. W milczeniu patrzyłem na tę twarz tłustą, czerwoną i usianą piegami, gdzie oczy były niemal niewidoczne pod gąszczem brwi, na te usta, gdzie tyłu brakowało zębów, za dużo było dziur, i uczułem nieokreśloną rozpacz. Kiedyś w czasie starcia zadano mu cios z takim rozmachem, że niemal wyrwano szczękę. Ortwin jednak zatamował krew (i dzięki temu, przypuszczam, ocalił życie) gryząc swoją brodę, to znaczy wpychając ją sobie do ust. W ten sposób walczył dalej i

mógł z godnością wytrwać do czasu, gdy (po uśmierzeniu furii obu stron walczących) medyk naprawił jak mógł najlepiej krzywdy wyrządzone jego niewzruszonej twarzy.

– Ale to nie był akt odwagi ani objaw zawziętości mojej natury – tłumaczył – tylko skrupulatność i drobiazgowość w szczegółach. Zawsze lubiłem porządek i poprawność, zarówno w odzieży, jak w ogólnym wyglądzie ludzi. Ta drobiazgowość i staranność zyskała mi honorowe stanowisko, jakie piastuję przy baronie Mohl.

Głodził potem tę brodę (której tyle zawdzięczał) z prawdziwą czułością, jakby chodziło o jakąś ukochaną istotę, a nie o część zarostu na jego ciele. Ta rudawa broda niewątpliwie stanowiła jego najcenniejsze bogactwo. Rozczesywał ją co dzień wielkim kościanym grzebieniem o kunsztownie wyrzeźbionych brzegach.

W miarę jak zacieśniała się nasza znajomość, mogłem ocenić wierność jego uczuć dla Barona. Ortwin był szlachcicem rodu równie ubożego, jak ja. Wkrótce po swojej inwestyturze wołał pozostać w służbie osobistej Barona jako jego kamerdyner, porzucając prawie zupełnie trudy zbrojne. Mohl wybrał go – i przystał na jego życzenia – właśnie dla jego niewzruszonej dyskrecji i wierności, dla dobrego gustu i staranności, z jaką dbał o jego garderobę czy przedmioty użytku osobistego, a także ze względu na ogólną skrupulatność. Cnót tych nie zdradzała jego wysoka barczysta postać ani okrutne, nie dające się ukryć cięcie przez szczękę. Myślę, że Ortwin z czasem doszedł do takiego afektu dla mnie, jakim ojciec – z wyjątkiem mojego – może darzyć syna. Co do mnie, to chociaż zawsze traktowałem go z szacunkiem, nie mogłem w sobie znaleźć żadnego rodzaju uczucia dla jego osoby: ani złośliwości, ani przyjaźni, ani przywiązania. Tak samo jak w stosunku do innych ludzi, którzy tam ze mną dzielili życie. Albo przynajmniej tak mi się wtedy wydawało.

– Powinieneś bardziej dbać o swój wygląd – powiedział mi kiedyś

Ortwin bo przypuszczam, że nie uszedł jego bacznemu spojrzeniu fakt, iż (od dnia gdy zrobiła to moja ukochana pani) nikt nie ośmielił się nigdy dotknąć ręką, a tym mniej ostrzyc mojej głowy, opanowanej przez fantazyjnie sterczące lub opadające na oczy kosmyki. Każdy włos rósł w stronę, jaka najbardziej mu dogadzała, wskutek czego obfity gąszcz i bujność mego uwłosienia wykazywały tendencję do naturalnego chaosu. Nic i nikt – a ja sam mniej niż ktokolwiek – dotychczas nie przeciwstawił się radościom i tyranom tej swobody. Niemniej usłuchawszy uwag Ortwina pokornie schyliłem przed nim głowę, tym samym gestem, przypuszczam, z jakim skłoniłbym ją przed katem, gdyby kazano umrzeć mi pod toporem. Mile zdziwiony tą rezygnacją, Ortwin już się cieszył ładem i rygorami, jakim podda tę nieujarzmioną knieję, i z błyszczącymi radością oczyma brał do ręki dobrze wyostrzony nóż, kiedy w tym samym momencie niespodziewanie wszedł mój pan. I jego okrzyk zgasił cały zapach Ortwina.

– Wstrzymaj się! – zawołał Baron. Ortwin spojrzał na niego zdumiony i zaskoczony. I nawet ja sam podniosłem oczy ostrożnie – to znaczy ukradkiem: bo było w jego głosie coś co przypominało mi o strachu.

Niemal z furią Baron wyrwał nóż z ręki mego niedoszłego fryzjera i powiedział, spostrzegłszy oszołomienie Ortwina i moją ciekawość:

– Nigdy nie dotykaj ani jednego włosa tego wojownika. Nie chcę przy sobie piękna, wolę siłę w najczystszyim stanie, siłę najbardziej nieugiętą i możliwie najdzikszą.

Wydawało mi się, że w tych słowach wyrażała się klęska albo może tylko ogromna rozpacz. Mohl wszakże dodał:

– Gdyby w czasie bitwy przeszkadzały ci te kosmyki (bo widzę, że spadają ci na oczy), rozdziel je na dwie połowy i spleć wysoko, tak żeby warkocze spadały po obu stronach czoła.

Słyszac tak drobiazgowo i dziwne polecenia uczuł się Ortwin

dotknięty, jak gdyby ugodziły w najczulszy punkt jego praw i kodeksów.

– Splatać w warkocze jego włosy, panie! Jak tym przybędom stepowym! – jęknął prawdziwie zgorzony.

Ale Mohl odpowiedział, że tak czynili nasi zmarli bogowie.

– I może – dodał po chwili wahania – bogowie, którzy się narodzą.

Rozdzieliłem więc z wielkim wysiłkiem wyżej wymienione kosmyki, przyczynę jego niepokojów, bo istotnie, w tym stanie zaniedbania zakrywały moje czoło i uszy, co bardzo mi przeszkadzało podczas ćwiczeń, gdyż, jak powiedział Mohl, włożyły do oczu. Wysmarowawszy włosy jakąś tłustą maścią, której mi dostarczył zbolały Ortwin, zaplotłem je starannie i uczulem niewątpliwą ulgą (choć stwierdziłem, iż od tego czasu w osobliwy sposób wzrosła podejrzliwość, a nawet strach, jaki na ogół wzbudzała moja osoba).

Pewnego dnia, gdy zamierzałem spleść, rozdzielić i związać owe szorstkie snopy, pochyliłem się, by ujrzeć swe odbicie, nad jedną z kałuż, które odwilż zaczynała tworzyć na ziemi. Wtedy słońce ukazało się za moją głową i zapaliło nagle tę białą aureolę, która, gdy byłem dzieckiem, budziła podziw i zachwyt, ktokolwiek na nią spojrział (nie wyłączając mnie samego). Jakiś dreszcz wstrząsnął mną do głębi i usłyszałem bardzo wyraźnie, jakby wychodzący ze światła czy blasku wody, zimny i szorstki głos mej ukochanej ludożerczyni, która – jak niegdyś – mówiła do mnie: „Nie jesteś piękny, nie będziesz nim nigdy, przeciwnie, można stwierdzić, że jesteś bardzo brzydki. Ale twoja niezwykła natura żyje i olśniewa blaskiem ponad tą nietrwałą i dość zmienną cechą – tak że w rzeczywistości jest bardziej potężna i wstrząsająca, a nawet większy ma powab w sobie niż piękność, łagodność i sama dobroć”.

Potem usłyszałem znany tętent kopyt jej białego konia, ujrzałem wodące już po niebie ślady straconej i do głębi przenikającej miłości. Tak jak owego dnia, gdy na trawie w słońcu i pośród krzyków rycerstwa



czyniła mi podobne wyznanie, nie rozumiałem w pełni ich sensu. Lecz nachyliwszy twarz nad zieloną wodą doznałem wrażenia, że głos ten rozdziera brzeżek tej płachty obojętności, w jaką ostatnimi czasy się chronilem. Tak że przez to rozdarcie przenikła gorzka radość, a w niej mieszały się burzliwa дума, świadomość mojej siły, a nawet jakiś bezładny jeszcze, ale bardzo gwałtowny bunt. Byłem boso, bo, zgodnie z obyczajem nabytym w dzieciństwie, ledwie ustępowały mrozy, lubiłem chodzić nie obuty i grzać nogi w słońcu. Kiedy byłem sam, poza godzinami służby, uwalniałem, jak tylko było to możliwe, moje ciało od wszelkiego ucisku i biegałem w ten sposób, prawie nagi, po trawie lub kamieniach. Zaledwie ucichł w swoim świecie ech i refleksów galop białego konia, uczułem pod moimi stopami jakieś gorące chrobotanie, niemal zwierzęce. I wiedziałem, czułem, że wiosna gotowa jest wybuchnąć lada chwila pod ziemią i kryje w sobie błyskawicę długo więzioną, a ta zrywa swoje więzy, gotowa wstrząsnąć światem od krańca do krańca.

Dobiegły wówczas moich uszu podniecone głosy i zgiełk. Jakiś osobliwy śmiech, którego echa rozbrzmiewały, jak to już kiedyś zauważyłem, w czynach najstraszliwszego okrucieństwa ludzkiego. Słyszałem taki śmiech w wieku lat sześciu i inie zapomniałem jego syczenia.

Zaalarmowany jakimś przeczuciem czy przestrogą ostrożnie zbliżyłem się do miejsca, gdzie, jak mi wskazywał słuch, dochodziły odgłosy talk podejrzanej wesołości.

Wreszcie w pewnym oddaleniu od muru spostrzegłem trzech żołnierzy, istotnie bardzo czymś rozweselonych. Podszedłem do nich ukradkiem, tak że nie mogli mnie widzieć ani słyszeć, bo ostrożność była tą szkołą, w której stawiałem moje pierwsze kroki od najwcześniejszego dzieciństwa, i choć szedłem boso, mogę upewnić, że mimo szronu błyszczącego jeszcze na ziemi, nie drżałem z zimna, bo chłód znacznie silniejszy opanowywał

mego ducha. Żołnierze znęcali się nad jakimś nieszczęsnym stworzeniem: wynędzniałym człowiekiem, półżywym od losów i prawdopodobnie nieszczęść, jakie go przywiodyły pod stopy tych, którzy deptali go i bili, pośród obelg i szyderstw. Po odrętwieniu zimowym żołnierze budzili się z uspienia śnieżnego jak zgłodniałe zwierzęta wyczekujące jakiegoś zdarzenia, które ożywiłoby ich otępiałe zmysły.

– Opowiedz no raz jeszcze, jak to zwyciężyłeś Turka! – krzyczeli. – Powiedz, jak go zabiłeś! Którą z twoich dwóch twarzy? Tą? – i uderzali go. – Czy tą? Albo może kopniakiem w zęby? Jak ten?

Zadawali błazeńskie ciosy śmiertelne, pastwiąc się w błazeńskich walkach nad powaloną masą ciała wśród łachmanów. Ale w tych słowach odżyła moja pamięć: powracały chwalebne czyny, opowieści o bohaterstwach, widma dalekiego splendoru. I lśniący jeździec (obraz chwały urojonej w głowie dziecka) ukazał się galopujący na wschód: po tym niebie, gdzie jeszcze tak nieśmiało złościło się ciepło nowego życia. Wtedy zobaczyłem unoszącą się ku mnie twarz przepołowioną dawnym zabliznionym cięciem, dwoje wychudłych ramion okrytych bezkształtnymi guzami. Z żółtawej czaszki pokreślonej siecią blizn wyrastał i kołysał się – jak ostatni strzęp porażonej dumy pod naporem ciosów i daremnych wysiłków – źle związany rzemykiem czub włosów koloru słomy i popiołu.

Błyskawica, usiłująca wydrzeć się spod ziemi, wstąpiła w moje ciało, przeszywając je od stóp do oczu. Armia cieni przesunęła się po ciemnym firmamencie mego dzieciństwa i z krzykiem, który powrócił – krzykiem, wydobywającym się z ludzkiego drzewa ognia – skoczyłem na Krima-Konia i pochyliłem włócznię z wrzącą w moich wnętrzościach całą furią świata.

Natarłem na tych, którzy tak okrutnie i bestialsko poniewierali wiarę, dumę i nadzieję moich dni dziecinnych. Jednego po drugim,

zaskoczonych, przesyłem na wylot, nie dając im czasu się bronić – bo nie byłem już istotą ludzką, lecz błyskawicą gniewu i miłości, na próżno więzioną przez długie lata, i jeszcze pastwiłem się nad ciałami leżącymi już na ziemi. I wtedy uczułem, że osaczają mnie oczy wychodzące jeszcze na wierzch ze zdumienia i trwogi – te same oczy, które podczas nocy, gdy pełniłem wartę, mrugały do mnie porozumiewawczo i były oczyma jedynych moich przyjaciół, ale słyszałem trzask tratowanych kości pod kopytami Krima-Konia, równie oszalałego nienawiścią, jak ja sam. Zatrzymałem się wreszcie, wyczerpany i broczący krwią, niemal zadławiony żarłocznością mojej nasyconej zemsty, z lancą pochyłą w ostatnim hołdzie nad zjawą z dzieciństwa, czasu, który był dla mnie najczystszy i najżywszym lśnił blaskiem. U moich stóp dyszał jeszcze Krim-Wojownik, a z jego krwawiących ust wydobywał się dawno znany głos, który nie mógł już dokończyć zdania:

– Gdyby mój koń wytrzymał tyle co ja, przysięgam ci, chłopcze, że nie ośmieliliby się...

Jego oczy także patrzyły na mnie, ale były jak gwiazdy odradzające się pośród gęstej mgły, gdzie mieszały się kłamstwa, widma bitew, zdumienie i jakieś bardzo piękne odzyskanie, gdyż z najlepszego krańca nieba nadszedł lśniący jeździec chwały, zniżył się do niego i oddalili się razem do rajów wspomnień.

Gdy słońce zabrało ich z sobą, pochyliłem się nad zwłokami Krima-Wojownika.

– Pogromco Turków! – usłyszałem swój własny głos. A może słuchałem tylko łyż pewnego świtu, dalekiego już, z mego dzieciństwa, świtu, mokrego od rosy, iskrzącego się, smutnego i gniewnego na rozległe kłamstwo, jakie okrywa naszą ziemię. Przybliżyłem wtedy wargi do jego ucha:

– Żegnaj, synu ludów strzelających z łuku – powiedziałem. – Na

bujnym stepie, tam, dokąd cwałujesz, czeka na ciebie chłopiec, którego nie skończyłeś uczyć i olśniewać twymi wojennymi czynami: odszukaj go i weź z sobą. Poznasz go, bo jest silny, samotny i nazywa cię Krimem-Wojownikiem, zabierz go z sobą, proszę, bo często echo jego samotności wstrząsa moim sercem.

Tak jak on niegdyś mnie, usadziłem Krima-Wojownika na grzbiecie mego Krima-Konia. I tak ruszyliśmy na północ, ku nieznanym ceniom lasu.

Pierwszy raz zanurzyłem się w noc jego drzew, odurzony rozgrzanym aromatem korzeni i ukrytych źródeł. Wreszcie złoty promień ukazał mi polankę porośłą paprociami pod szronem, wystarczającą wszakże, aby pogrzebać w niej całe dzieciństwo.

Wtedy zauważyłem drżenie Krima-Konia: odczytałem rozpacz w jego oczach i kładąc mu rękę na szyi, rzekłem:

– Nie miał konia, dlatego napadli go tak podle. Teraz, Krimie-Koniu, wracaj do Krima-Wojownika, wracajcie razem na stepy, najdalsze, najbardziej bezkresne, bez początku i końca...

Popędził galopem z rozwianą wiatrem grzywą, połyskującą w ciemnościach, przebywając w swym pędzie gąszcze i przestrzenie dla innych nie do przebycia. Nie widziałem, kiedy znikł, bo oślepiająca blaskiem chmura zakryła moje oczy, a za nią zaczął drzeć cały las.

Noc już była, kiedy wróciłem na zamek. Wieść o moim brutalnym czynie, krążąc z ust do ust, dotarła do wszystkich i ze związanymi rękoma i nogami (tak jak pewnego dnia zwrócono memu panu gruzy jego wielkiej miłości) żołnierze przyprawdzili mnie przed oblicze Mohla.

Czekał mnie na dziedzińcu i rozpoznałem natychmiast żelazny posąg z tamtego snu. A także białą pustą przestrzeń, jaka nas oddzielała – jego i

mnie – od reszty świata.

– Popełniłeś zbrodnię – rzekł, a głos jego wychodził z bardzo dalekich stref, dalekich czasów. – Zabiłeś niegodnie trzech ludzi, nie dając im okazji bronić się ani nawet chwycić za broń. To byli trzej spośród moich najlepszych żołnierzy i dlatego najokrutniejsza śmierć wydaje się błahą karą za twoje zuchwalstwo. Ale jestem człowiekiem sprawiedliwym, a że znam twoją naturę, dziwi mnie bezcelowość tego przestępstwa. Będę cię sądził więc w obecności moich żołnierzy: powiedz mi, jakie racje czy jaki obłęd lub bezmyślne pragnienie krwi popchnęło cię do takiej zbrodni.

Spojrzałem na żołnierzy i dostrzegłem wśród nich tego siwobrodego starca, który tylekroć walczył u boku mego pana: było w jego oczach drżenie szronu w blasku słońca.

Nie czułem strachu ani onieśmienia, ani niepewności.

– Zabiłem tych ludzi – powiedziałem – bo nie byli godni nosić waszego godła, panie, a że zachowywali się jak psy, zabiłem ich jak psy, nie jak żołnierzy. Prawda, że byli bez broni i tylko kopaniem i biciem znęcali się nad człowiekiem, który niewątpliwie był najwaleczniejszym z wojowników, jakich znałem: pogromcą Turków i stepu, Mistrzem Fechtunku z moich lat dzieciennych. Ten, którego tak podle traktowali wasi ludzie, poniósł jedyną swoją klęskę na tym świecie, z ręki wspólnego wroga, tego, który nas wszystkich pokona: bo starość na nas czyha i zwycięża wszystkich na równi. Widząc go tak traktowanym przez tych, którzy mniej od niego byli warci, nie mogłem pohamować gniewu i jeśli prawdą jest, że pewnego dnia dostąpię godności rycerza i jako taki powinienem walczyć w obronie słabszego przed nadużyciem siły, podłością i zniewagą, do tego tylko się ograniczyłem i ukarałem tak, jak w moim mniemaniu na to zasługują, tych, co tak niesprawiedliwie i haniebnie zadali śmierć człowiekowi, który nauczył mnie szanować męstwo i wierzyć w chwałę. Zabijając ich byłem tak spokojny, jak jestem

w tej chwili. I w tym samym spokoju sumienia, jakim natchnęło mego ducha to zadośćuczynienie, pogrzebałem tego człowieka. To on pewnego dnia – dla mnie pamiętnego – złapał konia, który jest jedyną moją fortuną (i którego wy, panie, tak podziwiacie). Jeśli po tym, co powiedziałem, uważacie, że powinienem umrzeć, nie dbam o śmierć: nie mógłbym żyć z wyrzutem, że nie umiał pomóc czegoś tak dla mnie cennego.

I w tej chwili wiedziałem, że nie umrę. Baron i jego żołnierze stali wokół mnie w ciężkim milczeniu. Czułem blask płomienia wznoszącego się z najstarszych korzeni mej istoty: płomienia, którego nikt nigdy nie zdoła ugasić. I znów pomyślałem, że gdyby chłopiec o złotoognistych włosach nie przyjął śmierci, tak jak ja jej nie przyjąłem, śmierć nie byłaby do niego przysła.

– To jest sprawa między żołnierzami i dlatego żołnierzom powierzam ostateczną decyzję – powiedział Baron.

Zebrawali się wtedy żołnierze, aby rozstrzygnąć o moim losie. Mój pan przez ten czas stał na placu broni niby czarny posąg, a ja naprzeciw niego ze związanymi rękami, ledwie przykryty koszulą i boso. Ale nie czułem zimna ani jakiegokolwiek bólu. Jak drugi posąg, biały i obojętny na wszystko, co działo się i dziać miało na tym świecie. Kiedy wrócili żołnierze, starzec zabrał głos:

– Panie – powiedział – wasi żołnierze uważają, iż młody giermek nie popełnił żadnej zbrodni, lecz dokonał aktu sprawiedliwości godnego swej szlachetnej kondycji.

Baron rozkazał zdjąć mi więzy i wszyscy powrócili na swoje miejsca, tak milczący, jak nigdy nie byli dotychczas.

Rozwiązując mi ręce stary żołnierz szepnął:

– Dzięki, młody rycerzu.

I chociaż nie byłem jeszcze rycerzem i nie zrobiłem nic, za co bezpośrednio mógłby mi dziękować, moje oczy spotkały się z jego

oczyna i widziałem, że broniąc echa chwały lub życia, które minęły, obroniłem jedyną wartą życia rzecz, jaka pozostała na tym świecie.

Lecz powróciwszy do moich zwykłych obowiązków czułem przytłaczający smutek. Przez wiele nocy prześladowały mnie we śnie przebite laną trupy tych, których wziąłem za cel mego gniewu.

Przeżywałem na nowo ich śmiechy, piwo i gry w kości, i wszystkie wieczory spędzone w ich towarzystwie. I nie napełniała mnie dumą ich śmierć ani nie czułem pokoju, jaki sobie wyobrażałem.

Przeciwnie, czarna dama śledziła każdy mój krok i wszędzie słyszałem jej żółty śmiech.

Nieżyczliwe szeptu (jedne złośliwe, inne plugawe), jakie wzbudzało wśród rycerzy upodobanie wykazywane ostatnio przez Barona do mojej mało pociągającej osoby, stały się głośniejsze po tym zdarzeniu i tak krótkim sądzie, jaki po nim nastąpił. Kiedy złośliwości te docierały do uszu Ortwina, potrzasał tylko głową i mówił:

– Nie rozumieją! Nigdy nie zrozumie tego ta rasa głupia i nieszczęsna!

Ta rasa według niego obejmowała naturę ludzką w ogólności. Ortwin sypał wtedy obelgami przeciw tępemu i złośliwemu gatunkowi, co na takie zajęcia trwonił cenny dar słowa – z którego on ze swej strony tak niewielki czynił użytek. Upewniał, że lepiej może porozumieć się z psem czy koniem niż z jakimkolwiek człowiekiem. Co, o ile mogłem stwierdzić, było ścisłą prawdą, bo nie miał innych przyjaciół prócz swego psa i konia. Zaś uczucia, jakie żywił dla Barona i dla mnie, miały charakter bardzo odmienny od przyjaźni: pierwszego darzył podziwem i szacunkiem bez granic, wobec drugiego odczuwał jakieś niejasne pragnienie opieki lub przekazania – czy też obudzenia jakiegoś echa – swoich nauk, doświadczeń czy refleksji. Tak samo jak wówczas gdy tresował i udzielał mądrych przestróg swoim dwóm uwielbianym zwierzętom.

W kilka dni po tych zdarzeniach doszły nas wieści o pierwszych

zamieszkach granicznych.

Krewni hrabiego Laszko i jego sojusznicy – samotni feudałowie, prawdziwe wilki stepowe, których twierdze wznosiły się za wydmami – jak gdyby także rozkwitli z nadejściem wiosny, lecz nie kwiatem, który daje owoce, tylko tym, z którego wyrastają mętne ambicje, urazy, nienawiści i zemsty szukające satysfakcji. Wątpię bardzo, czy którykolwiek z nich darzył afektem czy najmniejszym bodaj zainteresowaniem osobę hrabiego Laszka, kiedy ten żył jeszcze. Ale jego śmierć i zniknięcie jego pięknego synowca pozostawiły kuszący łup do rozdziału. Było w czym zagłębić zęby starych krzywd i terażniejszej chciwości (nigdy nie nasyconej przez żadnego ze znanych mi ludzi). Tajemnicza historia pięknego młodzieńca, jego legenda bandyty-dworzanina, jego złotoogniste włosy znalazły żyzną glebę, w której mogły rosnąć i rozrastać się, tak by wykarmić do syta nienawiść i żądę zemsty, nawet pośród nieszczęśników, którzy zarówno od hrabiego jak i od jego synowca nie doznali nic prócz zniewag i nadużyć. Zręcznie powiewano wielobarwną flagą, w której mieszały się groza, chęć zasmakowania krwi i łyzy najtańszego rozrzewnienia. Prawda, że flaga tego rodzaju przyciąga ludzi wszelkiego stanu i gatunku, i wiele nad tym myślałem, patrząc, jak bardzo przypada do gustu zarówno chłopom, jak panom wszelkie barbarzyństwo, gdzie jednocześnie smażą się historie rzewne i okrutne. I jak bardzo ich wzrusza i odurza to pomieszanie spraw miłości, krwawych porachunków i głupoty, skłaniając do buntu i do gwałtu z zapalem, jakiego nigdy nie zdołałby wywołać ucisk, nędza i głód. I tak znowu ujrzałem niebo rozdarte krzykiem, wlokącym za sobą dwa imiona: zmarłego dziecka kowala i synowca Laszka.

Po zwykłych grabieżach, morderstwach i pożarach, w których płonęły grody, wsie i samotne chaty na ziemiach Mohla, doszły do uszu Barona pogłoski, że skrzywdzeni krewni hrabiego postanowili przedstawić swe skargi i pretensje dalekiemu – lecz nie budzącemu wątpliwości



– Wielkiemu Królowi. A jednocześnie żądać od tak potężnego i mądrego monarchy – którego żaden z nich nigdy na oczy nie widział – sprawiedliwości, porządku i przykładowej nauki dla winnych (czemu bynajmniej nie przeszkadzał fakt, że żaden z nich ze swej strony nigdy nie przestrzegał dwóch pierwszych cnót, natomiast skwapliwie praktykował to ostatnie).

Kiedy poinformowano go o tych nowinach i zamiarach, mój pan znajdował się w ptaszarni. Gładził jednego ze swych cennych sokołów i śledziłem wyraz jego oczu, gdyż błędziła w nich zrezygnowana tkliwość kogoś, kto pragnie i obawia się zarazem zastąpić jedno przywiązanie innym. Sokół, który obecnie był przedmiotem jego czułości, miał piękne upierzenie i chciwe oczy. Łączyło go dość wyraźne podobieństwo z jego poprzednikiem, Kuhnem gdyż wydawał się równie głupi i zaczepny, jak niesławnej pamięci Ptaszysko. Kiedy czatownik, jeden ze „stróży garnków” (jak nazywali żołnierze tych, których wyznaczono na czaty przy owych dzbanach glinianych, przedmiocie kopniaków i przyczynie niezliczonych zadrażeń), skończył swoje sprawozdanie, Mohl odprawił go gestem i zwrócił się do mnie:

– Wielki Król... – powiedział cicho. Potem unióś brodę, w której więcej już było nitek srebrnych niż złotych, i wybuchnął tym swoim krótkim, brutalnym śmiechem. Nigdy nie słyszałem, jak śmieje się wilk, ale przypuszczam, że robiłby to tak jak on. Potem łagodnym gestem posadził sokoła na moim ramieniu. Ptak spojrział na mnie niechętnie, a mój pan mówił dalej:

– Wielki Król i świat są bardzo daleko. Ja jestem moim królem i moim światem.

Lecz tyle smutku było w jego słowach, że pomyślałem, iż ani królestwo, ani żaden ze światów nie mogą dać nic innego prócz absolutnej samotności.

Ledwie zaczęła się odwilż, nie kazały na siebie długo czekać pierwsze nadużycia sprowokowane przez rzekomych krewnych nieszczęsnego Laszko. W tej rozproszonej, ponurej grupie wątpię, czy ktokolwiek – prócz jednego tylko człowieka – mógłby dowieść, iż płynie w nim krew z jakąkolwiek domieszką krwi hrabiego. I w dodatku ten jedyny prawowity krewniak był drugim z rzędu, a więc pozbawionym prawa dziedziczenia, synem jakiegoś również bezprawnie roszcżącego pretensje pociotka, półlidia, którego przyćmiony umysł przez czas trwania rewindykacji i zaczępek musiał mieć pojęcie niemal równe zeru o prawdziwej przyczynie, jaka wypchnęła go – w sensie dosłownym, bo tylko popychaniem i kluciem włóczni zdołano pognać naprzód zarówno jeźdźca, jak i wierzchowca – na czoło rozkrzyczanej, bezładnej i nieszczęsnej armii poborowej oderwanych od roli chłopów. W ten to sposób i z tak znikomym zapalem wysłano go przeciw panu, który cieszył się takim prestiżem jak Mohl i którego obawiano się więcej niż Szatana. A obraz Szatana był dla nieszczęsnego półgłówek tak nienawistny i taką budził w nim grozę, że nie przestępował nigdy progów kościoła, nawet w największe święta, gdyż pod stopami tak zwanego Białego Anioła (który był dumą klasztoru) skurczony i zmaltretowany diabeł ukazywał zęby i własną rozpacz temu, kto go oglądał w tej postawie.

Mam pewne podejrzenie, iż niedoszły dziedzic, tak gwałtownie wyrwany z błogiego zamroczenia, w jakim upływało jego życie, wycofał się z pola bitwy nieświadomy przyczyn, które go rzuciły w takie tarapaty – także i wówczas, gdy się z nich wydobył. Wkrótce po pierwszym starciu śmierć na ospę według jednych, od miecza według innych (gdyż uważano już za spełnione to, czego od niego żądano) położyła kres sromotnym niedolom, jakie musiał znosić pośród szaleńców pretendujących do pokrewieństwa z tak mało zachęcającą rodziną. Tak więc jedyny i prawdziwy krewny Laszka w rękach bandy szaleńców – których skargi,

prawdę mówiąc, nie były pozbawione odrobiny słuszności – był zwykłym pretekstem, lecz dostatecznie uzasadnionym, by zjednoczyć ich w zwartą siłę i natchnąć męstwem potrzebnym do realizacji pragnienia, jakie od dawna w sobie hodowali, obawiając się go zarazem. Ta plugawa armia rzuciła Baronowi pełne nienawiści wyzwanie, tak ostentacyjne i butne, do jakiego tylko najdzikszy strach może skłonić. Ale, rzecz ciekawa, panika jest uczuciem, które nieraz skupia w sobie dość energii, by natchnąć odwagą i dać impet, jakich zazwyczaj nie jest zdolny wywołać trzeźwy rozum i świadomość jego posiadania.

Porwani i upojeni własną śmiałością, zwarli się w jakąś osobliwą piramidę chciwości i najgłębszych uraz, osłodzonych tylko nadzieją późniejszego odwetu. Tak krzykliwe i żądne krwi wojsko, najeżone lancami, widłami i bronią wszelkiego rodzaju (wśród której nie brakowało drągów, kamieni i skrajnej głupoty), naznaczyło sobie spotkanie na linii rozgraniczającej oba państwa i tam puściło luzno wodze wszelkim gwałtom i najdzikszeemu okrucieństwu, których ofiarą padali nieszczęśliwi mieszkańcy tych okolic. Czasem dlatego, że stanowili łatwą zdobycz, kiedy indziej dlatego, że popychała ich gnając z jednego na drugi kraniec linii, własna rozjuszona furia.

Oceniane z prywatnej komnaty Mohla to stado bestii bardziej skłaniało do pogardy (a nawet do śmiechu) niż do zadrażnień honoru czy impulsów bojowych. Tak ja przynajmniej myślałem. Ale tak nie myślał mój pan – więcej w nim było doświadczenia i więcej mądrości.

Zaledwie następny przedstawiciel „stróży garnków” przyniósł na zamek wiadomość o nowych nadużyciach, porażkach i wszelkiego rodzaju wykroczeniach, oblicze Mohla (ostatnio melancholijne i zamyślane) ożywiło się nagle i przebiegł przez nie płomień (który zaiste nic dobrego nie wróżył).

Zebrał swoich rycerzy, wodzów i żołnierzy, wszystkich swoich

najpoważniejszych wojowników. I po chwili milczącego namysłu oświadczył:

– Pora oczyścić naszą granicę z robactwa stepowego. Toteż jutro o świcie wyjdziemy na ich spotkanie.

Wiatr unosił piasek z wydm nad Wielką Rzeką, obsypując łąki i pastwiska, sprzyjając w ten sposób zamiarowi mego pana, by zaskoczył tamtych. Pośród brunatnych tumanów ledwie można było dostrzeże krańce równiny, gdzie rozgrywały się tak różnorodne zatargi i rosła pożądliwość łupu.

Przybrany w hełm, drucianą koszulkę i pancerz, w czapie z lisów, których czarne ogony kołysał brunatny wiatr z wydm, baron siedział dumnie wyprostowany a swym koniu. Jego tarcza, wypolerowana piaskiem Wielkiej Rzeki, błyszcząca wyraźna jak księżyc pośród furii słońca. Patrząc na niego pomyślałem, że nawet Wielki Król – równie widmowy, jak wzbudzający postrach – nie dałby oczom swego wojska tak uroczystego widowiska wojny.

Mieliśmy ruszać, kiedy strażnik z wieży dostrzegł konia w szaleńczym galopie w kierunku zamku. Ale nie był to wróg – przeciwnie, szukał schronienia za murami i niósł na grzbiecie maleńką i zmaltretowaną postać mnicha. Zakonnik upadł na kolana przed Mohlem i piskliwym, rozpaczliwym głosem zdał sprawę z licznych i przerażających nowin, jakie zmusiły go do stawienia się w tym żalonym stanie przed obliczem tak godnego rycerza. Rozwścieczona tłuszcza wątpliwych krewnych Laszka, jak powiadał, napadła na jego klasztor w tak nieszczęśliwym momencie dla jego mieszkańców, że zaskoczyli ich w czasie modlitwy i absolutnie nieprzygotowanych. Ograbili ich, po czym urządzili w tym świątobliwym miejscu straszliwą rzeź, dochodząc do szczytów bluźnierstwa i świętokradztwa.

– To nie są chrześcijanie, panie mój, choć ich dotychczas udawali –

jęczał strwożony mnich. – Przychodzą z piekła, tam, na wschodzie. Czarni jeźdźcy Szatana, świętokradcy i bluźniercy. Ukrzyżowali naszego starego opata i kilku księży, bez żadnego porządku i hierarchii, to znaczy biorąc pierwszych z brzegu. I nie czyniąc między nimi żadnej różnicy, oślepił i przywiązał do kieratu jednych, wrzucił do studni innych, powiesił na drzewie tego, którego obrabowali, i tak dalej, ile śmie ogarnąć wyobraźnia. I nie zapomnieli splądrować świątyni ani zabrać naczyń ze złota i srebra, któreście w waszej szczodrości ofiarowali, nie mówiąc już o tym, że obcięli głowę i skrzydła Białemu Aniołowi i wzniesli na jego miejsce posąg Księcia Ciemności, tego skręconego w kłębek i ponizonego pod stopą słodkiego kamiennego symbolu!

Doszedłszy do tego punktu swego opowiadania musiał się zatrzymać, bo zabrakło mu tchu, i w przerwie miałem sposobność wyobrazić sobie zgrozę, jaką musiało to wzbudzić w prawowitym krewnym hrabiego, zmuszonym rozwijać swoje znikome zapały bojowe w cieniu takiego emblematu. Ale już mnich nabrał dostatecznego rozpędu i zajął moją uwagę dalszym ciągiem swego opowiadania.

– Zrobili sobie pośmiewisko z naszej wiary, praw, świętości, jednym słowem, z całej naszej wspólnoty. Tylko dzięki memu małemu wzrostowi, chudości i niepozorności mojej osoby zdołałem się wymknąć spośród straszliwego tumultu, jaki nastąpił po pożarze, orgii i rozpasaniu tej hordy szaleńców. Bo wiedźcie także, że wykończyli nasze wino, wlewając je prosto z baryłek i bukłaków do swoich gardzieli. Nie zostawili ani jednej kropli! I upewniam was że na własne oczy widziałem wino tryskające z ich nosów i uszu jak ponura fontanna, tak że już nie wiem, co było straszniejsze: czy patrzeć na te żalosne fontanny ludzkie, czy słuchać ryków, jakie wydawali podczas libacji! I to jeszcze nie wszystko, bo w końcu...

W tym punkcie jego opisów Baron najwidoczniej uznał, że jest

dostatecznie poinformowany, bo rozkazał, by w jakikolwiek sposób przerwano potok wymowy nieszczęśnika. Dwóch żołnierzy zatkało mu usta dość energicznie i w tym stanie musieli go wyprowadzić (jeszcze wymachującego rękami i nogami w patetycznym wysiłku opisanego bezceństw, jakich nigdy nie widziały i nie słyszały jego – aż dotychczas – niewinne oczy i uszy).

Klasztor ten został zbudowany przez dziadka mojego pana i szczerze wyposażony jego dotacjami. Obecny opat był kuzynem Mohla, dlatego też – choć w gruncie rzeczy stosunki między nimi były raczej napięte – zniewaga okazywała się tak wielka, że nigdy, nawet w trakcie najdzikszych majaczeń, nie śniła by się nieszczęsnemu Laszko (skądinąd już obojętnemu na te kwestie).

Wkrótce, pomieszany z piaskiem wydm, przyniósł wiatr ostry swąd spalonego drzewa, odzieży i ciała. A z nim razem powróciły – i musiałem je tłumić jak mogłem – dawne mdłości.

Wtedy Baron zwrócił się do mnie:

– Weź twego konia, broń i uprzęż, bo od tej chwili mianuję cię moim giermkim.

– Nie mam już konia, panie – szepnąłem.

Utkwił we mnie oczy i jakbym uczył dwa przeszywające mnie sztylety.

– Co z nim zrobiłeś?

– Odszedł za człowiekiem, który mi go niegdyś darował.

Wtedy Mohl rozkazał, aby dano mi konia, na którego sam widok zadrałem. Bo ten biały rumak (przez nikogo innego dotychczas nie dosiadany), należał przedtem do mojej ukochanej ludożerczym.

– Twój jest – powiedział Baron z dziwną łagodnością. – Był twój i twoim będzie na zawsze.

Milczenie obsypane czarnymi punkcikami zapadło między nas i objęło wydmy i łąki, które zdawały się drzeć, poczerwieniałe od wiatru i pożogi.

Mohl dodał:

– Ufam prostocie twego ducha bardziej niż czemukolwiek innemu. Więcej dla mnie jest warta niż spryt, a nawet męstwo innego, bardziej doświadczonego w tych walkach. Ty nie kochasz ani nienawidzisz, mój dziki giermku, może kierować tobą tylko dziwne szafowanie dobrem i złem, między którymi tak osobliwie wybierasz (i nawet czasem się mylisz). Pamiętaj: nie oddalaj się ode mnie, czuwaj, jeśli stracę broń, spadnę z konia lub kiedy munie ranią, bo chcę, żeby tylko twoje ręce przywracały te rzeczy na ich właściwe miejsce.

Skinąłem głową potwierdzająco, niezdolny wymówić słowa. Czułem, że wargi mam zdrętwiałe z zimna, tego samego, które w dzieciństwie w czasie chłódów otaczało je sinym kręgiem. Teraz ta niezdolność mowy nie była wywołana tą zastygłą ciszą, która, jak słyszałem, poprzedza bitwę, lecz wspomnieniem, które ożyło aż do halucynacji, wspomnieniem pewnego strzępu czerwonych włosów, na szczycie wieży, obok szubienic, i jeszcze innego, który palił się w ogniu rozżarzonego do białości ludzkiego drzewa. Oba syczały i płonęły wewnątrz mojej pamięci.

Znad brzegów Wielkiej Rzeki przy płynęła pośród wiatru i piasku czarna, posępna chmura i owinęła nas cuchnącą wonią śmierci. Mohl przesunął dłoń w czarnej rękawicy po drżącej szyi swego ukochanego Hala, z tą węzową słodyczą, z jaką zapewne gładził wzrastającą burzę swego gniewu. Wreszcie wybuchnął:

– Stepowa hordo, bando głodomorów, niedobite resztki potomka piekieł!

Głos jego nie był głosem, ale rykiem. I nie przesadzam w tym określeniu (przeciwnie, uważam je za zbyt skromne), jak mogłyby świadczyć dreszcz i mrozące krew w żyłach rzenie, jakie wstrząsnęło ciałem dzielnego zwierzęcia dźwigającego na grzbiecie gniew i osobę mego pana (co w rzeczywistości było jedną substancją). A jeśli ryk ten

omal nie przyprawił o szaleństwo mężnego Hala, cóż mówić o echu, jakim rozległ się w pozostałych istotach gatunku ludzkiego czy zwierzęcego, które otaczały mego pana.

Ujarzmiwszy Hala, Mohl ciągnął dalej tonem trochę mniej zagrażającym sprawie jego utrzymania się na koniu.

– Zdewastowane szczątki pozostałe po najcięższej klęsce, poronione płody przeklętej ziemi stepowej, głupota cwałująca na grzbietach zwierząt o wiele wyższej niż wasza rangi świadczy o tym, jakiej matki jesteście synami! Na mój honor przysięgam, iż ten, który nigdy się nie zniżył do zbrojnego spotkania z taką kupą ścierwa i gnoju, w dniu dzisiejszym przesunął granice swej szlachetnej pogardy! I pomimo odrazy, jaką napęlnia mnie samo zetknięcie – nie z waszą bezzębną bronią ani waszą zwierzęcą chytrą – lecz z waszym ohydny smrodem; skoczę na was wraz z moim szlachetnym Halem (nad którego losem ubolewam) tratując, póki nie usłyszę, jak gruchoczą wasze zakute czaszki miażdżone jego kopytami!

W tym momencie wyładowania swych naturalnych skłonności (tak długo hamowanych) nie mógł najwidoczniej uniknąć chęci dodania większego jeszcze efektu i blasku swym słowom, tak że gwałtowność i brutalność, które w nim tkwiły i które dotychczas dostrzegaliśmy tylko przez szparę, kazały mu wypowiedzieć ostatnie i najdźwięczniejsze wyzwanie wojenne:

– Przysięgam w obecności mego szlachetnego rycerstwa i walecznych żołnierzy, że Mohl rozniesie szczątki tak odrażającego ścierwa po najdalszych zakątkach pamięci waszych synów (jeśli któryś ujdzie z życiem, by ich spłodzić). I wzywam tak szlachetnych wojowników na świadków tego, co mówię, żądając uroczystego przyrzeczenia, by, jeśli nie zdołam spełnić mych zamiarów, wrzucili mnie do rowu pełnego węży, bez broni i nie okrytego niczym prócz mego poniżenia i ich wzgardy.



To powiedziawszy, równie nagle, jak się rozjuszył, zdawał się wracać do zwykłego opanowania. Ze spokojem już niezmaconym rozejrzał się wokół siebie i rzekł:

– Aczkolwiek, rzecz jasna, nie będzie to potrzebne.

Zapewnienie, do którego nikt nie dopuścił żadnych wątpliwości.

Na Wielkiej Rzece w strefie najbliższej zamkowi ojciec mego pana kazał zbudować most, którym nikomu nie było wolno przechodzić bez specjalnego pozwolenia. Trochę dalej jednak na północ istniała prymitywna kładka z pni i trzciny, którą co roku zrywał napór wody w porze roztopów. Dla wieśniaków było to jedyne dojście do pastwisk i z powrotem. Po każdym zniszczeniu na wiosnę odbudowywali kładkę na nowo, ale tej wiosny nie zdążyli jeszcze tego zrobić i wielka ich ciżba spotkała się z nami na moście zamkowym. Biegli na zamek, by połączyć się z wojskiem, bo o ile nikt nie żądał od nich tej służby w okresach pokoju, to w czasie niebezpieczeństwa każdy mężczyzna mający konia, broń czy narzędzie, które za broń mogło służyć (od siekiery drwała do noża garbarskiego), miał obowiązek stawić się w forticy, na wypadek gdyby Baron potrzebował jego usług (i jego życia, ma się rozumieć). Ledwie weszliśmy na łąki przybrzeżne, wiatr przycichł, zmienił się w lekki powiew, ustał deszcz piasku i spalonych szczątków i blade słońce przedarło się przez mgły. Wtedy zapaliła się świeżo narodzona zieleń wysokich traw, tak że w niektórych miejscach wydawała się niebieska. Kołysała się trawa w rześkim podmuchu, falując łagodnie, i wydało mi się, że rozpoznaję morze, chociaż nigdy go nie widziałem, w tym wietrze, barwie i falowaniu traw. I w tym morzu (które znikło i odrodziło się jednocześnie) zapłonęła gwałtowność w głębinach mej duszy. Zerwała się jakaś pasja, żąda krwi i popędziłem mego konia tak, aby się znaleźć jak najbliżej mego pana, pogrążony na nowo w tym starym winie, cierpkim z niedojrzałych gron, gdzie pływały maleńkie ścięte głowy – niby

czarnoniebieskie grona morw.

Drugi raz tego dnia miałem sposobność poznać rozpętaną furię, jaką krył w sobie mój pan, baron Mohl. A tym samym sztuczność jego zwykłej powściągliwości. Jednocześnie musiałem podziwiać siłę woli tego, który przez tyle czasu umiał taką furie hamować.

Bo jak sto i jeden okrzyków wojennych było nie tylko jego ciało, jego lanca i koń, ale także ziemia pod kopytami Hala, błoto zmieszane z krwią, w którym grzęzły jego nogi, wiatr rozwiewający jego grzywę, włosy Mohla i czarne ogony jego lisiej czapy. Cała furia ziemi była jego furie i nie znajdowała dość żeru do nasycenia sfory psów, która zamieniała jego ciało i duszę w jedną trawicą je gorączkę: głód i pragnienie krwi torturowały go, a zarazem dostarczały sił do życia od najdalszych jego początków. Włókł za sobą mój pan to pragnienie i ten głód, nigdy nie widząc ich nasycenia. Ale nie było w nim ani śladu nienawiści.

Gdy widziałem, jak naciera Ze wszystkimi swymi ludźmi na rozproszone wojsko nieprzyjacielskie bez chwili przerwy i zastanowienia, rozwiało się nagle moje złudzenie tego, co miałem za odwagę i co wysoko ceniłem (zarówno w innych jak i w sobie), zrozumiałem bowiem, że za nią kryje się tylko największe na ziemi zaślepienie i bezrozumność. Czarny i wysoki pośród okrzyków swych ludzi, Mohl przesywał ciała swą włócznią i radośnie biegł ku tym, którzy z jeszcze większą furie wychodzili mu naprzeciw. W ten sposób jedni i drudzy siekli mieczami i przygwałdzali do ziemi ludzi i zwierzęta. I patrząc na tę furie bez chwały, honoru i piękna, pomyślałem, że wszyscy na równi przekraczają granice nienawiści. Bo nie wystarczyłaby nienawiść całego świata, by zmieścić w sobie wiatr, głód i pragnienie, równie stare, jak nienasycone. „Nienawiść – myślałem – jest rzeczą ludzi: wojownicy – którzy w godzinie bitwy

nigdy nie są ludźmi – żyją ponad nienawiścią”.

Na północ od łąki zapaliła się część lasu. Niebo przybrało kolor malwy i wiatr niósł ponad naszymi głowami nieskończone mnóstwo iskierek. Deszcz popiołu zdawał się nas zatapiać i rozżarzać, potem wiatr obrócił się jak olbrzymie koło kieratu i poniosł swoje zgliszcza śmierci w inną stronę świata.

Po bitwie okrążyłem pobojuwisko jadąc w ślad za moim panem. Gęsty słodkawy zapach połączony z wonią płonącego drzewa i popiołu wydobywał się z ziemi. Mohl jechał naprzód wśród milczenia poległych; spokojny, wyniosły i sztywny patrzył na nich tak, jak rolnik patrzy na plon swego siewu, bo innego, jak się zdawało, nie znał ani dać nie mógł.

Tu i ówdzie wlokły się dymy, płonęły jeszcze zgliszcza i powrócił dobrze znany swąd palonego ciała. Z zaciśniętymi zębami przebyłem jego strefę, powstrzymując mdłości, nigdy nie zapomniane. (Czarna i tłusta plama na ziemi, cisza podobna tej, którą deptaliśmy razem, mój pan i ja). Pan śmierci zbryzgany krwią, Mohl obwoził ciemną chwałę wojny tam, gdzie krótko przedtem próbowała wypuścić kielki rodząca się wiosna. I nagle, widząc przed sobą sylwetkę mego pana i jego dumną pogardę dla żywych i zmarłych, przypomniałem sobie mego ojca z podniesioną laską, objeżdżającego winnicę na plecach swych garbusów. Przez chwilę bałem się, że tak samo jak tamten biedny starzec Mohl wybuchnie śmiechem albo dziecinnym płaczem bez najmniejszego sensu. Ale inne wspomnienie wymazało ten niepokojący i paradoksalny obraz: bezbrzeżna rozpacz mego pana w chwili, gdy składał sokoła na moim ramieniu: ptaka czy przyjaciela, czy wspomnienie, którego nie był zdolny odzyskać, mówiąc, że świat i król w nim tylko mają siedzibę. „Hordy konne” – zdawało mi się, że słyszę. „Plugawa rasa, zwierzęta na koniu!”

Potem Mohl zwrócił się do mnie i usłyszałem wyraźnie jego głos, choć wargi pozostały zamknięte.

– Królestwo wędrujące, kiedy znajdziesz...?

Pędził ku nam w szaleńczym galopie koń z grzywą w płomieniach: tak biały w grozie ognia, że prawie zdawał się przezroczysty. Hal, koń czarny, stanął dęba rżąc z przerażeniem, jakiego nigdy nie okazywał. Pod twardą ręką, która nim kierowała, opadł na przednie nogi i tak galopowaliśmy razem na wietrze chłostani biczem popiołów, które nie wiem, czy miały w sobie ciepło ognia, czy krwi: czułem, jak ześlizgują się, lepkie, po mojej twarzy.

Jeszcze nim wiosna zdołała zawładnąć ziemią, ustały walki. Wycofały się zdewastowane oddziały nieprzyjacielskie, skończyła się pożoga i śmierć. Wieśniacy powrócili na swoje pola, powoli i z rezygnacją, jak bardzo stare i bardzo znużone zwierzęta.

Zanim trawa zafalowała na łąkach, wielu ludzi Mohla straciło życie. Na próżno jednak szukałem pośród poległych trzech dzikich i bardzo odważnych wojowników. Po każdej bitwie, zawsze na czele, okryci błotem i krwią, ukazywali się na nowo moim Oczom.

Wiatr rozproszył i ostudził popioły spalonego lasu. Stada dzikich ptaków zaciemniły niebo i pierwsze liście na drzewach wypuściły pączki. Wiele krzyżów wzniesiono tu i ówdzie i pewne kamienie, pokryte tajemniczymi znakami, znaczyły szlak jakiejś śmierci, cichej i wkrótce zapomnianej.

Wraz z ciepłem słonecznym wrócił spokój na zamku. W pobliżu rzeki, na wzgórzu zakwitły drzewa wiśniowe. Czasem kłusowałem w tę stronę na koniu mojej pani i potem wyciągałem się na trawie w cieniu białych gałęzi w poszukiwaniu części samotności. Rzadko jednak ją znajdowałem, gdyż trzej jeźdźcy dostrzegali mnie prędko i zmuszali do ucieczki.

Zwiększały się moje obowiązki przy Baronie. I dzień po dniu przykuwały mnie do jego stołu, do siodła jego konia, do jego libacji, jego samotnych rozmów z samym sobą i jego milczeń z oczyma utkwionymi w nicość, uwięzionymi jak nieostrożne motyle w zielonych szybach okien jego komnaty.

Zbliżała się Wielkanoc. I pewnego wieczora podczas gdy podawałem mu serwetkę, by w nią wytarł palce, powiedział do mnie, tak że wszyscy usłyszeli, a zwłaszcza moi bracia:

– Postanowiłem, że uroczystość twego pasowania odbędzie się w dzień Zielonych Świąt. Jeszcze nie mogłeś stoczyć prawdziwej walki, ale widziałem twoje zachowanie w ostatnich bitwach i uważam, że nikt bardziej od ciebie nie zasługuje na to publiczne uznanie.

Słyszając to moi bracia nie mogli się już powstrzymać. Najstarszy wstał z pięścią zaciśniętą na rękojeści swego miecza:

– Panie mój, są jeszcze inni na zamku, którzy zasługują na pewne uznanie za swoje męstwo, swoją wierność, swoje pełne oddanie waszym herbom.

Jego głos brzmiał cicho i niewyraźnie, tak jakby nie wychodził z gardła ludzkiego, lecz z jakiejś przepaści.

– Siadaj – było całą odpowiedzią Barona na to zuchwalstwo, podczas gdy wycierał starannie palce.

Mój brat usłuchał. Lecz tak powoli i niechętnie, że przez chwilę bałem się, iż wybuchną w końcu tak liczne urazy gromadzące się przez tyle lat wiernej i pokornej służby. Ale zarówno najstarszy, jak i dwaj młodszy umieli się pohamować i pozostać cierpliwi i ulegli. Szkoła, w jakiej się wykształcili, nie pozwoliłaby na inną postawę, gdyż nie było w ich egzystencji i sposobie pojmowania życia innego wyboru niż między cierpliwością i nędzą lub śmiercią.

Te rzeczy (i wiele innych) mogę teraz powiedzieć sobie spokojnie, ale

wtedy było inaczej. Nie czułem dla moich braci ani miłości, ani nienawiści. Wobec nich ogarniał mnie tylko chłód wilgotny i skryty (podobny do strachu jak kropla wody do innej kropli). Ostatecznie gorsze rzeczy niż ich bicie miałem sposobność poznać w życiu i żywiłem podejrzenie, niepokój czy lęk, że coś gorszego jeszcze może mnie spotkać niż ból, jaki spotkał mnie od nich. Prawdą jest też, że niesprawiedliwość równie brutalna, jak gorsząca pełzała wokół wszystkiego, czego dotykali. Jej piętno malowało się na ich twarzach i było dla mnie ukłuciem sumienia. Bo jeśli oni niesprawiedliwie obchodzili się ze mną, niesprawiedliwie z nimi obchodził się świat i wszystko, co w nim się mieści. Toteż, choć wtedy nie zdawałem sobie jasno z tego sprawy, wszystko to wytwarzało i sączyło w moją duszę zatruty jad.

Tego wieczora Baron przedłużył swe libacje bardziej niż zazwyczaj. Gdy skończyło się wino w kredensie przy sali bankietów, posłał mnie na dół i kazał piwniczemu przysłać jedną z baryłek najstarszego wina z winnic mego ojca, tych, które ze względu na ich starość i wytworną jakość zachowano na największe uroczystości i święta.

Wszystkich zdziwiła ta rozrzutność – czy przynajmniej naruszenie obyczajów i tradycji zamku – gdyż była to rzecz sama przez się niezwykła, a tym bardziej nie do przewidzenia w człowieku pokroju Mohla. Zdziwienie to jednak bynajmniej nie było przykre dla biesiadników, wręcz przeciwnie.

Pijatyka i jej skutki (pijaństwo nie ożywia umysłu ani nie rozjaśnia myśli, ani nie krzepi ducha) przedłużyły się jeszcze długo po północy. Rozmowy rycerzy, giermków i wszystkich biesiadników były już nie do zrozumienia, kiedy mój pan (który, choć był pijany, trzymał się sztywno i poprawnie, bo tylko powolność, z jaką formułował słowa, zdradzała olbrzymią ilość wchłoniętego wina) kazał mi raz jeszcze napełnić swój puchar. Usłuchałem i wtedy uchwycił mnie za przegub ręki z taką siłą, że

musiałem stłumić okrzyk. Nie uważam się za słabowitego ani lęklivego, lecz mogę upewnić, że nawet najokrutniejsze kajdany nie wywołałyby we mnie takiego bólu i strachu. Nigdy przedtem jego skóra nie otarła się o moją skórę (przynajmniej umyślnie) i ten pierwszy kontakt wydał mi się bardzo mało przyjemny.

Chociaż mówił z pewnym wysiłkiem, jego słowa były bardzo trzeźwe i jasne, tak że zrozumiałem je od razu:

– Gdy już będziesz pasowany na rycerza, stoczysz piękną walkę, w której jako przeciwników wybrałem twoich braci. Powalisz ich na ziemię i będziesz mógł rozporządzać ich życiem, jak ci się spodoba, i mam nadzieję, że ich zabijesz, jednego po drugim. Potem zawieszisz na zawsze miecz u pasa, będziesz walczył u mego boku i nigdy więcej nie będziesz mi służył przy stole. Przeciwnie, zawsze będziesz siedział po mojej prawej stronie. I tego miejsca, które ci wskazuję, nie odbierze ci nawet sam Król (jeśli przypomni sobie o nas i przybędzie tutaj). A teraz zjedź znowu do piwnicy i rozkaż przynieść jeszcze jedną beczkę.

Powiedział to wszystko powoli, z tą samą dokładnością, z jaką wydawał polecenia dotyczące swojej odzieży, swojej broni czy potrawy, na jaką miał apetyt. Niespokojnie spojrzałem w stronę miejsca, gdzie zwykli zasiadać moi bracia. Nie było ich tam i przypuszczałem, że zaczęli się gdzieś w piwnicy czy za kotarą lub parawanem, by rzucić się na mnie i obsypać do woli osobliwymi dowodami swego afektu. Nie mogłem zwlekać z wypełnieniem rozkazu mego pana, toteż skierowałem kroki do wyjścia. Ale tym razem oczekiwałem napaści i kiedy skoczyli na mnie w ciemnym korytarzu, niełatwo im było mnie przytrzymać. Broniłem się jak mogłem, pięściami i zębami. I podczas gdy ślepo wyładowywałem moją furję, przyszły mi na myśl projekty mego pana. Widząc, że sam i bezbronny mogę jeszcze z takim impetem odpiierać ciosy i furję wszystkich trzech – a wiadomo, że niełatwo łamali się w walce – uczułem gwałtowny

przyływ próżności: „Siły mi nie brak – myślałem – i jeśli zechcę, nikt nie będzie mógł mnie unicestwić ani pokonać nigdy”. Z tą myślą podwoilem wrodzoną drapieżność i gdyby mój najstarszy brat nie oparł w tej chwili ostrza swego sztyletu na moim gardle, być może wynik tak nierównej walki miałby zupełnie inny koniec.

Ujrzałem trzy wykrzywione nienawiścią twarze nad moją i uczułem dotykające mego gardła cienkie ostrze, rozluźniłem więc mięśnie i czekałem dysząc jak pies. I wtedy ogarnęła mnie wielka gorycz na myśl, że jest w świecie czy w ludziach coś, co wydziela dość trucizny, by zatruć rzeczy najczystsze i może nawet najpiękniejsze: jaką mogłaby być na przykład miłość między braćmi.

– Słuchaj mnie dobrze, wyrodku spłodzony ze starczej rozpusty. – Mój brat cedził swoje słowa wypływające z nienawiści tak dojrzałej, że wydawały się niemal pieszczotliwe. – Nie stawaj nam więcej na drodze, zostaw ten zamek i opuść Barona, nim zarzniemy cię jak wieprza. Bądź pewien, że jeśli tego nie uczynisz, śmierć, jaką ci zadamy, będzie gorsza od tej, jaką poniósł twój poprzednik: bo muzyką harf niebiańskich wyda się konanie tamtego nieszczęśnika w porównaniu z tym, co cię czeka z naszej ręki.

W tej chwili coś błysnęło tuż przy moich oczach: na wskazującym palcu włochatej ręki, która opierała sztylet na moim gardle, zobaczyłem niezwykle pierścień. Był z czarnego żelaza, prostackiej roboty, ale w środku błyszcząły dwa wielkie kamienie, niemal oślepiające swą bielą, ostre i smukłe jak maleńkie puginały. Dreszcz wstrząsnął całą moją istotą w chwili, gdy szepnąłem:

– Bracie, skąd wziąłeś kamienie do tego pierścienia? Czyjemu uśmiechowi... komu je wyrwałś?

Ręka trzymająca sztylet cofnęła się gwałtownie, jak ukąszona. Wszyscy trzej odsunęli się i zobaczyłem, że każdy z dwóch pozostałych



ukrył za plecami prawą rękę, z czego wywnioskowałem, że obydwaj mają na wskazującym palcu takie same ponure klejnoty.

– Precz, przekłęci! – krzyknąłem zdjęty grozą. – Wracajcie do piekła, skąd wyszliście!

Nigdy tak nie mówiłem, a słysząc podobne wyrażenia z ust moich towarzyszy uważałem je za naiwne. W tym momencie jednak rozumiałem, że słowa te rodzą się z jakiejś jasnowidzącej grozy, która w końcu powaliła mnie na ziemię. Na próżno usiłowałem czepiać się murów obiema rękami, ześlizgiwały się, bezsilne, po kamieniach. A mimo to, choć nie miałem broni i w tak sprzyjających im okolicznościach, zamiast mnie zamordować, moi bracia cofnęli się. Spoglądali jeden na drugiego z ponurym współnictwem zwierząt, które wzrokiem wzajemnie pytają się o zdanie przed ucieczką albo atakiem. I pojąłem, dlaczego ich oblicza zawsze przypominały mi spojrzenie wilków wynędzniałych w zimie, przygotowanych na najstraszliwszą rzeź, byle nasycić swój głód. Nagle, w niemy porozumieniu, moi bracia znikli w ciemności i wkrótce usłyszałem galop ich oddalających się koni.

Powoli dźwignąłem się z podłogi. Chłodna wilgoć okrywała moje ręce, szyję i czoło. Ze straszliwą dokładnością powrócił na pamięć moment, w którym trzech młodzi i bardzo waleczni rycerze skoczyli pewnego dnia w przekłete rozlewisko, tam gdzie wody najbardziej były zdradliwe, i wyłowili z rzeki zwłoki Baronowej. Byli najgorliwsi ze wszystkich, pierwsi, gdy trzeba było biec na niebezpieczne miejsce, ostatni przy stole i w objawach życzliwości i byli niewątpliwie moimi braćmi. W tym punkcie myśli musiałem przycisnąć pięścią oczy i usta i odpędzić, jak stado złowróbnych ptaków, wizję trzech wojowników niejasno skojarzoną z uśmiechem olśniewających zębów, ostrych i drobnych, które przebiegały i gryzły moją skórę nieświadomego chłopca. Uczułem smak krwi czerwonej i świeżej i powróciły, przenikając mnie na wskroś,

noce mojej umiłowanej ludożerczym, gdy przybiegała, by wyrwać mnie ze snu i niewinności. W tych wspomnieniach, żywych jak rana w moich wnętrznościach, było także zazdrosne i chciwe spojrzenie moich braci, owe momenty, kiedy je odkrywałem, hamowane, jak sokół tłumiący jakieś dzikie pragnienie, obojętną pogardą mojej pani. I znów przypłynęły do mej krwi ciemne źródła rozkoszy i trwogi, wlokąc z sobą daremną tęsknotę za nią i jej nocami: bo te świeciły teraz pośród wilgotnych kamieni (tam gdzie chcieli mnie zabić moi bracia) jak świetliki lub zbląkane gwiazdy w najczarniejszej nieobecności. I pomimo strachu, jaki mną owładnął, jedna prawda otworzyła sobie drogę w tak gorączkowym i posępnym blasku: bo jak biały żagiel pośród mgieł nocy, jak wojownik, który niszczy i zabija daleko poza nienawiścią, biło skrzydłami to słowo – jeszcze bardziej ślepe – które ludzie zwą miłością.

Gdy wreszcie powróciłem do sali bankietów, głowa mego pana leżała już na stole w kałuży wina. Niby fałszywa krew, wino wsiąkało w białe korzenie jego skroni, ale wiedziałem, że płynie w nich także jakaś krew prawdziwa, bo po raz pierwszy wydał mi się człowiekiem starym i boleśnie zranionym.

Powiodłem oczyma po sali: bezsilnie powalone ciała tych ludzi, tak męźnych i nieulekłych, leżały jak bezkształtne bryły. Jedni chrapali, inni zdawali się martwi pod ławkami albo jak połamani, pogruchetani na stole. Ogień umierał pod zwęglonymi polanami. W czerwonym blasku wykrzywiały się twarze i zginały się szyje, przybierając znamiona najbardziej groteskowej śmierci. Kilku paziów i giermków ślaniających się ze znużenia, usiłowało zataszczyć swoich rycerzy do sypialń. Ortwin powiedział mi wtedy, że pora odnieść Barona do łóżka, i w tej samej chwili dostrzegłem jakiś przedmiot pod krzesłem mego pana. Schyliłem się, by go podnieść: była to jedna z jego czarnych rękawic ułożona w gest ręki, wzywający mnie w stronę Wielkiej Rzeki; zachowała w sobie okrutną

dzikość jego pięści z tego dnia, gdy pochwycił włócznię, by wbić ją w usta ognistowłosego chłopca, lub impet, który go popychał, kiedy pośród ciszy śnieżnej przebił ciało Lalszka. Wpuściłem z rąk tę rękawicę, jak gada gotowego mnie ukąsić. I wiedziałem, że w tym czarnym wezwaniu i czarnej pięści, która tak straszne umiała zadawać cioisy – że w tym wielkim oślepieniu, krótko mówiąc – także płonęło i pożerało mego pana słowo miłość. Nie mogłem dłużej pohamować wstrętu i zamiast pomóc Ortwinowi, jak powinienem, uciekłem ścigany przez niewidzialną, lecz ujarzmiającą armię: armię złożoną z oczu błagalnych i dzikich, z pierścieni połyskujących uśmiechem ludożerczym i ze strzępów rudych włosów, już to kołyszących się na wietrze, już to pożeranych ogniem gorejącego drzewa ludzkiego.

## IX. TUŁACZE

Kiedy znalazłem się wreszcie pod niebem nocy, owiał mnie łagodny wiatr. Piłem go chciwie i myślałem, że zbyt wielkie i zbyt dawne jest moje znużenie, by zmieścić się w tak krótkim życiu. Potem wydało mi się, że wiatr zmiata z mojej skóry i oddala od mego ducha odrazę, lęk i niechęć wywoływane we mnie przez bliskość tych, z którymi wypadało mi dzielić egzystencję. Niby lanca światła czy ognia jakiś promień porze darł się przez ciemności pogrążające moją świadomość gasząc w swym blasku wszelki ślad kapitulacji i zniechęcenia. Wydało mi się, że tylko tutaj, pod niebem młodej wiosny, gdzie dzień powoli zaczynał przyoblekać się w złoto, jakieś inne światło walczyło, by wybuchnąć wewnątrz mnie, że jakaś noc oddala się i umiera, i pozwoliłem owładnąć sobą, nieodwracalnie, nieznanemu słońcu. Potem doznałem wrażenia, że moja natura walczy, by odrodzić się sama z siebie, tak jak młody orzech rozpycha i rozbija starą skorupę, póki nie ukáže światu swej zielonej skóry, W tym momencie zabłyśł jakiś punkt na niebie.

Podniosłem oczy, by zobaczyć, skąd pochodzi tak potężne słońce, i dostrzegłem dziwny blask na blankach baszty strażniczej. Choć wiele razy spoglądałem w stronę tej wieży, nigdy jej nie widziałem tak rozplómięonej. Krew napłynęła w moje żyły z tą samą siłą, z jaką ogień słoneczny szturmuje wody przeciw lodom zimy. I uczułem zapał i pewność siebie tak odmłodzoną, jakiej nie czułem nigdy, jak daleko sięgnę pamięcią, nawet w czasach samotnych galopad mego dzieciństwa.

Pewne jest, że wieża zdawała się jaśnieć sama przez się, wydzielać z siebie to światło zamiast je otrzymywać. Posłuszny dziwnemu, lecz niewątpliwemu nakazowi, podszedłem bliżej, poszukałem wejścia i zacząłem wspinać się po krętych schodkach. Byłem pewien, że na górze

rozbrzmiewa jakiś zew, że ktoś mnie woła. Im wyżej się wspinałem, tym wyraźniej słyszałem to wołanie i cała moja istota odpowiadała i przyjmowała niewidzialną prośbę czy może rozkaz, bo nie mogłem rozróżnić rodzaju wołania. I przy każdym przebytym stopniu czułem się wysłany ku memu prawdziwemu przeznaczeniu, nie mając możliwości zawrócić.

Gdy dosięgłem szczytu i wychyliłem się nad blanki, oślepił mnie blask zorzy. Musiałem zasłonić dłonią oczy i, odkrywszy je na nowo, spostrzegłem przed sobą strażnika patrzącego mi w oczy. Czekał tu na mnie, przybyły z nie wiem jakiego świata ani jakiego czasu.

Był prawie tak młody jak ja, choć blizny i cięcia zniekształcały jego twarz aż do pozorów starości. Za to oczy tak były błyszczące i żywe, że zacząłem się zastanawiać, czy nie znałem go już kiedyś przedtem, choć nie wiedziałem, gdzie i kiedy to być mogło. I tak znajome wydało mi się to spojrzenie, że gotów byłem przypomnieć sobie jego imię, wiek i nawet życie (rzeczy, o których w rzeczywistości nie miałem żadnego pojęcia).

On natomiast nie doznawał chyba podobnych wrażeń, przeciwnie, zdawał się wyraźnie przestraszony. Cofając się w kąt wieży, gdzie leżały porzucone rogi myśliwskie, konchy i wielka trąba strażnika, szepnął:

– Dlaczegoś wszedł tutaj, młody rycerzu?

– Nie jestem rycerzem – odpowiedziałem z gwałtownością, która mnie samego zdumiała. Dostrzegłem bowiem w moich słowach nienawiść zupełnie zbyteczną, bo przeciw nikomu w szczególności nie była skierowana. Przewyciężywszy szorstkość mego tonu, dodałem: – Czekałeś na mnie. Wiem, że w jakiś sposób na mnie czekałeś, bo usłyszałem twoje wezwanie.

– Jakże to możliwe, żebym na ciebie czekał? – szepnął nieufnie.

Stanowisko strażnika na wieży powierzano ludziom najniższej, najpośledniejszej kondycji i prawdę mówiąc bez jakiejś uzasadnionej racji nie przychodzili tu młodzi rycerze ani nikt inny.

– Wiedziałeś to – powtórzyłem, czepiając się moich słów z dziwną rozpaczą. – Wiedziałeś, że tego czy innego dnia tu przyjdę.

– Ja nic nie wiem – zaprzeczył. – Ja tylko czuвам, obserwuję z tej wieży, co się dzieje albo co się stać może tam, w dole. Jestem tym, który ogłasza alarm, niczym więcej.

Ale gdy to mówił, spojrzenie jego oczu zdawało się przeszywać powietrze, zamkniętą skorupę ziemi i skórę nieba. Bo oczy te były jak dwie strzały wypuszczone przez czas i świat w kierunku innego czasu i innego świata, dla mnie niepojętego.

I w ten sposób pojąłem – bo nic i nikt nie zdołały mi odebrać tej pewności – że to, co się ze mną dzieje, odkąd podniosłem wzrok na wieżę, nie jest czymś niezwykłym i nadprzyrodzonym, lecz posłusznym sile naturalnej, choć wyższej ponad zwykłe ludzkie pojęcie. To, co pchnęło mnie ku tym blankom i teraz zatrzymywało, należało do porządku rzeczy, które się działy w tej chwili, a zarazem przedtem, i miały działać się potem, bez dostrzegalnego okiem celu czy przyczyny. Wypisane były bowiem w materii lub czasie, które nic nie miały nierealnego czy pozaziemskiego, lecz pochodziły z mego własnego czasu i materii. Toteż można je było uznać za wizje czy senne rojenia, ale nie były nimi. I zrozumiałem, że nigdy nie był mój umysł tak trzeźwy i jasny.

Nic więcej nie powiedzieliśmy sobie, strażnik i ja, podczas tego pierwszego spotkania. Od tego dnia jednak, ledwie mogłem się wymknąć od służby przy Baronie – gdy ten zasnął – wspinałem się na wieżę. Zazwyczaj działo się to o świcie. Z całą siłą i nadzieją, jaka się we mnie zmieściła, wchodziłem po stopniach wyszczerbionych i tak wąskich, że przy każdym ruchu ocierałem się o mury.

Ta nadzieja – choć nie wiedziałem, czego się spodziewam – płynęła we mnie tak płonącym strumieniem, że nie mogąc pojąć, na czym się wspiera i czemu jest posłuszna, nie wątpiłem, że tam, na szczycie wieży, znajdę pewnego dnia przeznaczenie, za którym tak niejasno tęskniłem i nawet je ściagałem, bo pojmowałem je już jako maksymalną realizację ludzkiej egzystencji.

Tam, na wieży, czułem się wyzwolony od całej nędzy lęków i podejrzeń, osaczających mnie, jak wiedziałem, dzień po dniu. I tak rósł i rozszerzał się nikły dialog rozpoczęty między strażnikiem i mną. Łączyła nas więź coraz mocniejsza i rozumieliśmy się wzajemnie, tak że bardzo niewiele słów nam starczało, by obudzić wzajemne zainteresowanie naszą rozmową. Pewne wspomnienie, jeszcze niejasne dla mnie i dla niego, mazało nas nierozzerwalnie niewidzialnym sznurkiem. I wiedzieliśmy, że pewnego dnia ukaze nam najwyższe stadium natury, do jakiej należymy.

Mówiliśmy o wszystkich rzeczach, jakie widział ze swego stanowiska na wieży. Często zapowiadał mi Wielką Bitwę, ale ta bitwa nie nadchodziła. Wszystko, co ogarniały jego oczy z wysokości, ja powolutku i cierpliwie układałem w pewien porządek – choć tego nie widziałem – w mojej myśli i utrwaląłem w pamięci. Często wszakże zapadałem w grzęzawiska ciemności, które bardzo mi przeszkadzały, i czułem, jak się w nich ślizgam i pogrążam, nie mając za co uchwycić.

Pewnego ranka oznajmił mi w wielkim podnieceniu:

– Widzę cię, jak przybywasz, młody panie. Zbliżasz się drugim brzegiem Wielkiej Rzeki i galopujesz przez łąkę. Widzę też, jak krąży przy tobie rozsierzdony pies i szczerzy zęby. To jest strach i czyha na twego konia, a ty się boisz.

Kiedy indziej słowa te pobudziłyby mnie do gniewu i może kazałyby mi zabić tego, kto je wypowiedział. Ale on był dla mnie zupełnie inny od reszty ludzi. Bo wszystko, co widział, było dla moich oczu i rozumienia

elementami, których brakowało w rozproszonym obrazie moich wątpliwości i całego mego żyda. Chwilami nawet skłonny byłem wierzyć, że jego głos wychodzi z moich ust. I wtedy zamiast znieważonej dumy ogarniał mnie wielki smutek. Wyznałem mu, że ten strach odczuwam od pierwszej chwili, gdy się narodziłem, chociaż nie wiem, czego się boję, życia czy śmierci, świata żywego czy końca tego świata, którego może nienawidziłem.

Oczy strażnika zdawały się roztopiać w zamazanym świetle widnokregu. Zauważyłem jego ogromny wysiłek, żeby coś dostrzec. Wreszcie odezwał się znowu:

– Koniec świata! Widzę ten strach pognębiony i bezsilny. Bo koniec świata, który ja dostrzegam, nie jest dla ciebie triumfem śmierci ani ciemności. I nie jest także zwycięstwem światła.

Te słowa zaniepokoiły mnie. Potrzęsnałem nim gwałtownie, bo kiedy patrzył w dal, zdawał się zanurzony w jakiejś innej atmosferze, poza słowami, poza moją obecnością i nawet poza sobą samym. Zacząłem nawet myśleć, że w tych momentach jakaś siła nadludzka przykuwa go do zębatach murów, zgiętego wpół, ponad pustką, i wyobraziłem sobie, że gdyby własna waga zwyciężyła go i rzuciła na rzeki świtu, żeglując po nich, zniknęłyby z mego życia na zawsze.

– Koniec świata jest triumfem ludzi i zwycięstwem bardziej promiennym niż jakiegokolwiek światła. I to zwycięstwo ogarnia cały wszechświat, jest częścią olbrzymiej sfery, która się nigdy nie zaczyna i nigdy nie kończy. A pośrodku jesteś ty, ciemność pod twymi stopami i nie ma przy tobie śmierci, bo jesteś odwrotnym obrazem świata.

W tym momencie weszło słońce, czerwone i gniewne jak dziki protest. Rozdarło mgły świtu, zawładnęło ziemią, przebudziło ludzi i zwierzęta, zapaliło blask Wielkiej Rzeki i rozproszyło nocną rosę. Znowo zarysowały się drzewa, cienie dalekiego lasu, odległego pastwiska.



Strażnik także powrócił do świata żywego i znanego. Znużonymi ruchami położył się na wznak w swoim kącie przy trąbie alarmowej. Ta zaś, w furii słonecznej, wydała mi się podobna do krwawego jelita, urągającego mi z dzikim sarkazmem, przywracając mi zapalczliwość wojownika i bezsilne okrucieństwo śmierci.

– Co znaczy to, coś mi powiedział? – pytałem doprowadzony do rozpaczcy. – Czy to, że nie umrę, jeżeli tego nie zechcę?

– Ja nic nie wiem – powtórzył znowu, jak tyle razy przedtem, – Nic nie wiem. Mówię tylko, co widzę. Może ty któregoś dnia to zrozumiesz.

– Chciałbym być tym, co ty – jęknąłem zniechęcony. – Tym, który stoi na czatach.

Ale on jeszcze raz powtórzył, że ja mam dar widzenia znacznie jaśniejszego niż on, tak że gdybym wyteżył wzrok w należyty sposób, dostrzegłbym coraz więcej rzeczy i stałbym się sto tysięcy razy bystrzejszy, bardziej przenikliwy i czujny niż ktokolwiek. Bo tak jak on tylko widzi rzeczy, nie rozumiejąc, ja wydobywałbym na wierzch wnętrza tego, co objęłyby moje oczy. I cała moja istota rozwinęłaby się i pomnożyła, i rozproszyła po całej przyrodzie.

Któregoś dnia chłopiec z wieży mówił mi o ziemi dla mnie nie znanej, gdzie, jak przypuszczałem, on się narodził. Toczyły się tam wielkie bitwy, białe konie walczyły z czarnymi, I kiedy jedni bogowie sprzyjali białym, inni chronili czarne. Słuchając tego pogrążyłem się w starym majaku czarnego cienia i białego światła. W mojej własnej walce, nie mającej rozstrzygnięcia.

Kiedy indziej mówił mi, że błądził po wielu drogach i znał wielu różnego rodzaju ludzi, zanim baron Mohl przyjął go do służby. Ale przedtem jeszcze uczestniczył w walkach przeciw konnym ludom stepu,

przeciw tym, którzy schodzili w dół ze swoich płaskowyżów i pustoszyli doliny, grabili i podpalali klasztory, wyrzynali mieszkańców grodów i wsi. Tym ludziom żyjącym na koniu zawdzięczał swe straszliwe blizny. Ze swych wysoko położonych spalonych włości wypełniali powietrze swym wojennym krzykiem. W tym samym czasie inni wojownicy, biali żeglarze żeglujący w niewiadomym kierunku, przyплыwali z Północnego Morza długimi szlakami wodnymi. Śledzili jedni drugich: jeźdźcy biali, jeźdźcy czarni i żeglarze o włosach tak jasnych jak moje. Wreszcie zrywała się jedna i ta sama burza, rozległa walka, w której występowały z brzegów wody i tonęły okręty z oczyma złotego smoka. Żeglarze, pozbawieni ich ochrony, wychodzili na brzegi i wałęsali się pośród brzoź, kradli konie i zabijali jeźdźców: białych i czarnych. Ale przedtem jedni i drudzy napadali na siebie bezustannie i nie było końca tej wojnie. On sam walczył po jednej bądź po drugiej stronie, jak przyszło jurgielnikowi. „Według kierunku wiatru nad wydmami wybierałem jedną albo drugą furję – tłumaczył patrząc na ogromną surmę. – Według tego, dokąd niósł woń krwi z przeciwległego wybrzeża rzeki. Bo ten brzeg (którykolwiek by to był) dla mnie był wtedy brzegiem nieprzyjacielskim”. I tak przechodził, błędząc z jednego brzegu na drugi, aż do dnia kiedy znalazł wieżę strażniczą na tym zamku, gdzie baron Mohl przyjął go do służby i kazał stać na czatach wypatrując dalekiego światła zorzy i ruchów nieprzyjaciela.

Opowiedziawszy mi to wszystko młody strażnik wydawał się bardzo znużony.

– Byłem żebrakiem, rozbójnikiem napadającym na podróżnych, żołnierzem najemnym – mówił. – A także uczniem alchemika. Ale choć wtedy tego nie wiedziałem, zawsze byłem tutaj – wskazał blanki zapalające się w tym momencie. – Dosięgłem tej wieży i nic nie zmusiło mnie, żebym z niej zszedł. Czekam tylko na tego, który zdolny będzie mnie zastąpić i dalej robić to, co ja... Bo na moje nieszczęście przybyłem

tu już bardzo znużony i zbrudzony ziemią. Mój ogień wygasł na popioły rozproszone wszędzie i nie potrafię przeżyć samego siebie.

– Nikt nie potrafi przeżyć siebie – szepnąłem, zarażony jego zniechęceniem.

On potrząsnął głową tym gestem, który nigdy nie wiedziałem, czy był zaprzeczeniem, czy rezygnacją.

– Ten alchemik, któremu służyłem, nie szukał formuły złota, lecz przedłużenia życia. Czegoś, co pozwala człowiekowi zastąpić samego siebie i ukazać swoją własną istotę. Często mówił, że ten, kto to potrafi, nie będzie żył odgradzony od innych ludzi, zamurowany czy ukryty, przeciwnie, będzie dawał się wszystkim szczerze jak deszcz. Ale, młody rycerzu, nie słuchaj tych głupich wspomnień, bo mój stary alchemik nie odkrył tego sekretu i nie znalazł formuły, choć często zdawało mu się, że już ma ją na końcu języka.

Ogarnęło mnie oburzenie, naiwne i niesprawiedliwe.

– Skąd wiesz, głupi żebraku, że tego nie osiągnął?

– Ja nic nie wiem – powtórzył jeszcze raz, chowając się jak ślimak w skorupę. – Opowiadam ci tylko, co pozwalają mi dostrzec moje oczy.

Podniósł się gwałtownie i z wytężeniem wpatrzony w widnokraj zaczął mówić w ten swój dziwny sposób, który zdawał się dalszym ciągiem moich myśli:

– Widzę życie odmienne od tego, jakie znasz ty czy ja czy jakikolwiek człowiek... Widzę, jak się rozciąga i odtwarza w tysiącnych nowych formach: to jest życie poprzednie i to jakie nastąpi po życiu ludzi, ale nie oddalając od siebie ludzi... Wielka Rzeka śący się poprzez wszystkie łożyska i jamy w ziemi, tryska, wysycha i występuje z brzegów, ale nie zatrzymuje się nigdy.

Para sępów przeleciała nad naszymi głowami. Szubienice ustawione były pod blankami wieży i dlatego ptaki te nieustannie krążyły wokół nas.

Szum ich skrzydeł – choć był odgłosem dość dobrze mu znajomym – tym razem wprowadził strażnika w drżenie. Powrócił w kąt, gdzie obok rogów alarmowych sypiał, jadł i żył tak samo jak inne ptaki.

I w tej chwili rozpoznałem go.

– Dlaczego uciekłeś tamtego ranka bez słowa? – zapytałem z wyrzutem, z wielkim smutkiem. – Dałem ci część mego łupu z polowania, a to było wszystkim, co posiadałem. A ty przyrzekłeś walczyć u mego boku.

Ale strażnik potrząsnął głową, jakby nie rozumiał moich słów albo im zaprzeczał.

I w tej chwili, osaczając mnie niewidzialnym kręgiem, usłyszałem kroki i wiedziałem, że krąży wokół mnie milczący świadek tego czasu, który jeszcze dla mnie nie przyszedł, tego czasu, który często czyhał na mnie albo zagrażał mojej egzystencji czasu dokonanego i przyszłego zarazem.

– Wyteż oczy, proszę cię – szepnąłem, podnosząc go z ziemi, tak cicho, że sam ledwie usłyszałem. – Proszę cię, sięgnij wzrokiem najdalej jak możesz i powiedz mi, czy widzisz mój prawdziwy czas.

– Ja nie widzę czasu – zaprzeczył smutnie. – Niekiedy tylko, pod wieczór, udaje mi się dostrzec w dali wspomnienie tego, co ma nastąpić.

„Znam to wspomnienie” – powiedziałem sobie i wydało mi się, że moje serce tłucze o ściany swego zamknięcia gwałtowniej niż podczas walki.

– Słyszysz kroki, strażniku – ostrzegłem go. – Ktoś krąży coraz bliżej, wokół mnie, ale go nie widzę. Nie wiesz, kto to jest?

I wtedy spojrział na mnie tak, jakby strach, niczym niewidzialna strzała, trafił go w samo serce. Słońce krzyknęło na niebie i długi krzyk, czerwony i obelżywy, zalał krwią nasze oczy i musieliśmy je zamknąć.

Nadeszła godzina opuszczenia wieży, bo o tej godzinie powinienem

rozpalić ogień na kąpiel dla hrabi Mohla (Mory był człowiekiem bardzo schludnym i dbałym o siebie).

Schodząc na dół usłyszałem głos strażnika, ostrzegający mnie, abym się miał na bacności, nie słabnął, nie zasypiał ani nie zapominał, bo tylko w ten sposób...

Ale ja już dosięgłem najniższego stopnia schodów i więcej słyszeć nie mogłem.

W kilka dni później zastałem strażnika wpatzonego w niebo. Jeszcze oddychałem ciężko po wejściu na schody, kiedy usłyszałem go:

– Nareszcie zobaczysz Wielką Bitwę. Wyteż wzrok jak możesz, młody rycerzu, próbuj ze wszystkich sił.

Rzuciłem się, aby stanąć obok niego, ze wzrokiem utkwionym w firmament. Noc bladeła już lekko na pograniczu nieba i ziemi. Potężna wola ujrzenia wyostrzyła moje oczy i umysł. Nigdy, nawet w ogniu najcięższej walki, nie wkładałem tyle zapału i starań, by coś osiągnąć. Tak dalece, że mogłem słyszeć, jak rośnie trawa na łące i szmer ukrytych źródełek, ale nic nie widziałem.

Z wolna słowa strażnika stawały się jak srebrzysty deszcz, aż wreszcie moje ciało uwolniło się jakby od swego ciężaru i zobaczyłem zamiast zimnego brzasku pełnię słońca. W ciszy południa przybliżali się ku nam trzej jeźdźcy i widziałem ich coraz wyraźniej, tak że nieomal mogłem rozpoznać ich twarze.

Potem nagle świat zamknął się nade mną i zatonąłem w głębinach największej samotności. W tej pustce rósł mój bolesny niepokój, dawny strach sączył się, wilgotny i lepki, wszystkimi porami skóry. Tak jakby wyrósł z milczenia albo nieobecności mnie samego. Powiedziałem sobie, że jestem zagubiony w ciszy całej ziemi, wszystkich zmarłych i wszystkich bogów zapomnianych. Jak nocne świetliki, zbliżały się w moim kierunku oczy żółtego smoka i tego zaszczutego zwierzęcia, które

wraz z relikwiami świętego Arlona czcił mój ojciec.

Niepostrzeżenie, tak jak noc odrywa się od dnia, oddaliły się ciemności i lęk. I uczułem, że życie odradza się we mnie na nowo, z siłą przewyższającą ze wszech miar tę którą posiadałem dotychczas.

Wielkie przywiązanie do życia odepchnęło bolesne lęki mojej samotności. Nigdy nie doświadczałem posiadania własnego życia aż do tego stopnia i przysiągłem sobie, że poprzez to posiadanie osiągnę pewnego dnia najwyższy stopień mojej egzystencji. I powiedziałem sobie, że może wszyscy ludzie – tak jak wszystkie narody – przynoszą z sobą na świat w chwili narodzin ten obraz siebie samych, choćby nie umieli go bronić, tak jak gotów byłem go bronić ja. To pragnienie już mnie nie opuściło i zszedłem na dół, utwierdzony w niezłomności moich zamiarów. Chroniłem tak mocno wrośniętą we mnie zdolność władzy, że rozgromiłbym całą armię, która chciałaby mi ją odebrać. Przeobrażony, z własnej decyzji, w nieustającego strażnika siebie samego, czułem się jak wieloraki szczebel życia bez granic, wolnego i potężnego, wyzwolonego z nędzy tchórzostwa. I schodząc po stopniach wieży strażniczej myślałem, że świat tam, w dole, wierzy, że się rozwija i postępuje naprzód, gdy naprawdę tkwi w gmatwaniu swoich wahań, nienawiści i nawet miłości. Wiedziałem, że świat chory jest z miłości i nienawiści, że cierpi od dobra i zła, tak że obie drogi krzyżują się i splatają bez wytchnienia i nadziei. „Nigdy więcej nie będę żył w strachu – przyrzekłem sobie. – Nie będę się bał siebie samego czy bogów, których zapomniałem, których znam albo nie znam, ani namiętności, które usychają w poszukiwaniu niemożliwych racji”. Istnieje w moim życiu coś więcej niż ból albo przyjemność, niż radość i płacz, niż wątpliwości, afirmacje i negacja, niż okrucieństwo i miłość. Bo – powiedziałem sobie – te rzeczy płoną barwami jak głupie chorągiewki i wiodą ludzi do grabieży, do niesprawiedliwości i śmierci, choćby szli do tej walki ze łzami bólu i nieskalanym duchem. Świat

nie jest krzykiem wojennym i nie trzeba sięgać po życie poprzez gwałt, krzywdę czy oszustwo, jak to zawsze widziały moje oczy i jak mnie uczyli wszyscy ludzie. Nie może już się opierać na złudzie honoru czy sławy, czy podział dóbr i łań, rozdzielanych jak w nędznym sklepiku. Wynurzałem się z głębi mroku, gdzie chwilami tylko rozbłyskał ją iskierki, prędko zdławione w innych ciemnościach. Z całej siły pragnąłem zarzucić skórę podobnej egzystencji, gdzie tak samo samotali się na jeźdźcy jak ich ofiary, krzywdząc historię ludzi. I powrócił do mnie gwałt popełniony w pewne popołudnie w czasie winobrania, i zrozumiałem apel czy pakt starego bukłaka na wino, szarpanego zębami szczurów i psów (ta skóra, którą dzielą na kawałki chłopcy, by wyrabiać maski do przykrycia twarzy śmierci czy tych nieznośnych rozstań, które nas smucą, poniżają, przyspieszają starość). I zrozumiałem wtedy, że aż do tej pory rosłem ślepy, głuchy i niemy, i zobaczyłem siebie zabłąkanego w pustyni absolutnej samotności i niewiedzy. „Nigdy nie żyłem – myślałem. – Chwytałem tylko tu i ówdzie strzępy życia prymitywnego w zasięgu mej niezgrabnej ręki, tylko echa lub widma groteskowej i okrutnej uczty, z której zbierałem ledwie okruszyny”.

Jak wszystkich ludzi mi znanych, widziałem siebie z uporem zamykającego się w więzieniu wszystkich stworzeń: mury, domy, fortece, wieże. Ludzie zamknięci, ludzie wznoszący mury. Widziałem ludzkość w murach jej miast, domów, wsi, ogradzającą płotem z cierni nawet swoje pragnienia i myśli, tak jak ogradza łąny zbóż; skulone ślimaki lękające się wolności. Dla mnie umarł już świat rycerzy i alchemików, włóczędzów, ludożerców, żeglarzy i bogów. Moje życie było cząstką nieskończonych form czasu bez granic, murów warownych i kolczastych płotów. Byłem kroplą, a zarazem ogarniałem całość wielkiego światła: nieustający deszcz, jakiś potężny gatunek stworzeń, w który bez wątpienia miałem być kiedyś wcielony.

Przyrzekłem sobie nigdy więcej nie uczestniczyć w życiu, które nie jest moim życiem, nie złączyć się i nie mieszać z rasą, która istnieje i trwa tylko siłą uderzeń pięści, oszustwa, wyrzeczeń, rozpacz, nienawiści, miłości i śmierci. „Nie umrę, nie postarzę się nigdy – powtarzałem sobie z radością niemal bolesną. – Nigdy nie zrobią ze mnie pogryzionego bukłaka, poświęconego dla ospałości ducha, upokorzonego głupotą, wyniszczzonego strachem”.

Z każdym dniem bardziej Baron pogrążał się w pijaństwie, tak że zachwiana została sława jego wstrzemięźliwości, którą dotychczas słusznie się cieszył. Upijał się coraz częściej, coraz mniej dbając o przystojność zachowania. W kompanii rycerzy i wojowników ucztował niemal co noc, otoczony przez paziów i giermków, zwykle mając przy sobie jakiegoś młodego chłopaka czy dziewczynę, których czynił przedmiotem swoich tkliwości pomieszanych z szyderstwem. Jak gdyby jakieś szaleństwo opanowało zamek, wstrząsając nim od krańca do krańca. Wszędzie można było zauważyć wzrastające podniecenie. Mnożyły się bójki i pojedynki na śmierć, a turnieje z dnia na dzień stawały się bardziej krwawe, tak że czasami wyczuwało się krew w samym powietrzu, którym oddychaliśmy.

Woń ta budziła inne skryte apetyty i tak, za przykładem Mohla, upijali się żołnierze i często wszczynali bójki. Spadały na nich za to najokrutniejsze kary. Aż wreszcie przyszedł moment, kiedy wszędzie, nawet na niebie, zdawały się rozszerzać jakieś krwawe plamy wina lub krwi. Czuję na sobie coraz groźniejsze spojrzenia moich braci. Wszędzie widziałem cienie, ich koni. Ale że Baron zawsze mnie miał przy swoim boku, wymykałem się ich ciosom. A kiedy nie byłem przy nim, chroniłem się na wieży, wiedząc, że w tym miejscu nigdy ich nie spotkam.

Faktem jest, że nie mieli sposobności wyrzucić na mnie przyrzeczonej



zemsty. Ale nawet gdyby tak nie było – i dziwiłem się własnemu poczuciu bezpieczeństwa – nie bałem się ich. Bowiem wszelkie strzępy strachu wymiecione zostały z mego życia.

Niedobitki wojska spadkobierców Laszka kilkakrotnie najechały jeszcze na ziemię Mohla, zasiewając swe zwykłe ziarno śmierci. Ludzie Mohla odpowiadali im tym samym i żyliśmy otoczeni pierścieniem zdrad i gwałtów, a wewnątrz tego pierścienia także szerzyły się gwałty i rozlew krwi. Ja jednak nadal pozostałem odgradzony od wszystkiego i dzień po dniu utwierdzała się we mnie pewność, że będę żył daleko stąd i spoglądał na wszystkich z jakiejś wyżyny lub strefy coraz bardziej niepojętej dla tych, co ze mną współżyli. Tak że w końcu ani ich radość, ani ból nawet do mnie nie docierały.

Pewnej nocy Mohl, bardziej niż zwykle odurzony winem, powiedział do mnie:

– Synu mój – ostatnio często tak się do mnie zwracał, choć mnie to traktowanie ani już nie dziwiło, ani nie wzruszało w najmniejszej mierze – kiedy już będziesz rycerzem, wyślę cię do mojej najlepszej fortecy, nie do tej nędznej, na granicy stepów ani na granicy dawnych włości Laszka, tego przekłętego skrawka ziemi, który teraz jego dawni sąsiedzi wydzierają sobie jak psy... Nigdy nie wysłałbym w podobne miejsce najlepszego z moich żołnierzy, najukochańszego z synów. Wyślę cię na północ, tam, gdzie tylko dawny szacunek dla puszczy mnie zatrzymał. Tam, na północy, rozciąga się albo może żegluję po rzece nasza prawdziwa ojczyzna. Któregoś dnia ją odnajdziesz!...

Przerwał na chwilę, jakby pogrążony w marzeniu, pół tkliwym, pół perwersyjnym, aż wreszcie podjął na nowo:

– Tam, na ziemi północnej, będziesz rósł w potęgę, Władco Wojny, Książę Wojny, Aniele Wojny... Ale nie dzięki szczodrości mojej lub czyjejkolwiek, tylko dla twych wielkich zasług.

Pierwszy i ostatni raz w życiu kazał mi przepić do siebie. Sam napełnił mój kielich, splótł nasze ramiona i wypiliśmy równocześnie patrząc sobie w oczy. Wtedy znowu stwierdziłem dziwny kolor jego źrenic – szarych i niemal przezroczystych, choć wszyscy, nie wyłączając mnie, przypisywali im najgłębszy odcień czerni. Potem spuścił powieki i spojrział w ziemię, jakby tam szukał martwych albo już zapomnianych afektów swego życia. I znów tyle cienia było pod jego brwiami, niemal jasnymi, że aż dziwił ten kontrast. Wtedy szepnął tuż przy moim uchu:

– O jedną rzecz tylko cię proszę: kiedy tam będziesz, karm i dbaj dobrze o moją zwierzynę. Bo tamte strony obfitują w jelenie i dziki, a złote surmy uprzedzają o kierunku strzał. To bogowie, którzy ścigają, czatują przy źródłach i zadają śmierć nieostrożnym myśliwym, przeszywają im serca puginałem z rzeźbionej kości. Tak jest, mój synu, choć nie widziałem tego tymi oczyma, lecz innymi, tymi, co nie śpią, przykute do pewnego odtworzonego wspomnienia, które bardzo mąci mi spokój ducha – zaśmiał się cichutko i dodał bardzo głośno, tak by wszyscy słyszeli: – A świniom pozwalaj jeść żołądzie.

To powiedziawszy spojrział z szyderstwem na moich braci, a raczej na miejsce, gdzie siedzieli, gdyż jego oczy miały dziwną właściwość przeszywania na wylot tych, których nie raczył cenić. Tak jak wtedy, gdy jego spojrzenie (ze skrytym bólem) szukało czegoś za zielonymi szybami jego komnaty.

Pięści moich braci zacisnęły się na rękojeściach mieczy i palce najstarszego zbladły tak, że zdawały się niemal białe.

Baron kazał mi na nowo napełnić swój puchar. Wypił go znowu – tym razem sam – i ciągnął dalej:

– Tam, gdzie cię posyłam, spotkasz wielu rycerzy wolnych i porzuconych. Zostaw ich w spokoju, nie czynj jeńcami: to ostatnie ślady ludu, który zamordował swego króla... Pozwól im żyć, synu mój!

I, rzecz nie do wiary, jego ręce zadrżały, kiedy szepnął, jak gdyby do siebie:

– Ludzie tułacze, błędzący smutku... dokąd potoczył się grzmot waszego starego gniewu...? Co za sobą ciągniecie z tak nienasyconą goryczą?

Tyle wina wchłonął w siebie tej nocy, że kielich pierwszy raz – przynajmniej dla moich oczu – wypadł z jego rąk, a głowa gwałtownie uderzyła o stół, jak gdyby niewidzialny i milczący kat, krążący wokół jego życia, ściał ją ostrzem potężniejszym niż ostrze siekiery. Nie pozostało już – myślałem – ani odrobiny powściągliwości i wyniosłego spokoju, które niegdyś tak mnie olśniewały.

Wtedy zauważyłem, że moich trzech braci nie ma już w sali. Pozostało jeszcze zaledwie kilku rycerzy, zupełnie pijanych i niezdolnych ruszyć się z ław i krzeseł. Uciekłem stamtąd, poszukując wyjścia innego niż to, gdzie, jak przypuszczałem, czatowali na mnie moi bracia. I z większym niż kiedykolwiek utęsknieniem pobiegłem na wieżę, dręczony nagłym pytaniem, łaknący odpowiedzi, która – przynajmniej tego się spodziewałem – mogła odsłonić mi prawdziwy sens mojego życia.

Chłopiec na wieży spał w swoim kącie obok olbrzymiej surmy. Uniosłem go z ziemi, potrząsnąłem, porwany nagłą niecierpliwością i gwałtownością. Obróciłem go twarzą ku niebu i kazałem zbadać zamglony horyzont nocy czy dnia, tam gdzie się otwierała kraina wizji. Potem błagałem go, by wyteżył całą swoją ostrość wzroku czato wnika, tak by rozróżnić konie czarne od białych i uchwycić dokładnie moment, kiedy ich atak zwycięży i rozbije którąkolwiek z dwóch sił: lub może obydwie. „Koniec świata jest triumfem ludzi... Ty jesteś odwrotnym obrazem świata” – słyszałem wokół siebie.

Długi czas stał oparty o blanki: milczący, wypatrujący nie wiedzieć jakich znaków, jakich śladów galopu. W końcu zaczął mówić tym obojętnym obcym tonem, jakim zwykł opisywać swoje wizje:

– Widzę grupy ludzi, którzy błądzą po równinie. Zdziesiątkowane armie... zwyciężone ludy, królowie, którzy utracili swe państwa... Panowie bez wojska i wasalów, wygnani z jakiegoś raj, który uważali za swoje królestwo... Widzę synów stepu, z ich nigdy nie nasyconym pragnieniem pastwisk. Inni ludzie schodzą z krzykiem w dół wąwozami: ludzie żądni wojny i niezadowoleni, narody niestałe i lękliwe... Samotni jeźdźcy na czarnych koniach, jadący śladem białej nienawiści i tęsknoty. Jedni i drudzy wydzierają sobie jak psy strzępy wykrwawionego i bardzo starego zwierzęcia, które jeszcze oddycha, gdyż jego śmiertelne rżenie wstrząsa gałęziami drzewa i głębiną morza: to dawny i zniszczony obraz chwały takiej, jak mogło sobie wyobrazić dziecko albo cały lud. Ale w końcu przybywają jeźdźcy czarni, aby zawładnąć pastwiskiem, a biali wojownicy wychodzą na ich spotkanie. I widzę ponad ich głowami, w ogromnym archipelagu gwiazd, pogrom stu złotych smoków na niebie. I bitwa ta powtarza się i trwa we krwi wszystkich światów, wszystkich furii słońca: powtarza się i rozpoczyna od nowa bez możliwości końca: bo śmierć rodzi się ze śmierci, a życie znikło od czasu bardzo dalekich już bitew. A bóg, który prezyduje przy długim stole Panów Wojny, pije deszcz i nieustający popiół ze swej zardzewiałej czaszy i o każdym brzasku dnia słyhać czarny krzyk jego miecza, a echo zwraca okrzyk wszystkich wojen i nic już nie zdoła przerwać nieskończonej libacji boga o błękitnych oczach i zębach zabarwionych krwią, gdyż jego dawna ojczyzna, morze przejęte grozą, ucieka od nich w stronę nieznanych plaż.

Nagle umilkł. I choć błagałem go, by nie przerywał, by nie ustawał w wysiłku rozplątywania napływających wizji, milczał wciąż. Zrozpaczony odgadłem, iż znajduję się na krawędzi wielkiej próby, że wkrótce zobaczę

wreszcie Wielką Bitwę.

Wtedy strażnik przerwał swe milczenie:

– Ten podbój nie dokona się nigdy. Wyginęli już wszyscy ludzie, ale konie walczą między sobą. Widzę pomieszane grzywy, białe i czarne. Krew płynie z ich pysków, szyi, boków, konają w okrutnym i daremnym wysiłku, nie mogąc pokonać śmierci, bo śmierć jest ich najpłodniejszym nasieniem.

Wtedy dotarł do moich uszu głos barona Mohla, nawet poprzez usta strażnika:

– Ludzie tułacze, wy, co bładzicie, jak długo...?

Opadło napięcie, które utrzymywało chłopaka z wieży w stanie halucynacji, a wraz z nim ustały jego wizje. Jak pospolity sługa, osunął się na ziemię, w swój zwykły kąt, znużony i zrezygnowany. Usiadłem przy nim, ująłem jego dłonie i szukałem oczni, żeby przekazać mu jakieś ciepło z egzaltacji, która mnie ogarniała. Powiedziałem mu, że nie oddalę się już od niego ani z tego miejsca, dopóki nie zrozumiem, nie rozwiążę zagadki tego wiecznego pojedynku. Zapewniłem, że zamierzam nie schodzić już z wieży, pozostać na zawsze w jego kącie, dzieląc z nim jego życie, póki nie uda mi się stać takim jak on. Te ostatnie słowa wyrwały go z apatii.

– Nie zrobisz tego! – oburzył się raczej, niż przestraszył. – Boję się ciebie słuchać!

– Dlaczego zawsze ten strach? – krzyknąłem z nagłym gniewem.

Ale mój krzyk, bardziej niż do jego osoby, skierowany był do ziemi, powietrza, wody i ognia: krzyk, który był wyznaniem przeciwko lasom, stepom, wszystkim stworzeniom, przeciw olbrzymiemu i dalekiemu morzu świata, przeciw tej nieznanej granicy północnej, gdzie z rozkazu mego pana miałem stać się pewnego dnia prawdziwym Aniołem Wojny; wiedziałem, że nigdy nie istniał mający pełnić tę funkcję i że takie

marzenia czy nadzieje wywoływały tylko uśmiech tych bogów, którzy ostrzegali przed śmiercią dziki swoją długą złotą trąbą.

Spojrzałem na rodzące się światło, tam gdzie różowiała mgła jak każda pogroźka krwi, łagodnie i zdradliwie.

– Nie istnieje już strach – powtórzyłem tysiąc i jeden razy. A potem próbowałem wytłumaczyć strażnikowi, że gotów jestem rozedrzeć świat na dwie połowy i że z tego podziału odrodzę się ja, stworzony sam przez siebie. I usłyszałem swój własny głos, w którym więcej było rozpacz niż przekonania:

– I będę żył, będę żył, będę żył... Wtedy strażnik-włóczęga wyjął mi z rąk sztylet, bo bezwiednie trzymałem go oburącz, wzniesiony przeciw zorzy. Tyle paniki dostrzegłem w jego oczach, że doznałem wrażenia, jakbym pochylił się nad przepaścią bez dna. I uczułem na twarzy wilgotny przykry zapach jakiejś nieznannej nocy.

– Dobrze uważaj – ostrzegł mnie z tą powolną rozumną przezornością, którą, pomimo swego nierozgarnięcia we wszystkich innych sprawach, okazują słudzy wobec siły zdolnej ich zniszczyć. – Nie można zawracać biegu rzeki ani biegu ludzkiego losu. Nie próbuj, młody rycerzu, zbaczać z utartego łożyska twego życia, choćby pięknym wydawał ci się ów wysiłek... Zejdź z powrotem do świata wojowników, ofiar i katów, wróć do twego pana, który cię tak kocha, i pamiętaj, że nie widziały jeszcze twoje oczy Wielkiej Bitwy.

Zrozumiałem, że jego słowa zawierają wiele prawdy. I w miarę jak opadała i hartowała się moja niecierpliwość, powiedziałem sobie, że to prawda, moje oczy nie zdołały jeszcze ujrzeć tak wytęsknionego widoku ani w świetle brzasku, ani w zimnym współnictwie gwiazd. Dopiero w jakieś tajemnicze południe – całkowicie niewytłumaczalne, gdyż zajaśniał jego blask, zaledwie słabiutkie światło zaczynało rozpraszać ciemności – zobaczyłem na gorejących stepach nieba trzech młodych wojowników

zbyt podobnych do moich braci.

## X. JEŹDZIEC BEZ POWROTU

Nadeszła wigilia Zielonych Świąt i zgodnie ze swym przyrzeczeniem baron Mohl zadysponował i wydał szczegółowe rozkazy dotyczące przygotowań do uroczystości mego pasowania, z taką troskliwością, jaką okazałby, gdyby chodziło o jego własnego syna.

W przeddzień tej tak ważnej i pamiętnej ceremonii miałem sposobność odczuć, niemal fizycznie, na skórze, różnorodność ukłuć i zadrapań, w których wyrażała się cała kąśliwość uczuć żywionych pod moim adresem. I jakby zamiast oczu i zębów moi wrogowie mieli żądła i szpilki, ilekroć więcej niż jedna osoba znalazła się za moimi plecami, niezliczone spojrzenia i uśmiechy wpijały się w mój kark. Wszędzie czułem płochliwe pełzanie złośliwych podejrzeń i plugawych żartów ocierających się o moje ciało. To stąd, to stamtąd docierał do mnie zjełczały zapaszek bezczelnych insynuacji – kiedy głupota chełpiła się bystrością – i ostry swąd ordynarnych zapewnień – jeśli hipokryzja zabawiała się w zgorszenie.

Celem wszystkich tych intryg było interpretować prawdziwy charakter tych łask, jakich tak manifestacyjnie udzielał mi Mohl. Myślę, że nieczęsto – a może nigdy – w przeddzień tak uroczystej dla siebie daty młody giermek szlchetnego rodu mniej zaznał objawów przyjaźni ze strony tych, którzy z nim współżyli. Z tak otwartej niechęci nie wyłączyli się moi najbliżsi kompanowie: mogą nawet stwierdzić, że ich szeptu najwięcej kryły w sobie urazy i najśmielsze komentarze wychodziły z ich ust.

Ale nic nie mogło dorównać – bo wszystkie tamte niechęci błahe i niewinne wydawały się w tym zestawieniu – z huraganem nienawiści i zbuntowanych uraz w duszy moich braci. Toteż ilekroć z bliska czy z daleka



zobaczyłem ich tego dnia, starałem się równie dyskretnie, jak skwapliwie o możliwie największy dystans w przestrzeni między nimi a mną. Blask płonącego stosu, jaki wszyscy trzej od długiego już czasu rozniecali, lizali i parzył niby język smoka całą moją istotę, a nawet mój cień czy ślad moich kroków. W takich chwilach czułem się przeraźliwie sam, pośród tej różnorodnej ciżby, w której upływało moje życie codzienne na zamku. I doznałem wrażenia, że znajduję się na łasce jakiejś siły nadprzyrodzonej i niszczycielskiej, potężniejszej niż wszystkie, gdy czułem bodaj z daleka na sobie ich oczy. Dość było żółtego tumanu, jaki podnosiły kopyta ich koni, lub czarnej plamy na ziemi wokół trzech jeźdźców czy może trzech tajemniczych brzoź, by pogrążyć mnie w pewnego rodzaju wilgotnym osłupieniu paraliżującym całe moje ciało. „Nie istnieje strach, nie istnieje śmierć...” – powtarzałem sobie. Wiedziałem jednak dobrze, że tylko na wysokości wieży strażniczej mogłem mieć takie przekonanie.

Wreszcie nadeszła godzina, kiedy Ortwin powinien mnie zaprowadzić do prywatnej komnaty Mohla, gdzie miał się rozpocząć pierwszy obrzęd składający się na tę długą ceremonię: kąpiel oczyszczająca. Później miało się zacząć nocne czuwanie w kaplicy, gdzie powinienem się pogrążyć w medytacji i czystości absolutnej, bo gdy nowe słońce zapali kontur wydm, zaświta dzień, w którym moje życie stanie się życiem rycerzy. I nagle, gdy myślałem o nieuchronnej bliskości tego momentu, wydał mi się ten dzień zapisany już – i nawet zapomniany – w czasie tak odległym i obcym, że właściwie należał – czy niegdyś należał – do istoty, która ze mną nie miała nic wspólnego. I podczas gdy Ortwin szedł przede mną przez korytarz, schodami prowadzącymi do sypialni mego pana, myślałem o tym, jak wielce musiał mnie cenić Mohl, gdyż jeśli odstępianie w tym celu prywatnego sanktuarium najbardziej intymnych dziedzin swego panowania ze strony kogoś innego dowodziłoby uprzejmości, to w Baronie – tak zazdrośnie strzegącym swego smutku, tylko tam wewnątrz

widzialnego – mogło być uważane za łaskawość wręcz niesłychaną, a nawet gorszący nietakt. I było jeszcze jednym dowodem niewątpliwego afektu do mojej osoby (tak drażniącego innych).

Zbliżaliśmy się już do końca naszej drogi, gdy pewne zdanie – niewątpliwie wypowiedziane ze złośliwą intencją – odbiło się o wilgotne kamienie ścian korytarza i zanim wpadło w studnię urazy, błysnęło taką nienawiścią, że choć ze wszech miar niemożliwe było osiągnąć tych warg i języka, które je wymówiły, rozpoznałem ochryply głos moich trzech braci: może tylko w ten sposób mogli ulżyć ogromowi bólu, jaki ranił i znieważał – przy takim wyróżnieniu mojej osoby – ich prawdziwie sponiewieraną dumę. „Stoczysz walkę z twoimi braćmi – pełzał pod sufitem korytarza inny głos – i powalisz jednego po drugim”. – I rozpoznałem głos człowieka z bardzo dawnych czasów, który tak samo błędził w poszukiwaniu samotności i miłości; tak samo oscylował między gwałtem i dobrocią niegdyś i między zapomnieniem a wiecznością – dzisiaj. „Rozporządzisz ich życiem wedle twego własnego uznania, czyniąc to, co ci się wyda najlepsze lub najbardziej dogadzające twemu kaprynowi...” Moje dłonie zacisnęły się na pasie: tym, przy którym począwszy od dnia następnego miał zawisnąć na zawsze mój miecz.

– Ortwin! – zawołałem. Ale tak cicho, że nie przypuszczałem, by mnie usłyszał.

On jednakże odwrócił się ku mnie z takim pośpiechem, jak gdyby czekał na to zawołanie. A że weszliśmy już na najwyższy stopień i znajdowaliśmy się o kilka kroków od komnaty mego pana, na jego twarz padało światło czterech żagwi płonących między kamieniami ściany. Blask ten zapalał miniaturowe słońca w jego czerwonej brodzie, a włosy – które tak starannie rozczesywał kościanym grzebieniem – wyglądały jak błyszczący hełm. I znowu postać ta i to tak znane oblicze wydały mi się czymś, co uciekło z historii opowiedzianej dziecku przez

starego eks-jurjielnika: pięknym i okrutnym epizodem wojennym, może zmyślonym, zdolnym już tylko zafascynować zjawę samotnego chłopca, który błądził po łąkach i śnił o wojnie, wpatrzony w niebo, w lśniącego jeźdźca chwały. „Ponad nienawiścią” – przypomniałem sobie z gorzkim smutkiem. I pomyślałem, że nie tylko ten, co wojuje, żyje poza nienawiścią lub miłością. Bo nie byłem i nie miałem być nigdy Aniołem Wojny, nie zdołałem nawet uznać siebie za zwyczajne stworzenie ludzkie, a przecież cwałowałem już, wszystkiemu obojętny, z dala od obydwóch tamtych więzi.

Wiedziałem, że wszystkie głosy słyszane, choćby niósł je tylko wiatr i przybywały do nas poprzez szpary między kamieniami, są prawdziwe: upewniają i przestrzegają lub są śladami pewności i przestrogi. I w ten sposób błądzą wśród blanek czy po ciemnych korytarzach wież, a ich krzywdą lub ich wezwanie godzą w mury i w sumienie na równi. Tak jak się tego obawiałem, powrócił wtedy głos moich braci. I nie tylko ich głos, lecz bezmierna i rozproszona litania całej niechęci i podejrzliwości krążącej wokół mojej osoby. A przecież nie było innej przyczyny ani innego celu tej awersji niż bezmierne niezadowolenie, jakie wszędzie budziła łaskawość okazywana mi przez barona Mohla. I tak głosy owe spotykały się i uderzały o siebie jak miecze, i wreszcie nakładały się jeden na drugi, dopasowane do siebie dokładnie, jak identyczne pochwy – tworząc jeden pomnożony w nieskończoność protest, wyrzut i wyzwanie.

Wiele trudu kosztowało mnie oderwanie uszu i mego galopującego serca od owych głosów. I pomyślałem z gorzkim znużeniem, że gdyby ci, którzy podobnie brudnymi podejrzeniami plugawili stosunki łączące mnie z Baronem, bodaj przez chwilę zastanowili się nad faktem oczywistym, iż moja brzydka, prostacka powierzchowność nader daleka była od wcielenia ideału, który zwykł rozniecać słabość – czy to natury cielesnej, czy uczuciowej – mego pana może zaprzestaliby

tych szeptów i przypuszczeń lub wyzbyli się wewnętrznej pewności, że takie wymysły mogą odpowiadać prawdzie. Ale w samym powietrzu na zamku wyczuwało się, że wszyscy lub prawie wszyscy uważali afekt okazywany mi przez Barona za niewątpliwą oznakę nowej namiętności, pośród licznych – prawdę mówiąc dość jawnych w ostatnich czasach – którymi umiłał sobie czas. Bo od dnia i godziny, kiedy białe drzewo śmierci zapuściło korzenie w skroniach mego pana, wszelka skrytość i dbałość o pozory uleciały z jego obyczajów jak dym. Daleko pozostały już dni, kiedy w szare popołudnia pośród wyjącego wichru ludożerca wyjeżdżali konno na skrycie tajone łowy cennej zwierzyny: stworzeń o przezroczystej skórze i palających wargach, których smak poznawali w najściślejszej, najskrytejszej intymności. Bo dawny ludożerca wychodzący na poszukiwanie świeżego mięsa hamował nawet niewyparzone języki żołdactwa, gdyż wyruszał na łów równie po kryjomu, jak z niego wracał, i tak ścisłą tajemnicą otaczał radości znajdowane przy boku swej ofiary, że tylko zielone szyby jego okna mogłyby powtórzyć szczegóły żarłoczności równie głęboko zakorzenionej, jak dbałej o dekorum. Teraz przeciwnie, ludożerca chełpił się ostentacyjnie, nie unikając nawet niesmacznych popisów publicznych, kaprysami, i zбочeniami, jakie wstrząsały jego naturą, okazując w stosunku do swych ofiar upodobanie dość zmienne, a nierzadko okrucieństwo oczom tych, którzy lubili przyglądać się takim wybrykom.

Ale mimo wszystko te refleksje, choć odpowiadające prawdzie, nie brukały innych aspektów w dalszym ciągu cennych i godnych szacunku w tak znakomitym rycerzu: Baron bowiem darzył mnie rodzajem uczucia, które, jak chętnie sobie wyobrażałem, uszlachetniało go i wywyższało ponad więzy innych uciech – niewątpliwie słodszych i barwniejszych, które nieuchronnie i podle z dnia na dzień czyniły go swym własnym więźniem. Pomijam już – jako oczywisty i zbyteczny – fakt, iż nigdy

człowiek tak wyrafinowany, kapryśny i wymagający w tym, co się tyczyło jego wyborów miłosnych, nie mógłby – choćby narzucił to sobie jako surową pokutę za inne wykroczenia z tej dziedziny – szukać przeżyć ze sfery miłości, tęsknoty (czy zwyczajnej rozpaczki) w mojej osobie. Ale przypuszczam, liż mój zacny pan umarłby raczej ze zgrozy i niechęci, nie zdobywszy się na dość odwagi, by pomyśleć bodaj o podobnej próbie. Bo nic dalszego od świeżych i delikatnych sztuk zwierzyny przez niego poszukiwanej niż ta drapieżna bestia o szorstkiej i spalonej skórze, jaką ja byłem, i nie istniało nic mniej podobnego do jedwabistych czarnych kędziorów (takich, jakie mnie musnęły – we śnie czy na jawie – pewnego dnia gdy ocknąłem się w jego komnacie) niż ta strzecha włosów, które, nim je zaplotłem zgodnie z jego poleceniem, tak obficie i nader niepięknie smarowałem (wykazując w tym wiele sumiennosci i dobrej woli, z absolutnym pominięciem subtelności węchowych) maścią spreparowaną przez pocziwego Ortwina. A co do moich rąk, to zbyteczne tłumaczyć, że, podobne do łap drapieżnika z natury, mogły się wydać dziką i okrutną bronią przy tamtych rączkach miękkich i pulchnych, z dołeczkami, doświadczonych w czułości, takich jak on lubił. I nie trzeba było wiele wyobraźni, by wiedzieć, że tego rodzaju kończyny (choć bardzo cenne usługi oddawały we wszelkich igrzyskach wojennych lub gdy trzeba było pokonywać opory i trudy, z jakimi zwykły się szamotać co dzień) niezbyt się nadawały do tkliwych pieścizot i gier miłosnych w sypialni. I (choć niemożliwe, by kiedykolwiek ktokolwiek od nich tego żądał) raczej niż błogi szczebiot, z ust swej nieszczęsnej ofiary wyrzywałyby jęki bólu, i łatwo zrozumieć, o ile gorzej byłoby jeszcze, gdyby przedmiotem tych pieścizot był znawca rozkoszy tak wrażliwy jak mój pan, baron Mohl. Nie zapominając o tym, że szorstkość, którą się wyróżniałem od dzieciństwa (i której wyzbyciu się nie sprzyjały tego rodzaju pieścizoty, jakimi mnie wówczas darzono), unicestwiłaby natychmiast najlepsze chęci ukarania

siebie samego – czy też autentyczny zapal w tak pełnej sprzeczności naturze. Bo jeśli niegdyś moja ludożerczyni z upodobaniem zagłębiała swoje białe sztyleciki w chropowatej skórze stworzenia tak mało powabnego, nawet dla najmniej bystrych nie było sekretem, jak dalece sprzeczne były gusta – zarówno cielesne, jak i uczuciowe – małżonków o tyle szlachetnych, pięknych i godnych podziwu, o ile niepodobnych do siebie nawzajem.

Mówiąc to wszystko wpadłem w pułapkę głęboko przechowywanych wspomnień i nie odepchnąłem, jak wielokrotnie przedtem, obrazu mojej umiłowanej – przeciwnie, delectowałem się, wspominając, jak napinała łuk chcąc dobić (choć nie potrzebowało tego podziurawione już innymi strzałami zwierzę) rogacza, lisa czy jakiegokolwiek inne stworzenie (zważywszy, że te, które należały do jej własnego gatunku, choć zapewne z chęcią posługiwałyby się nimi w tym celu, nie były tak łatwo dostępne jej gniewom). I tak samo jak w chwilach gwałtownego zapomnienia, gdy dawała ujście ludożerczym instynktom, migocząca rosa perliła się na jej skroniach, błyszcząły drobne białe zęby i rozdymały się jej delikatne nozdrza, zanim pożała mnie lub dobiła (tak samo jak mieszkańców puszczy). A jednak te ekscesy zdołały mnie wyrwać z mroków nieświadomości i ośpienia, w jakich byłem pogrążony, gdy ją poznałem, i przeobrazić mnie z dnia na dzień w ofiarę coraz bardziej gotową służyć jej apetytom.

I wśród tych wspomnień bliski już byłem dopuszczenia do siebie tej słabości ducha, jaką wywołuje wskreszenie dawnej i bolesnej miłości – miłości, którą pojąłem dopiero w dniu, gdy ujrzałem jasne warkocze kołyszące się na wodach przeklętego stawu – kiedy zacny Ortwin oderwał mnie od tych szarpających wspomnień, pozwalając opaść swej dłoni na moje ramię.

Choć nie uważam się za słabowitego, a tym mniej kogoś, kto się z

sobą cacka, przyznam, że ten odruch jego mało ekspansywnej natury wywołał we mnie taką reakcję, jak gdyby zamiast ręki opadła na moje ramię maczuga większych niż normalne rozmiarów, nagle i z wielką gwałtownością. Uderzenie to wstrząsnęło więc nie tylko łagodnym i tak niebezpiecznym odurzeniem, któremu zacząłem się poddawać, lecz wszystkimi moimi ścięgnami (od szyi do pięty po tej stronie ciała). Z tej samej przyczyny, z której nie zwykły jęczeć z bólu konie, nie zrobiłem tego i ja, ale gdyby doszło do tego wybryku natury, całym zamkiem wstrząsnąłby nie jęk, lecz niewiarygodny ryk boleści. Powstrzymałem się mimo wszystko, tak jak szlachetne zwierzęta powstrzymują swe wzruszenia. I nagle, po tym radykalnym przecięciu wszystkich refleksji na temat natury mego pana, mojej własnej i mojej pani, uleciały także z mej głowy melancholijne medytacje i wspomnienia i myślałem już tylko o tym, by słuchać kogoś, kto w sposób tak oczywisty żądał ode mnie uwagi. A że w mowie był powolny i drobiazgowy i potrzebował czasu, by rozpocząć – dopóki się nie zdecydował, zdążyłem pomyśleć, że jedna tylko osoba na zamku uchroniła się przed jadem, którym wszyscy zatruli prawdziwy rodzaj stosunku tak prostego i ojcowskiego, jaki łączył Barona ze mną. I chociaż ramię ugięło się pod ciężarem coraz bardziej dotkliwym, trzeba mi było to uszanować, gdyż wiele myśli i pomieszanych uczuć musiało wrzeć w niewzruszonym Ortwinie, aby w ten sposób naruszył moją zwykłą sztywność i niechęć do ich objawienia. I nietrudno było, obserwując jego zaczerwioną twarz i jego oczy w zielone i żółte cętki, podobne do dojrzałych jagód winogron, odgadnąć przyczynę tego wzburzenia: niewątpliwie wynikało ono z przykrości, jaką mu sprawiały dochodzące zewsząd nieprzystojne szepty zniesławiające ze wszech miar uczciwą postawę Barona wobec mnie.

Jako odwet (czy usprawiedliwienie) dla tych, którzy opowiadali wszelkiego rodzaju plugawe historyjki na ten temat, muszę zaznaczyć,

że bardziej niż prawdziwą złośliwość i chęć zniesławienia zdradzały one chęć zablęśnięcia rzekomą bystrością czy też czymś, co uważano za najczystszy ton dworski (choć dowcipy wysmażone w ich tępych czaszkach zawstydzilyby najbardziej nieokrzesanego i pijanego żołnierza z gwardii swoją głupotą i nieuczciwością).

Oczekując na słowa, niełatwo wychodzące z ust Ortwina, stwierdziłem, że bardzo wyteżał swój mózg w tym momencie. Tam, w głębi, daleko za zmarszczonym i zaczerwienionym czołem, trudziła się jego myśl nad doborem słów, jakich miał użyć. Niewątpliwie zastanawiał się nad tym wyborem, tak jakby grzebał w głębinach ukrytego lamusa czy skrzyni z rupieciami, zamierzał bowiem uporządkować i przygotować jak najstaranniej jakąś ważną wiadomość, którą mi chciał przekazać. I nagle jakaś zupełnie nieoczekiwana złość opanowała dwie jagody winogron, do których podobne były jego oczy.

– Nie zwracaj uwagi i nie pozwól, aby cię dotknęły – powiedział – nikczemne plotki, które krążą wokół twojej osoby i Barona. Nie marnuj nawet twojej pogardy, rzucając jej okruchy tym, co szerzą takie brednie lub głodnym językiem wyskrobują dno nieczystego rondla niesławy. Bo wiedz dobrze, że to wszystko, co wypieka zawieść w garnku leniwych mózgów, mogłoby cię zadziwić zarówno swoją obfitością, jak i zjełczałym smakiem takiej strawy, zwłaszcza zważywszy nędzne rozmiary, zły stan i gorszy jeszcze wyrób podobnego naczynia.

Zdumiał mnie doskonały układ i oszczędność środków, jakimi posłużył się Ortwin, by ostatecznie wyrazić kwintesencję swoich myśli: z taką samą starannością i dokładnością, jaką poświęcał na to, by wybrać odpowiednią sztukę garderoby. Ale zauważyłem, że Ortwin nie wypowiedział jeszcze najważniejszej części swoich refleksji czy rad: gdyż pewne rozciągnięcie jego ściśniętych warg zniekształconych cięciem, które mogło nieomal uczynić go niemy (skoro musiał połączyć



połowę swej brody, by temu przeszkodzić), zapowiadało próbę uśmiechu. I choć prawdę mówiąc niewiele dla mnie znaczyły zarówno pochwały, jak przytyki, które mogły zaważyć na mojej reputacji, i chociaż nic nowego nie dodał do mojej własnej opinii i sądu w tych sprawach, przyjąłem z szacunkiem jego radę i czekałem w milczeniu, aż wolno puści wodze wszystkiemu, co chce objawić. I zdążyłem nawet stwierdzić, że taka sama obojętność owego oczekiwania kierowała moje kroki do komnaty barona Mohla, gdzie z pewnością czekali już na mnie rycerze mający udzielić mi wskazówek co do nakazanych obyczajem obrządków wtajemniczenia: w tym samym stanie ducha miałem nazajutrz zostać włączony do świata rycerzy lub włóczęgów, do którego w sumie należą wszystkie stworzenia. Miałem przyjąć owe święcenia z rąk Mohla i pozostać w tym świecie do końca życia, od chwili gdy ten człowiek, który był zarazem moim ojcem, moim opiekunem i podopiecznym, uderzy płazem miecza moje ramię. Bo tak pojmowałem to wówczas: i wszystko, co mógł budzić ktoś taki jak ja w takim panu jak on, było nie czym innym, tylko skrytym pragnieniem obrony czy wsparcia dla jego licznych słabości i sprzeczów.

Kiedy Ortwin dalej podjął swoje przestrogi czy zwierzenia – nie wiedziałbym, jak to nazwać – zauważyłem w jego głosie coś w rodzaju zniechęcenia: jak gdyby uznawał siebie za ofiarę jakiegoś nieugiętego prawa, które go skazało – od niepamiętnych czasów i zarania dziejów – na rozczarowanie światem, w jakim wypadło mu żyć.

– Znam od dawna Mohla – powiedział tak powoli jak zwykle. – Długo czas byłem u jego boku, zarówno w bitwach, jak i w czasie pokoju. Dlatego też mogę powiedzieć, że znam go dobrze, I może zauważyłeś, że możemy porozumiewać się w sposób bardzo rzeczowy, bez wszelkich upiększeń lub częściej gadaniny, bo nie potrzebuje otwierać ust, jeden jego gest wystarczy, abym mu podał rękawicę, którą chce włożyć, zbroję czy płaszcz. Reszta jest między nami zbyteczna. Toteż bardzo jasne jest dla

moich oczu wszystko, co się dzieje w jego umyśle i sercu.

Skrzywienie Ortwina zamglila jakaś dziwna melancholia i było w tym coś tak niezwykłego, że zimny podmuch zmroził mnie nagle do kości.

– Ty wiesz – powiedział w końcu – jak niewielką różnicę czyni Baron między jedną i drugą płcią, to znaczy, że dla umilenia czasu służy mu równie dobrze chłopiec, jak dziewczyna. Ale to nie oznacza w nim – wbrew temu, co przypuszczają głupcy i wymyślają ci, co się czują skrzywdzeni – żadnej słabości, moralnej czy fizycznej. Mówi ci ktoś, kto go zna dobrze, że w tych istotach, za którymi goni z takim zapałem i smutkiem, Mohl nie szuka rozkoszy ani miłości. Od dawna już rozpoczął szaleńczy galop – właściwie ucieczkę, z której nigdy nie będzie mógł zawrócić – i w tej ucieczce, w szukaniu tych stworzeń dodaje mu siły tylko od dawna go dręczące rozpaczliwe pragnienie, by zatrzymać przy sobie młodość i życie.

Zaledwie wypowiedział te ostatnie słowa, oddalił się i znikł z moich oczu. Właściwie opuścił mnie na zawsze.

Zrozumiałem – lub tak przypuszczałem wówczas – że Ortwin był tylko zjawą, widmem czy echem, że nigdy naprawdę nie współżył ze mną w rzeczywistości i ukazał mi się tylko na krótko w tym momencie: jako świadek faktów, które zdarzyły się w czasie i na ziemi dla mnie niedostępnych.

Nie wszedł więc ze mną do komnaty Barona, jak było nakazane. I pierwszy raz – o ile mi wiadomo – złamał pewną tradycję i obyczaj, które musiały dla niego w normalnych okolicznościach znaczyć więcej niż wszystko inne. Uczułem wokół siebie samotność i pustkę, niezwykłą i – powiedziałbym – groźną.

W ciepłej wodzie pływały płatki oberwane z kwiatów dzikiej róży. Widok ten przypominał mi natychmiast czarę mojej ludożerczyni, gdzie takie same lub podobne płatki unosiły się na powierzchni wody z miodem.

I powróciło także to samo uczucie wstępu – nawet grozy – które wówczas mnie ogarnęło.

Wokół rytualnej kąpieli czekało na mnie pięciu spośród najdostojniejszych i najstarszych rycerzy Mohla. Podczas gdy oczyszczałem moje ciało, mieli starać się, by taka sama czystość zapanowała w moim duchu. Swymi radami mieli umocnić go tak, by – mądrze przez nich pouczony – wytrwał przez całe moje życie rycerza przy swych hasłach.

Rzecz oczywista, że takie rady, przestrogi i przykładowe instrukcje potwierdzała praktyka ściśle przestrzegana w obyczajach i życiu tych, którzy ich umieli udzielać. Dwaj spośród nich mieli jakąś bliznę czy szew na twarzy lub szyi jako próbki niewątpliwego męstwa i zaciekłości w bitwie. Inni prawdopodobnie szczylic się podobnymi znakami w mniej widocznych strefach swego ciała. Ale niewątpliwie wszyscy reprezentowali sam kwiat – jeśli nie piękności, to, rzecz oczywista, cnót rycerskich i byli równie szlachetni, jak szanowani i równie godni szacunku, jak uczeni. „Nie wszystkie rany są symbolem męstwa i honoru” – usłyszałem wówczas cichy głos – głos, który przywodził na myśl pustego pancernika, bez życia wewnątrz, albo echo dalekich słów na pustyni smaganych wichrem; jeden z tych głosów galopujących po niebie stepowym pośród lśniących i bohaterskich bitew, zagubionych bezpowrotnie w pamięci ludzkiej. Cała moja istota zadrżała, bowiem poznałem echo innego głosu: tego, który ponad płatkami kwiatu pływającymi w czarce prosił o niemożliwy powrót bogów. Przybity bezsilnym, starym smutkiem, gdzie wstępnym mieszał się z przekreśloną miłością, jaką zabrała z sobą smuga dwóch długich warkoczy, obserwowałem jedną po drugiej twarze tych mężów wyposażonych przypuszczalnie w najwyższe cnoty. I zdziwiło mnie, że z takich ludzi powstaje skarb honoru, szlachectwa, siły i wspaniałomyślności, cnót, w których jak w perfumowanej wodzie tej kąpieli miałem zanurzyć moją

głowę neofity. Chociaż wszyscy jak mogli najlepiej tworzyli fasadę, w której należało sobie wyobrazić najwyższą godność i hart – czy to, co było nimi w ich przekonaniu – nie ulega wątpliwości, że wydali mi się próżni i nadęci. I wielka chyba być musiała, skoro tak się rzucała w oczy, pełna zarozumiałości głupota, którą na próżno kryli pod płaszczem uroczystego milczenia, z jakim mnie powitali. Bo choć może to ich milczenie i sztywność miały dodać więcej majestatu ceremoniałowi, trudno było nie dostrzec w nich ponurej oschłości.

Nie pierwszy raz bynajmniej wtedy ich widziałem, aczkolwiek nigdy nie przyciągnęli niczym mej uwagi: zdejmując z siebie odzież, przypominałem sobie ich obraz taki, jaki utrwalił się w mej pamięci: żłopiących piwo z głośnym siorbaniem (lub wino, jeśli taki był rozkaz czy pozwolenie Barona) i tak uporczywie, że nie ustawali w tym trudzie, póki nie zwalili się na ziemię lub przynajmniej nie zaczęli wymiotować. Przypominałem też sobie jednego po drugim, jak wcale się z tym nie kryjąc popełniali wszelkiego rodzaju występki, by zaspokoić chciwość lub brutalność swej natury: nieraz widziałem, jak okładali kijami wszelką nędzę ludzką, słabych i nieszczęsnych biedaków, którzy wpadli w ich szpony, jak wycierali nos w palce, siusiali na trzciniową matę zaścielającą podłogę w sali bankietów i robili mnóstwo innych podobnych rzeczy, które, jeśli uważałem je za błahe i powszechne, to sam fakt, że nigdy nie robił tego publicznie mój pan, ukazał mi (w tym czasie, który teraz wydawał mi się martwy) olbrzymią przepaść istniejącą między czynieniem i nieczynieniem tego, co do tej pory uważaliśmy za naturalne i pospolite, a co nagle uznajemy za niepotrzebne i ze wszech miar niewdzięczne.

Miałem już zanurzyć się w wodzie, gdy zdałem sobie sprawę ze wszystkich porównań, jakie podświadomie czyniłem, odkąd poznałem barona Mohla. I ten dziwny smutek na myśl, jak nisko upadł mój pan, który obecnie jeśli nie taki sam, to podobny stał się do nich.

Tak ciepłe było rozpoczynające się lato i tak złote słońce tego popołudnia, że w sypialni Barona otwarto okna i jedno z nich znajdowało się akurat naprzeciw mej łaźni. Patrzyłem na świeży blask ostatniego nieba, jakie miało asystować moim nielicznym już godzinom młodego giermka. Zdawało mi się, że spostrzegam w dali falowanie brzoź na brzegu Wielkiej Rzeki, a potem w purpurze słońca, już zachodzącego – a może tylko sobie to wyobraziłem – sylwetkę Barona na grzbiecie Hala, lecz tak drobną i przezroczystą, że niemal rozpływała się w gasnących blaskach wspomnienia. Potem pomyślałem o Ortwinie, jego nagłym odejściu i porzuceniu obowiązków, o czystym spojrzeniu jego oczu, o bitwach i znojach, które zawsze w jakiś sposób dzielił z moim panem, i o tej skrzyni, gdzie przechowywał czarną rękawicę, tę, której nie musiał nawet zażądać jej właściciel, by czuć ją już obciskającą jego dłoń. Broń, która jednakowo umiała obalać i niszczyć nieprzyjaciół, przyjaciół i najgorętsze afekty. I wtedy nie tylko usłyszałem, lecz bardzo wyraźnie zobaczyłem głos Barona: szedł po niebie w dojrzałym słońcu zmierrchu i powtarzał, coraz dalszy, lecz coraz lepiej dosłyszalny: „Ludzie tułacze... Jak długo?” Wydawało mi się, że światło i kurz dróg pożarły go już bardzo dawno. Tak że wspomnienie podobne już było do zamieci śnieżnej, bitwy czy miłości oglądanej jak widmo przez zielone szyby.

Wyciągnąłem się w wodzie. Zwiędłe płatki róży łaskotały moją skórę i czułem ulatujące z nich ostatnie aromaty, które zaczęły budzić niejasne a żarłoczne pragnienia. Na jakimś niewidzialnym drzewie tysiące stworzonek tak drobnych, że żadne oko ludzkie nie mogłoby ich dostrzec, wrzało radością w przeddzień jakiegoś posępnego bankietu: festynu, którego bliskość budziła we mnie drzenie, choć był dla mnie zagadką.

Rycerze otaczali mnie kołem. Podniosłem na nich wzrok i w oszołomieniu pomieszanym z nędznym strachem patrzyłem na ich dostojne i mądre usta, otwierające się i zamykające nade mną. Mówili

zapewne o honorze, o sprawiedliwości, czystości serca i opiece nad słabymi, ale nie słyszałem ich głosów.

I doznawałem wrażenia, że tak jak płatki róż, unoszące się i wirujące w wodzie, ja sam obracam się, pozbawiony wagi, w słodkim i zdradliwym wirze świata, zbudowanego z odbłasków, ech głosów, cieni ciał, zwiewnych śladów na lotnym piasku zapomnienia. I czułem, że wszyscy – oni i ja, i wszystkie rzeczy widzialne i niewidzialne przechowywane w tej komnacie – staliśmy się już wspomnieniem wybladłym, porośłym pleśnią, porzuconym wspomnieniem, którego nikt już nie ożywił i nie chronił przed wiatrem, z taką profanacją zacierającym ślady stóp ludzkich. Bardzo czarne wydały mi się wówczas te usta, które się otwierały i zamykały w gąszczu krzaczastych bród przyprószonych siwizną, rudawoczarnych lub prawie niebieskich, usta szlachetnych rycerzy, których prestiż zgromadził tu wokół mej kąpieli. Nie wiedziałem już i nie pamiętałem znaczenia tej ceremonii czy obrzędu ani jakiego rodzaju oczyszczenia miało to być symbolem, ani jakie było zlecenie lub cel mojej nowej uprzywilejowanej kondycji wśród ludzi. Zamknąłem oczy, pogrążony w aromacie odurzającym, niemal mdlącym, w ciepłe ablucji, których nigdy przedtem nie praktykowałem, bo tylko źródlane wody, pośród deszczów zimna, oblewały moją skórę. Przez zamknięte powieki odgadłem, że dzień stał się szary jak popioły i noc wymiatała je do swego wilgotnego królestwa gwiazd i świetlików. A pośród tych dwóch potęg, które – dobrze to wiedziałem, rozumiałem – nigdy nie miały się spotkać, przesuwały się poprzez drobniutki piasek moich zamkniętych oczu legiony stworzeń spragnionych, drapieżnych i dzikich, smutnych i niezaspokojonych, koczujących bez chwili wytchnienia na starej skorupie ziemskiej. Zrozumiałem, że jeśli mu się nie oprę, pochód ten zagarnie mnie i uniesie swym prądem słodkim i zdradliwym. Ktoś zamknął okno i zapalił łuczywo. Za zielonymi szybami noc wibrowała delikatnym

tchnieniem, jak trawa kołysana wiatrem (ta sama trawa, która niegdyś, ledwie złamały się zimowe lody, tak ciemna i błękitna zdawała się na łące, że upodobniłem ją do morza, w moim zasięgu, nigdy nie widzianego).

Wtedy bladzi Władcy Wojny podali mi szaty, symbolizujące to, co było najważniejsze w powierzonym mi zleceniu: koszulę białą, świeżo utkaną z lnu, czarną kolczugę i czerwony płaszcz. Barwy, które nosili z sobą na zawsze, oznaczające czystość – lub może ignorancję – śmierć i krew. Potem najstarszy, najdostojniejszy i najdzikszy z moich oprawców – lub ofiar – podał mi mój nowy miecz: ujrzałem go, wzniesiony w jego rękach, czarny i groźny jak okrzyk wojny, miał ukazać mnie i światu najpotężniejszą i najcięższą rację ziemi. Błysnęły mu zęby i powtórzył raz jeszcze nad moją głową, że nazajutrz, po ceremonii i turnieju – w którym może miałem zabić, jednego po drugim, moich braci – będę mógł nosić ten miecz zawsze u pasa, bez obłudy czy jakichkolwiek obaw: „Albowiem za twoje zasługi należy ci się ten zaszczyt i gdy wszędzie nowe słońce, osiągniesz to, do czego dąży każdy ze szlachetnie urodzonych, to, na co przysięga i co obowiązany jest wypełnić”.

Ale ja wiedziałem, że nie ma żadnych zasług w moich czynach, że nie odniosłem żadnego zwycięstwa i nie należy mi się uznanie czy zaszczyt jakiegokolwiek rodzaju, bo – już nieodwracalnie – widziałem siebie jako zwykłego żeglarza lub jeźdźca, który oddala się, nie mogąc stanąć ani zawrócić, od wszystkich ludzi, wszystkich mieczy, wszystkich przysięg i wszystkich wspomnień.

Kiedy przywdziałem białą koszulę, odeszli i zostałem sam. Wkrótce potem wszedł Baron. I nie odzywając się ani słowem, prawie na mnie nie patrząc – jak gdyby dławiała go pewnego rodzaju zrezygnowana i zimna złość, choć nie wiadomo, do kogo skierowana – gestem wskazał mi,

bym usiadł. Na tym samym miejscu, prawie u jego stóp, gdzie pewnego popołudnia tyle czasu siedzieliśmy w milczeniu patrząc przez okno na ostatnią śnieżycę pewnej zimy. Wydało mi się, że postarzał w sposób wręcz niewiarygodny. Człowiek nie starzeje się – myślałem – w ciągu lat czy miesięcy, ale może w ciągu jednej minuty, jednego dnia czy jednej nocy.

Na próżno czekałem, by się odezwał. By mi powiedział, powtórzył raz jeszcze to, co już zaczynało dźwięczeć w moich uszach niemal jak krwawe szyderstwo: że odtąd powinienem postępować z jak największą szlachetnością i męstwem. Że powinienem okazać się szlachetny, pobożny, litościwy, być tarczą ochronną dla bezbronnego i biczem dla tyrana... Ale nie było tak. Mohl nic nie powiedział.

Po jakimś czasie, który wydał mi się długi – choć nie wiem, czy upłynęło zaledwie parę minut – ujął mnie nagle za ręce i uczułem na mojej własnej skórze drżenie jego rąk. Potem złożył je na moich kolanach tak lekko, jakby kładł na stole jedną ze swoich starych rękawiczek. I rzekł:

– Zachowaj najcenniejszy cios twojej kopii na czas, kiedy od ciebie tego zażądam. Bo przyjdzie dzień, kiedy cię poproszę – tak jak mnie prosił Laszko – żebyś zwrócił mi to, co niemożliwe, albo mnie nią przebił.

I nie mówiąc nic więcej kazał mi odejść, Kilku rycerzy – wśród których na próżno szukałem Ortwina – zaprowadziło mnie na dziedziniec. Tam czekała na mnie tarcza, włócznia i miecz obok białego konia, który niegdyś należał do mojej pani i którego podarował mi Baron. W zielonawym świetle nocy, jeszcze wczesnej, zdawało mi się, że widzę na jego grzbiecie całą pustkę, jaką wytworzyła wszędzie nieobecność wysokiej białej postaci i brak łagodnego blasku złocistych warkoczy.

Potem zaprowadzono mnie do kaplicy i wreszcie zostawiono samego.

Miałem czuwać i spędzić na modlitwie całą noc, tak aby duch mój był równie lekki i dobrze wyćwiczony, jak moje ciało po twardym



terminowaniu przez tyle lat.

Ledwie zamknęły się za moimi plecami podwójne drzwi kaplicy (i w powietrzu wibrowało jeszcze uderzenie żelaza o żelazo, podobne do szczęku mieczy), zrzuciłem z siebie prędko czerwony płaszcz – i całą krew której nie chciałem przelać – czarną kolczugę – i śmierć, która nie była mi przeznaczona. Rozzułem się i uwolniłem moje ciało od wszelkiego przykrycia prócz krótkiej tuniki lnianej: czystość, której nie znałem, lecz jej nie odrzucałem: bo nie można odrzucić czegoś, czego się nie pojmuje, nie zna ani nie rozróżnia.

Przez długą chwilę nasłuchiwałem rżenia mego białego konia przez drzwi kaplicy. Nazajutrz po mszy baron Mohl uderzy mnie trzy razy po ramieniu płazem mego miecza – wykutego przez człowieka, który podpalił uszłte pędy winorośli w pewne dalekie winobranie mego dzieciństwa. Potem wręczą mi puklerz i włócznię, a ja powinienem wskoczyć jednym susem na konia, którego moi towarzysze wprowadzą do kruchty. Stamtąd wyruszę galopem i za mną popędzą wszyscy na pole w blaskach wiosny, tak jeszcze młodej. Wielką kawalkadę rycerzy z Mohlem na czele będą z daleka obserwować chłopci, dzieci, psy i wiatr. Potem odbędzie się kruszenie, kopii, w którym, zwyciężywszy jednego po drugim moich braci, będę mógł im w końcu zadać śmierć. A bankiet, jaki nastąpi po tym pojedynku, będzie ich jedyną uroczystością pogrzebową.

Porwany nagłą, odzyskaną na nowo gwałtownością, chwyciłem miecz do ręki: był wielki i straszliwie ciężki. Uczułem, jak rodzi się we mnie gniew, biały jak sama czystość, którą miała symbolizować moja lniana tunika. Zacisnąłem na sobie pas, zawiesiłem na nim miecz i z furią ścisnąłem rękojeść, tak że Wbijiała się w ciało, gotów przeszyć kogokolwiek czy cokolwiek ośmieli mi się zagrozić drogę.

Wtedy oślepił mnie jakiś ogromny zawrót głowy, dotychczas nie znany. I przypomniałem sobie ów dzień, kiedy po raz pierwszy ujrzałem zamek

Mohla odbity na odwrót w wodach Wielkiej Rzeki, kiedy myślałem, że świat stał się pusty i odwrócony na opak.

Ściany, podłoga, sklepienie znikły sprzed moich oczu. I znalazłem się sam naprzeciw wielkiego okna otwartego na nicłość, w której poruszała się samoistnie nieskończona mnogość cząsteczek, czerwonych, zielonych, złocistych. Młody wojownik opierał stopę na łbie smoka, a za jego plecami majaczyły kontury morza czy stepu, ale były dalekie i świetliste, i stworzone nie z wody czy suchej ziemi, lecz może z samego światła. I wtedy zobaczyłem siebie wskazującego na konia, który był koniem mojej umiłowanej ludożerczyni, w mej białej tunicy i z czarnym mieczem; smagnąłem go i porwani tą samą furją, jeździec i koń, skoczyliśmy przez okno i ujrzałem siebie w szaleńczej ucieczce przez otwarte pole, po równinie tak rozległej, że nie można było dojrzeć jej granic. I oddalałem się coraz bardziej, coraz głębiej w step, i mogłem widzieć siebie coraz niniejszym, coraz dalszym, mniej wyraźnym: aż do ostatecznego zniknięcia w tumanie kurzu.

Wtedy powróciły ściany, sklepienie i podłoga. Nie było żadnego okna ani żyjątek ruchomych, błyszczących i niespokojnych. Tylko mur kaplicy i jego wilgotne kamienie, porośłe mchem w szczelinach. Znów usłyszałem w przedsionku rzenie mego konia. Obnażyłem miecz i krzyknąłem do ścian i mego sumienia, że nie pójdę z własnej woli na zgubę, że nigdy nie będę cwałował tak głupio i ślepo w pościgu za własną śmiercią. Że nigdy nile będę uległym i uciszonym mieszkańcem ziemi, tak spragnionej i gotowej mnie pożreć.

Byłem sam, lecz oddychałem z takim wzburzeniem, tak spocony i podniecony, jakbym naprawdę stoczył ciężką bitwę. Pomyślałem, że może już świta, że jestem zamknięty w murach samotnej kaplicy z mieczem w ręku, naprzeciw świec woskowych prawie doszczętnie wypalonych. Ale nie było w tym jakiegokolwiek halucynacji; już nie było dla mnie snów ani

złudnych wizji. Ucichła moja furia czy moje przerażenie – bo tak były z sobą pomieszane, że już ich nie mogłem rozdzielić. I przyobleczony na nowo w spokój, łagodny jak wietrzyk z pola, pobiegłem do żelaznych drzwi, rozsunałem rygle i opuściłem to miejsce.

Szedłem naprzód w wilgotnym blasku nocy, zostawiłem za sobą palisadę, przeszedłem przez mur i zatrzymałem się dopiero na brzegu Wielkiej Rzeki.

Z trzech brzóz, które pewnego dnia wydały mi się cieniem jakiegoś smutku, wyłonili się trzej czarni jeźdźcy, tak dobrze mi znani. Otoczyli mnie w ciasnym potrzasku, żeby zamknąć go potem i uderzyć na mnie. Usłyszałem trzy okrzyki i przebiły mnie na wskroś trzy bratnie imiona. Uderzyły we mnie kopyta ich koni i powaliły na ziemię. Tak jak pewnego dnia – już tak dawno temu – postąpiła zelżona miłość z chłopcem o ognisto-rudych włosach, okrążyli ponurym galopem moje powalone ciało. Czuję ostrza trzech włóczy przesywające mnie tysiąc i jeden raz pośród żółtej kurzawy, unoszonej kopytami ich koni. Słyszałem trzask moich kości pod ciosami włóczy, tratowanych końmi, i widziałem moją krew płynącą cienkim strumyczkiem w kierunku Rzeki.

Potem tętent ich oddalających się koni i ogromna cisza.

Wtedy usłyszałem krzyki pierwszych drozdów, ciche pełzanie węża w pokrzywach? patrzyły na mnie salamandry złotymi oczyma: maleńkie smoki pozbawione wszelkiej mocy. W jakiś sposób ujrzałem siebie pochylonego nad czerwono zabarwioną wodą. Pośród tej krwi zobaczyłem płynącą na powierzchni moją ściętą głowę. (Ale to nie była moja głowa, tylko inna, bardzo podobna do głowy mego ojca).

Potem moje ręce namacały rękojeść miecza i wkrótce usłyszałem jego uderzenia o stopnie schodków na wieżę strażniczą. Bo jeśli moje ciało uwolniło się od wszelkiej wagi, pozostał miecz wiszący u pasa i obijał się o każdy stopień.

Strażnik nie żył już albo uciekł, choć nie mogłem określić kiedy: czy uciekł na zawsze z wieży mego ojca tej nocy, kiedy podzieliłem się z nim upolowaną zwierzyną, czy w tym czasie, kiedy zwykłem nasłuchiwać odgłosów z dali, przechyliwszy zgięte ciało nad blankami, a może o wiele później, kiedy już tamte wszystkie rzeczy się spełniły. Tak czy owak, tam go nie było, bo tego, którego trup leżał przy surmie, nie znałem i nigdy nie widziałem. W dole, nad Wielką Rzeką, trzy brzozy kołysały się lekko na ziemi, tak zapomnianej jak obraz młodego, świeżo pasowanego rycerza czy giermka, który napełniał winem puchar swego pana.

Trawa na łące – i na wszystkich łąkach świata – falowała jak morze schwyte podczas ucieczki. Patrzyłem na łąki Wszystkich poranków na ziemi i ujrzałem smoka, jego najeżony włóczniami grzbiet i wojowników (tych, co przybyli z północy); wznosili długi okrzyk, który poznałem: krzyk, który nie poruszał ani liści, ani włosów, ani szat ludzkich: tak samo jak tamten inny wiatr, który był już wobec mnie bezsilny. Wojownicy rzucili wtedy w powietrze swe lance, które ciemnym stadem uleciały w stronę chmur. Potem smok zachwiał się i pogrążył ostatecznie w rozległym firmamencie. Tak że mogłem oglądać moją przeszłość, moją pierwotną naturę, moich dawnych bogów, sny i trwogi, to wszystko, co wchłonęło w siebie zapomnienie.

Z wyżyn, z lasów wyłonili się jeźdźcy biali i jeźdźcy czarni. A z murów zamku Mohla wyszli na ich spotkanie jeźdźcy czarni i jeźdźcy biali. I wtedy zobaczyłem Pana Nieprzyjaciół, tak dumnego, zuchwałego i dzielnego, że ostatni gwałtowny krzyk podniósł się w mojej duszy. Dumą napełniała mnie jego furia, podziwiałem jego dzielność i okrucieństwo, zwrócił mi wizję mego dzieciństwa, rozciągnięty na trawie z oczyma zamglonymi z zachwyty, wpatrzonymi w wojnę i krew. Ale czarny miecz uniesiony w górę moimi własnymi rękoma ściał na zawsze dumę, okrucieństwo, dzielność i chwałę. „Zło umarło” – powiedziałem sobie.

Spostrzegłem wówczas na trawie mego pana, barona Mohla. Był bardzo daleko, a jednak głęboki cień jego oczu szukał i znalazł moje oczy. Widziałem go rannego, zwalonego z konia. Krew płynęła powoli z jego ust i w tym czerwonym słabym źródleku dostrzegłem wyraźnie jego wołanie, żądanie przyrzeczonego ciosu włóczni. Hal porzucił go, pędził jak szalony do czarnych koni, w kierunku jakiejś puszczy czy zwęglonej równiny. Przyrzekłem przebić jego ciało lancą w dniu, kiedy zażąda ode mnie niemożliwości, lecz moje przyrzeczenie zagubiło się w niedosiężnej ziemi i niedościgłym czasie. I wtedy litość wróciła do mnie i być może miłość. Ale podniosłem miecz: miłość, litość ścięte zostały na zawsze. I powiedziałem sobie: „Dobro umarło”.

Tysiące strzał dziurawiło moje ciało, lecz niezdolny byłem już czuć żadnego bólu, I krzyknąłem, z podniesionym mieczem, że gotów jestem rozciąć świat na dwoje: świat czarny i świat biały, ponieważ ani Dobro, ani Zło nie zadowolily jeszcze, o ile mi wiadomo, żadnego człowieka.

Zorza wspinała się po kamieniach wieży, ukazywała stare i nowe ślady wszystkich wojen i wszystkich wichrów, W jakimś miejscu przetrwało wściekłe rzenie czarnych i białych koni, walczących jeszcze po śmierci ludzi.

Ale ja podniosłem w górę miecz z całej siły, gotów otworzyć drogę poprzez czas, w którym

Pewien czas

Czas

Słysząc mnie czasami w dniach winobrania. I w niektóre zmierzchy, kiedy pada deszcz.

# ANA MARÍA MATUTE

Urodziła się w Barcelonie, miała trzynaście lat, kiedy zakończyła się wojna domowa; interesowało ją malarstwo oraz muzyka i w przyszłości miała obrać te dwa kierunki studiów.

W roku 1947 nazwisko Any Marii Matute pojawia się w hiszpańskiej prasie literackiej jako ciekawie zapowiadającej się autorki tomu opowiadań, a już w rok później krytyka i hiszpańska, i zagraniczna wysoko ocenia jej pierwszą powieść „Los Abel”.

Tematyka „Los Abel” i następnych książek – m. in. „*Pequeño teatro*”, „*Los niños tontos*”, „*El río*” – poczytnych, chwalonych i nagradzanych, wiąże się z hiszpańską rzeczywistością lat trzydziestych, z obsesyjną wizją wojny, oglądanej zawsze oczyma dziecka. Surowy, realistyczny zapis sąsiaduje tu z fragmentami o wielkim napięciu lirycznym, z fantastyką skłaniającą się nieraz ku grotesce. Ale późniejsza trylogia „*Los mercaderes*”, obejmująca: „*Primera memoria*” (która w 1959 r. zdobyła najwyższą w Hiszpanii nagrodę – Premio Nadal), „*Los soldados lloran la noche*” i „*La trampa*”, uważana jest już za dzieło „czystego realizmu”.

Problemom dzieciństwa i wieku młodzieńczego poświęca także autorka swoje utwory dla dzieci i młodzieży, jak choćby znany polskim czytelnikom „*Pasażer na gapę z pokładu «Ulissesa»*”.

Wyjątkowa siła wyrazu charakteryzuje również jej liczne opowiadania (dwa z nich zamieszczone zostały w wydany w Polsce zbiorze „*Opowieści hiszpańskie*”).

„*Wieża strażnicza*” (wyd. 1971 r.) to niewątpliwie najwybitniejsza pozycja w dotychczasowym dorobku Any Marii Matute, otwiera kolejny

etap jej twórczości, etap prozy kreacyjnej, jak stwierdza sama autorka mówiąc również o dwóch następnych książkach tego nowego cyklu, które niedawno ukazały się na półkach księgarskich: „*El olvidado rey Gudu*” i „*El diablo vuelve a casa*”. „*Kiedy piszę – wyznaje – staram się zapomnieć o wszystkim, co wiem; nie ma we mnie nic z pisarza intelektualisty*”. „*Wieża strażnicza*” wprowadza nas w wyimaginowany świat średniowiecznych zwyczajów, obrzędów i symboli, w świat wyobrażeń i myśli człowieka owej epoki, który, uwikłany w walkę dobra i zła, nękany jest przez te same niepokoje i lęki, jakich doznaje człowiek współczesny poszukujący sensu własnego życia.